

Jarosław Czechowicz

*W ciemnościach norweskiej nocy łatwo ukryć
mroczne tajemnice*

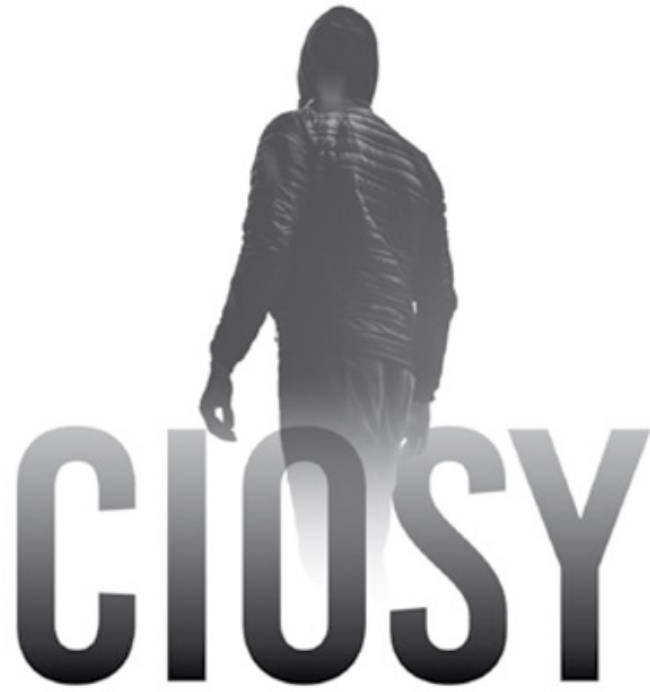


CIOSY

*Czechowicz trafia mocno.
Intrygujący i nieoczywisty thriller!
Polecam! Robert Małecki*

zaczytani

Jarosław Czechowicz



zaczytani

PROLOG

Ersfjordbotn, północna Norwegia

Odzyskała przytomność. Lodowata woda dotknęła jej stopy. Ciało zareagowało natychmiast. Poczowała ukłucie. Wiedziała, że w fiordzie idzie przypływ, choć przecież nie mogła być tego pewna. Pulsowanie pod powiekami, silny ucisk w skroniach. Spróbowała otworzyć oczy, ale tylko lewe było sprawne. Szybko zorientowała się, gdzie jest. Pamiętała to miejsce. Siebie. Jego. Ale w tej chwili dwie rzeczy były najważniejsze. Przeróżliwe zimno. I ból. Niemal nie do zniesienia.

Fiord był cichy i ciemny. W oddali tafla oceanu sprawiała wrażenie jeszcze spokojniejszej. Promienie słońca prześwitywały z granatowego nieba, pojawił się drobny śnieg. Płatki opadały delikatnie. Krótki polarny dzień miał się ku końcowi. Od wody ciągnął coraz większy chłód. Góry o łagodnych zboczach, zakończone ostrymi szczytami, tworzyły bramę do otwartego morza. W słabym świetle wyglądały na surowe, pełne majestatu. Zima jeszcze długo się tu nie skończy, zdawały się mówić ośnieżone zbocza. Za nimi rozciągała się bezkresna przestrzeń wiatru i zimna. Zaczęło wiać. Chmury niedługo wedrą się w zatokę i wraz z nadchodzącym sztormem zamienią ją w niebezpieczną kipieli. Fale uderzały o brzeg. Najpierw niezbyt głośno, a potem coraz mocniej. W pewnej chwili zgrały się z coraz słabszymi uderzeniami jej serca.

Ta sama cisza, jaka panowała wtedy, gdy wiele lat temu przywiózł ją tu po raz pierwszy. Uśmiechał się, a potem zamierał z kamiennym wyrazem twarzy. Może chciał ją tylko przetestować? Sprawdzić, czy będzie gotowa poczuć się przy nim dobrze? Czaił się, jakby była zwierzyną. Uciekała przed nim potem całe życie. Ale

tutaj, wtedy, nie miała dokąd. Dopiero ta okolica uświadomiła jej to w pełni. Bardzo dobrze pamiętała to miejsce, jego bezwzględność. On chciał, żeby je zapamiętała. „Tu jest tak pięknie, prawda? Pięknie do utraty tchu” – szeptał do ucha. Już wtedy wiedział, że tu wrócić? Że ona znowu będzie zdana tylko na niego i na jego decyzje? Że tu wydarzy się coś, co na zawsze zakończy ich przerażającą relację?

Zaczęło mocniej wiać. Każdy fragment jej obolałego ciała czuł coraz większe dotknięcia wichru. Miała wrażenie, że woda chce ją zagarnąć, zniszczyć. Jak on. Szum się nasilał. Przyszły następne fale bólu. Rozlewały się po całym ciele i nie dawały nadziei na to, że będzie w stanie powalczyć choćby o to, by wstać. Słabo widziała z powodu opuchlizny, ale dobrze wszystko słyszała, choć była pewna, że z jej ucha leci krew.

Dotarło do niej, dlaczego znów tu jest. Chciał, by sobie przypomnieć, patrzyła. By po raz kolejny ogarniał ją ten potworny lęk, jak wówczas, dawno temu. By tutaj umarła. Spełnił obietnicę sprzed lat, swoje życzenie. To, czego tak bardzo pragnął przez całe życie.

Chciała wydać jakiś dźwięk, ale język tylko poruszył się bezwładnie, jakby był oderwany. Ile zębów straciła? Na pewno sporo. Usta były krwawym otworem. Krtań uszkodzona. Szyja opuchnięta. Bardzo powoli podwinęła pod siebie nogę. Jedyne ruch, na jaki było ją stać. Wiatr najpierw kojąco ochłodził otwarte rany pod ubraniem, potem zaczął kąsać odsłonięte ciało. Jakby to nie było powietrze, lecz mnóstwo szpilek bezlitośnie się w nią wbijających. Prawa ręka w łokciu była złamana. Na pewno. Lewa przypominała nieruchomą masę. Czowała się bezbronna.

Z trudem spojrzała na siebie. To było kiedyś ciało eleganckiej i zadbanej kobiety. Czerwona koszula, podarta spódnica, majtki przesiąknięte zapachem moczu. Rajstopy w strzępach. Lewa noga we krwi, odsłonięta. Prawa zdrętwiała. Tylko w niej nie czuła bólu. Zachłysnęła się krwią. Zdała sobie sprawę, że ma uszkodzone płuca. Bolały ją żebra i okolice wątroby. Pulsujące klucie wzdłuż pleców, płytki oddech, kompulsywne wciąganie lodowatego powietrza. Była tym, czym być może całe życie chciał ją widzieć. Ciałem w rozpadzie, które za chwilę

straci również świadomość. Na zawsze. Nie mogła już patrzeć na zbliżające się fale. Zamknęła oczy. Wiedziała, że to koniec. Koniec, który wyreżyserował.

Czoło zrosił jej zimny pot. Przypomniała go sobie. Szaleńca sprzed kilku godzin. Uśmiechał się, patrząc na ślady po zadanych ciosach. Szalona satysfakcja na twarzy. Chyba nigdy nie był tak spełniony i szczęśliwy. Oboje wiedzieli, kim jest teraz, po tylu latach. Co się tu odgrywa. To był jego wymarzony finał. Finał łowcy. Wtedy była przekonana, że zginie w tym ciemnym pomieszczeniu. Na zafoliowanym materacu. Z każdym kolejnym ciosem była coraz bardziej pewna, że człowiek ma określoną granicę bólu. I wtedy otrzymywała kolejne uderzenie. I kolejne. Wiedziała, że jakikolwiek opór może sprawić mu przyjemność. Dlatego przyjmowała wszystko pokornie, nie usiłowała się nawet uwolnić. Była gotowa na to, co ją czeka. Chciała stracić przytomność, szybko umrzeć. Dopadł ją i tym razem zabije. Tymczasem ocknęła się tutaj.

Kiedy powieki powoli opadły, a z ust wydostała się różowa ślina, fale zaczęły się zbliżać. Najpierw nieśmiało, z delikatnym pluskiem. Potem jakby nabrały śmiałości i centymetr po centymetrze moczyły coś, co kiedyś było pełną życia kobietą. Cztery minuty później nie żyła. Przyplływ sięgnął po ciało.

On stał wsparty o kamień kilkaset metrów dalej, rozcierając zmarznięte dłonie. Wciąż bolały go od uderzeń. Były poranione. Gdy ją zabierała woda, jego tętno zaczęło spadać. Poczul się spełniony. Zrobił to, co jej się należało. Dostała, co powinna była dostać. Resztą zajęła się natura. Patrzył w spokoju, jak jego plan się domyka i wszystko zmierza do finału. Wszystko, co zaplanował, zrealizowało się doskonale. Mógł wracać do swojego życia.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ON

W dniu, w którym Rosja zaatakowała Ukrainę, moja ukochana zniknęła. To nie było tak, że zostawiła po sobie kubek z niedopitą kawą, na stole talerz z okruchami po toście, rzucone w przedpokoju czarne kozaki, na które się tego dnia nie zdecydowała, wolała wyglądać bardziej elegancko, włożyła nie ulubiane szpilki, choć wiedziała, że nie nadają się na śnieg. To nie było też tak, że mijaliśmy się w pośpiechu, wypowiedaliśmy mało znaczące słowa, trochę się nimi kąsaliśmy, trochę rzucaliśmy je gdzieś między nami, a wszystko było tym, czego zawsze się żałuje, kiedy człowiek sobie uświadamia, że ostatnie, co powiedział do najbliższej osoby przed jej zniknięciem, było tak banalne i nic nie znaczyło.

Zniknięcie Agaty zabolowało mnie fizycznie. Tak jak bolała jej intensywna obecność. Jej brak wdarł mi się pod skórę i zdawał się pęcznieć jak jakiś wrzód albo obce ciało wywołujące stan zapalny i ból. Mimo chłodu w mieszkaniu, które zawsze lubiliśmy, miałem wrażenie, jakby trawiła mnie gorączka. Dwa razy wziąłem zimny prysznic. Pomiedzy jednym i drugim sięgnąłem po paczkę jej papierosów, których tego dnia nie zabrała. Pewnie w pośpiechu o nich zapomniała. Na pewno po godzinie uświadomiła to sobie i musiała szybko kupić nowe. Znałem jej wściekłość, gdy kończyły się papierosy i zostawała z niczym. A wyszła bez nich. Długo nie mogłem znaleźć zapalniczki, w końcu zobaczyłem ją wciśniętą między jedwabne poduszki na sofie w salonie i nie zastanawiając się, dlaczego jest właśnie tam, odpaliłem fajkę i trzy razy mocno się zaciągnąłem. Niewiele to pomogło. Po drugim prysznicu włączyłem na chwilę telewizor, oglądałem pierwsze telewizyjne migawki z wojny, bombardowanie ukraińskich miast, pociski i naloty, to było tak surrealistyczne jak brak Agaty, jej odejście czy zniknięcie. Nie

wierzyłem, że jedno albo drugie dzieje się naprawdę. Nie mogła mnie zostawić. Naprawdę w to nie wierzyłem. Wszedłem w szlafroku na balkon. Dzień wreszcie stawał się zauważalny, każde z nas miało dość nocy polarnej, za którą zawsze zaczynaliśmy jednak tęsknić już we wrześniu, i marudnego stycznia, który raz pozwalał cieszyć się promieniami nieśmiało wychodzącego zza horyzontu słońca, a raz kazał długo tkwić w ponurym mroku, wydłużając oczekiwanie na chwilę, w której Tromsø zacznie funkcjonować w innym, jasnym rytmie.

Wzgórze Fløya wciąż było białe i wydawało się niedostępne. Tego dnia z powodu silnego wiatru znów nie jeździła kolejka Fjellheisen. Dom przy Norselvegen kupiliśmy już jakiś czas temu i to Agata zdecydowała, że zamieszkamy w mieście, a nie na wyspie, skąd musielibyśmy pływać łodzią na stały ląd z pięknej nieruchomości, którą mogliśmy nabyć za połowę ceny. Zawsze czułem się w Norwegii jak potomek wikingów, gotów na nowe wyzwania, i zawsze to ona uświadamiała mi, że nie będzie dobre to, co mnie satysfakcjonuje, lecz raczej to, co jest praktyczne, i że przekonam się o tym prędzej czy później. Zakochałem się w miejscu, które wspólnie wybraliśmy, choć jakoś podświadomie tęskniłem za tamtym domem na wyspie. Oglądaliśmy kilka, ale jeden szczególnie zapamiętałem. I wcale nie uważałem, że to, co praktyczne, ta lokalizacja i dokładnie ten dom, w którym na nią czekałem, było dla mnie czymś lepszym. Miałem dziwne wrażenie, jakby Agata wybrała się do jednej z tych nieruchomości na wyspie. Ale wiem, że mogła być wszędzie, tylko nie tam.

Po kilku minutach zimny wiatr uświadomił mi, że wciąż mamy na północy Norwegii zimę na całego, cofnąłem się zatem do pokoju i nerwowo wybrałem po raz kolejny najpierw numer Agaty, potem Thomasa. To on był ze mną, gdy odbyłem niezbyt przyjemną rozmowę na posterunku policji, podczas której byłem przekonywany, że żona ma prawo zniknąć bez powiadomienia mnie i że z pewnością szybko wróci. Thomas uśmiechał się wtedy z politowaniem, a gdy wyszliśmy, powiedział mi wprost, że najlepiej byłoby, aby nie wróciła. Nie wiem, czy bardziej wstrząsnęły mną te słowa czy to, że po raz pierwszy od bardzo dawna widziałem, że Thomas się uśmiecha. Numer Agaty wciąż nie odpowiadał, mój

przyjaciel obiecał, że przyjedzie dziś do mnie z dobrym winem, będziemy wspólnie czekać, nic innego nam nie pozostało. Doceniałem, że Thomas chce ze mną spędzić swój cenny czas, przecież Norwegowie nawet w bliskiej relacji z kimś rzadko są zdolni do takich poświęceń, ale Thomas był wyjątkowy i chyba jako jedyny rozumiał moją rozpacz. Mimo że wiedział. Wiedział naprawdę wiele. Właściwie znał całą tę potworną prawdę, o której w zasadzie nigdy nie rozmawialiśmy. Mimo że tamtego wieczora, kiedy o mało nie straciłem życia, po prostu był przy mnie. Mimo że później ją znienawidził. Szanował to, że ją kocham.

Tymczasem zniknięcie żony z godziny na godzinę coraz bardziej mi doskwierało, zostawiło jakiś bolesny ślad, kolejną bliznę, tym razem niewidoczną, ale dającą się wpasować między te, które już znaczyły moje ciało. Informacje szefa agencji Agaty uświadomiły mi, że stało się coś nieoczekiwanego. Nie dotarła do pracy i od feralnego poranka, kiedy zdecydowała się przedzierać przez śnieg w szpilkach – bo przecież gdy wysiadła ze swojego wygodnego auta, musiała przejść przecznicę w głębokim, białym puchu, gdyż parking nie znajduje się pod firmą – nie odezwała się do nikogo, w szczególności do mnie, jak również do całej szóstki potencjalnych klientów, którym miała tego dnia zaprezentować projekt zagospodarowania wnętrza ich wymarzonego domu. Moja żona nigdy nie pozwoliłaby sobie na to, by zaniedbać jakieś ważne zadania. Tym bardziej takie jak spotkanie z ludźmi gwarantującymi firmie naprawdę duży zysk. Coś było bardzo nie tak. Agata nie mogłaby się tak zachować, wycofać, nie zrealizować ważnych zamierzeń.

Myśląc o jej zniknięciu, znowu próbowałem zapanować nad tym, że trzęsą mi się ręce. Miałem wrażenie, jakby bez niej w moim organizmie zaczął się proces rozpadu. Jakbym wraz z utratą żony stracił nad sobą kontrolę. Nie miałem pojęcia, do czego mnie to doprowadzi. Prawa powieka stopniowo odmawiała posłuszeństwa, kurcząc się kompulsywnie i przypominając o dniu, w którym zaczęła to robić. Byłem niespokojnym oczekiwaniem, które mógł zrozumieć tylko Thomas. Większość naszych wspólnych znajomych, kiedy dowiedzieli się już o zniknięciu Agaty, zgodnym chórem twierdziła, że to, co mnie właśnie teraz

spotkało, jest najlepszym, co mogło mi się przydarzyć. I nikt w gruncie rzeczy nie podzielał mojego lęku. Wszyscy byli przekonani, że teraz się od niego wyzwolę. Dopiero teraz zacznę żyć naprawdę.

Kiedy koła airbusa uderzyły w płytę lotniska Gardermoen, wiedziałem, że zrobię wszystko, aby zostać w tym kraju i nigdy nie wracać do Polski. Norwegia była dla mnie wyzwaniem i ocaleniem. Wyzwanie stanowiło stypendium naukowe, które otrzymałem na uczelni i w ramach wymiany studenckiej mogłem szlifować w Oslo norweski, a także uczestniczyć w zajęciach z teorii literatury, przekładu czy redagowania książek. Ocaleniem było oddalenie się od ojczyzny, bo dzięki temu nie musiałem utrzymywać kontaktu z rodziną. Dla matki i ojca był to również znakomity powód, by mnie nie odwiedzać. W życiu nie przeznaczyliby grosza na jakikolwiek wyjazd poza Polskę. Chociaż siostra jednak potem mnie zaskoczyła.

Ich świat to był dom na podhalańskim zadupiu, wciąż powiększany wzdłuż i wszerz, w którym najpierw dobudowali piętro na pokoje dla turystów, a potem cały budynek, który w obecnym kształcie nie przypominał już mojego rodzinnego domu, bardziej był jego karykaturą. Liczył się tylko zysk. Prawdziwi górale: dutki i pomysły na to, w jaki sposób zarobić ich jak najwięcej. Pomnażanie zysków jak szeptane ukradkiem pacierze – więcej i więcej. A najwięcej w tym wszystkim było hipokryzji, bo moja rodzina starała się utrzymać fałszywy wizerunek skromnej i religijnej. Zakładałem, że młodsza siostra nie wejdzie w ten chory układ i będzie po prostu żyła po to, by się życiem cieszyć, ale i ona stanęła po stronie rodziców, stała się częścią tego prymitywnego i zachłannego świata, od którego uciekłem na studia do Krakowa. Ona nawet odrzuciła polszczyznę, topiąc się z matką i ojcem w gwarze, ignorując moją dbałość o język polski w mowie i piśmie, budując nawet w komunikacji barierę nie do przekroczenia. Stała się częścią świata, którego nie chciałem już rozumieć. Musiałem się od tego domu i koszmarnego Podhala oderwać raz na zawsze.

A potem okazało się, że można uciec dalej niż do Krakowa. Od twarzy ojca, zaciętej i surowej, na której zmarszczek przybywało wprost proporcjonalnie do zarobków. Od matki, dla której zawsze najważniejsze było, żeby dobrze zjeść i dużo się napić, która katowała mnie przez kilkanaście lat mięsem, zalewającym wszystko tłuszczem, kuchnią duszną i obrzydliwą. Od rodziny, która obraziła się na mnie już wtedy, kiedy odmówiłem bierzmowania. Nie wiem, o co tak żarliwie modlili się w kościele co niedziela. Pośród tego tłumu, tak samo ogłupionego jak oni. Na pewno o jeszcze więcej szmalu, bo tego ciągle im było mało i nic innego nie dawało im radości, nawet dorastające dzieci, z których jedno udało im się przekonać, że życie w tym pełnym zakłamania kieracie jest największym szczęściem, jakie może spotkać kogoś urodzonego na Podhalu.

Przepełnieni ksenofobią i przekonani, że cały zachodni świat to zgnilizna moralna, matka z ojcem padliby na zawał już po jednym dniu w Oslo. Kiedy zorientowałem się, jak dojechać z lotniska do centrum norweskiej stolicy, od razu ujęło mnie to, że na twarzach ludzi w pociągu nie ma tego wiecznego napięcia i irytacji, które przez lata widziałem u rodziców. I starałem się nie przyglądać turystom takim jak ja, aby wyciągać takie wnioski.

Miałem możliwość zamieszkania w akademiku, jednak w Oslo przebywał też mój kumpel z rodzinnych stron, Marcin, który po roku filologii norweskiej przeniósł się na anglistykę, a później ją rzucił, wyjechał do Szwecji, tam zarobił sporo kasy i potem w Norwegii prowadził ciekawe życie jako współwłaściciel hipsterskiej knajpki w Grünerløkka, wyjaśniając wszystkim zainteresowanym różnice między Szwecją a Norwegią oraz opowiadając wciąż ten sam suchar, że puzzle dla Szweda to w mniemaniu Norwegów przedarta na pół kartka. Naprawdę szybko się w życiu ustawił. Być może między innymi dlatego, że jego perfekcyjna znajomość angielskiego szokowała nawet profesorów na uczelni. Ale na pewno nie tylko dzięki zdolnościom językowym Marcin zdobył to, co lubił, i mógł wieść spełnione życie ledwie parę lat po dwudziestce. Zawsze podziwiałem jego charyzmę i otwartość. To, że nigdy nie nazywał niczego problemem. Zwykle była to trudność, którą wcześniej czy później usuwał ze swojego życia. Zawsze. Dlatego

wiedziałem, że warto się do niego zbliżyć i dać trochę poprowadzić za rękę w nowym kraju. A on pozwolił mi uwierzyć, że osiągnę wszystko, o czym marzę, tylko muszę się skupić na zarabianiu hajsu i być konsekwentnym we wszystkich moich poczynaniach. Tak zamierzałem żyć.

Marcin załatwił mi sympatyczną kawalerkę przy Dælenenggata, na drugim piętrze kamienicy, w której mieszkali sami imigranci, częściowo zarobkowi, jedynie na parterze lokum zajmowała starsza rdzenna Norweżka, która była przeciwieństwem każdego stereotypu o mieszkańcach tego kraju – zawsze otwarta, niezwykle wylewna, skłonna do dawania powitalnych i pożegnalnych misiów, ale przede wszystkim, jako odpowiedzialna za kamienicę, znakomicie sprawdzająca się w roli kucharki. Kiedy ktoś z nas nie zjadł obiadu, nie ugotował go albo nie zamówił, Tine zwykle zapraszała do swojej, po norwesku białej niczym sala szpitalna, kuchni. Zawsze jednak na talerzu pojawiały się kolorowe potrawy przygotowywane według przepisów z całego świata. Mieszkającym naprzeciwko mnie Sudańczykom najbardziej smakowały właśnie posiłki Tine, ja miałem okazję zjeść u niej tylko raz. Kiedy odwiedził mnie Marcin, żartował, że ze swoim antytalentem kulinarnym powinienem zaproponować Tine wspólne mieszkanie za żarcie. Zaoszczędziłbym na mieszkaniu i jedzeniu. Na jedno i drugie wydawałem rzeczywiście sporo. Każdy mi wcześniej mówił, że Norwegia jest droga, ale chyba nie do końca wierzyłem; musiałem się o tym sam przekonać.

Wielokulturowa przedsiębiorczość codziennego życia i to, jak wiele można było się nauczyć od skrajnie różnych od siebie ludzi, zdecydowały o tym, że miejsce w akademiku oddałem bez żalu, a w swoich wynajętych czterech ścianach w Oslo czułem się od pierwszego wieczoru pewniej i lepiej niż kiedykolwiek w rodzinnym domu. Norweska stolica stała przede mną otworem. Starłem się poznać jak najwięcej ludzi i ćwiczyć język w codziennych konwersacjach. Często wychodził z tego jakiś „anglonorweski”, jednak konsekwentnie starałem się zbliżać do ludzi mówiących płynnie w języku, który miał stać się moją przepustką do życia w nowym kraju. Nie bałem się pomyłek, nie peszyłem nieznaną jakichś

słów. Wiedziałem, że trzeba mówić, bo tylko w taki sposób skutecznie opanuje się każdy język obcy.

By podreperować budżet, podjąłem się pracy w knajpie oddalonej od mojego mieszkania o jakieś pół kilometra. Wystarczająco, by codziennie wyrabiać zdrową dla organizmu liczbę kroków, bo na uczelnię jeździłem jednak metrem. Dbłość o formę fizyczną została mi z czasów liceum, w którym nazywano mnie grubasem, a potem zdecydowałem, że zrobię wszystko, by nie widzieć w lustrze zwałów tłuszczu wyhodowanych też pewnie na żarciu oferowanym mi przez matkę z taką radością, jakby tuczyła sobie świnie w chlewie. Gdy byłem na drugim roku studiów, nie przypominałem już wieprzka, z którego nabijali się szkolni koledzy. Byłem kimś innym, wyglądałem lepiej, starałem się za wszelką cenę zachować dobrą wagę i nie przejmować się polskimi absurdami życia studenckiego. A potem zupełnie niespodziewanie wpadło mi to stypendium, o którego przyznaniu dowiedziałem się... na siłowni. Tam w zasadzie dopadła mnie plotka, później oczywiście wszystko odbyło się oficjalnie i z honorami.

Oslo mnie oczarowało. To było miasto, które wciąż się stawało, wciąż budowało swoją tożsamość, szukało jej i nie znajdowało – lub znajdowało, lecz nie jedną, a wiele. Inne niż Kraków, który podkreślał własną wyjątkowość, afirmował ją w męczący sposób, hołubił snobów. Oslo celebrowało różnorodność. Mogłem być w centrum nowoczesnej metropolii i jednocześnie blisko natury. Zaskakiwało mnie jedynie to, że stolica takiego kraju bywa brudna. Żyłem radośnie, zarabiałem pieniądze, studiowałem, szlifowałem norweski, polubiłem się z tutejszym chłodem i wyjątkowo zimnym deszczem, ale przede wszystkim podjąłem się pierwszych redakcji książek. Znaleźli się autorzy, którzy zaufali komuś tak młodemu jak ja. Rozwinięty dużo bardziej niż w Polsce Internet dawał mi możliwości pracy, jakich jeszcze nie doświadczyłem. To się nazywało zlecenia zdalne. Wsiąkałem w powierzone mi do redakcji książki i starałem się sumiennie oraz surowo punktować w nich nieścisłości. Być dobrym opiekunem dla każdego autora. A potem w to przyjemne życie wkroczyła Sonia i zrozumiałem, że moja pewność siebie była pozorna. Że nic w Oslo nie zaskoczy mnie bardziej niż bliskość

z kobietą. Nic innego nie będzie dla mnie większym wyzwaniem. W mojej świadomości, podobnie jak na chodnikach Oslo, zaczął się odkładać brud.

Ojciec zawsze był pod pantoflem matki. Generowała napięcie, buzowała od emocji, prawie iskrzyła, a wówczas ojciec robił wszystko, by nie wchodzić jej w drogę. Przypominał skarconego małego chłopca, który bardzo uważał na to, by nie dostać jakąś ścierką, starał się być niewidoczny, co wyglądało komicznie, ale współczuć mu zacząłem dopiero później, kiedy już sam zachowywałem się w podobny sposób. Bo moją matkę można było tylko omijać, nie można było z nią rozmawiać o problemach ani dochodzić do kompromisów.

Matka zarządzała domem i życiem każdego, kto w tym domu mieszkał. Wiele razy decydowała za mnie i za ojca i wielokrotnie wpadała w furję, gdy wyrażaliśmy własne zdanie. Pamiętam, jak ojciec spędził kiedyś dwie noce w garażu. Tam spał, a do domu wchodził tylko wtedy, kiedy jej już nie było. Przy mnie nigdy nie powiedziała o nim złego słowa, ale w tamte dni widać było, jak gotowało się w niej coś, czemu usilnie nie pozwalała dać ujścia. Jakby chciała przede mną ukryć furję, której istnienia byłem przecież cały czas świadom. Matka nią emanowała, jej wściekłość wypełniała nasz dom rodzinny. I współczułem ojcu. Kłótnie, w których wielokrotnie miał rację, przeradzały się w ich ciche dni. Nie działo się tak tylko wówczas, kiedy konflikty szczęśliwie wybuchały w sezonie, gdy dom był pełen turystów. Matka była mistrzynią stwarzania pozorów i choć rano zaciskała pięści, stojąc nad mężczyzną połykającym śniadanie niczym pelikan, zaraz potem wychodziła do gości z uśmiechem, który był równie fałszywy jak jej życzenia dobrego dnia i przyjemnego zdobywania tatrzańskich szczytów.

Nie było mi łatwo być jej synem. Jeśli chodzi o siostrę, matka modelowała każdy aspekt jej życia, narzucała jej, co ma lubić, mówić, jakie sukienki są dla niej odpowiednie, a nawet jaki jest jej ulubiony kolor. Wobec mnie trzymała pewien dystans, było to dla niej bezpieczne, bardzo często łapałem ją na tym, że zwracając się do mnie, myli imiona, mówi jak do ojca, po czym szybko tuszuje pomyłkę

i udaje, że się przesłyszałem. Ale pewnego dnia dystans zniknął. Kiedy powiedziałem, że nie idę do bierzmowania, otrzymałem siarczysty policzek, którego siła mnie zdumiała, nie spodziewałem się takiej mocy w ręce niewysokiej i drobnej kobiety. Matka była o głowę niższa od ojca, a ponieważ odziedziczyłem po nim wzrost i szybko wystrzeliłem w górę, już w ósmej klasie podstawówki byłem wyższy niż ona – wówczas dobijająca czterdziestki – musiała lekko podskoczyć, by dłoń osiadła idealnie i z całą mocą na mojej twarzy.

Nie zareagowałem. Widziałem szeroko otwarte oczy ojca. Miałem wrażenie, że próbuje coś mi przekazać mimo wściekłości z powodu mojej decyzji, bo też był zabobonnym katolikiem, też uważał, że brak bierzmowania to hańba dla rodziny. Ale jego twarz starała się wtedy pokazać coś więcej. Była na niej widoczna wyjątkowa i przejmująco smutna bezradność. Jakbym przestał być jego synem, a stał się kupką nieszczęścia. Jakby dopełniła się jakaś smutna sztafeta pokoleń. W jego wzroku był widoczny strach, ale również pewien rodzaj obrzydzenia. Nie wiem, czy do mnie, czy do matki. Uniosłem to napięcie. Powtórzyłem bardzo wyraźnie, że nie będę się bierzmował i jeśli chcą, mogą mnie wyrzucić z domu. Matka zgrzytała zębami. Roztarła dłoń, wróciła do kuchni gotować kolejną mięsną i śmierdzącą potrawę, nie odzywała się do mnie przez dwa dni, a potem okazało się, że opuszczę rodzinny dom szybciej, niż myślałem.

Matka z całą stanowczością i determinacją załatwiła mi edukację w liceum z internatem. Z dala od niej i jej niezadowolenia. Czterdzieści kilometrów od naszej wsi. To był czas, w którym dojrzywałem już do kolejnych życiowych decyzji, ostentacyjnie przestałem mówić gwara, starałem się oddalić od poświęcających się zarobkowaniu rodziców, w których życiu było coraz więcej wyrw, coraz bardziej narastała jakaś pasywna agresja, a pomnażanie majątku przestawało sprawiać im przyjemność. To ojciec odwiedzał mnie później w Krakowie. Był dwa razy, na tyle było go stać. Kiedy za pierwszym razem wziął ze sobą matkę, miałem wrażenie, że boi się iść obok niej. Była nabuzowana od początku pobytu, nic jej się w Krakowie nie podobało, a najbardziej nie podobał się jej ojciec u boku. Słyszałem, jak syczała do niego, że chce wracać, teraz, natychmiast, a zwiedzaliśmy wtedy Wawel, chciała

się stamtąd nagle teleportować do swojej podhalańskiej wsi. Najprawdopodobniej sama, swego małżonka najchętniej zostawiłaby ze mną.

Żegnałem ją bez żalu.

Wsiadała do samochodu szybko, gwałtownie zapinała pas, rozciągając go bardziej, niż było to potrzebne, a potem patrzyła już tylko przed siebie, była jak porcelanowa lalka, kiedy ojciec dopalał papierosa i próbował się ze mną pożegnać, nawet zdecydował się na uścisk, którego nie odwzajemniłem. Nie wiedziałem potem, czy jest sens zapraszać ojca do mnie w pojedynkę. Przyjechał ten jeden raz, chciał mi wtedy coś opowiedzieć. Coś, co było związane z matką, bo na jej wspomnienie najpierw się zaczerwienił, a potem zbladł. Jednak mieszkałem w dość hałaśliwym domu studenckim, a on chciał rozmawiać tylko tam; gdy wyszliśmy na spacer, tonął w milczeniu, choć podobał mu się Kraków, i to bardzo.

Przez to wszystko trzymałem się dłużej czas z dala od dziewczyn. W liceum podobały mi się dwie i one też pewnie zwracały uwagę na wysokiego szatyna z miłym uśmiechem, ale tłuste fałdki maskowane odpowiednio dobieranymi ciuchami najprawdopodobniej powodowały, że nigdy żadna z nich nie zagała dłuższej rozmowy. Trochę obciachowo było nie mieć w liceum dziewczyny, a najbardziej obciachowe było to, że nie miałem partnerki na studniówkę. Zgodziła się wtedy taka Ola, jasnowłosa trzpiotka, że ze mną przyjdzie, ale po polonezie już nie tańczymy i ona idzie do koleżanek. Dobrze, że mnie jeszcze nie poprosiła o to, żebym jej zapłacił za towarzystwo.

Wyglądaliśmy razem co najmniej groteskowo. Wieczór był koszmar. Wciąż go pamiętam, choć całe życie chciałem zapomnieć. Potem poszedłem na studia i częściej onanizowałem się do zdjęć jakichś rozebranych starszych kobiet, niż kierowałem swoje pożądanie w stronę dostępnych na żywo dziewczyn. Zresztą potrzeby seksualne zawsze uważałem za zbędny atawizm, który załatwiał się kilkoma sprawnymi ruchami dłoni. Moja dziewczyna miała być przede wszystkim przeze mnie rozpieszczana. Dotykana i całowana jedynie w imię wyższej konieczności. Nie wiedziałem, że wiele lat później dotyk ukochanej kobiety stanie się dla mnie przywilejem i nie będzie mieć nic wspólnego z rozpieszczaniem.

Podczas pierwszego roku studiów udało mi się przestać być prawiczkiem, jednak nadal nie znalazłem bliskiej kobiety. Po tym jedynym żenującym seksie, który trwał kilkanaście minut, pozostały mi niesmak i świadomość, że nic o kobietach nie wiem, zatem nie mam pojęcia, jak należy je adorować i w jaki sposób się do nich zbliżyć. Być może też zacząłem się ich bać. Poszukiwanie królowej, stałej dziewczyny i prawdopodobnej żony przerwało przyznanie mi stypendium w Norwegii. Zakładałem, że tam znajdę kobietę swojego życia. Nie miałem pojęcia, w co się pakuję.

I pewnego dnia, kończąc zmianę w knajpce i licząc na to, że za godzinę wezmę się do nauki na jutrzejsze kolokwium, zobaczyłem Sonię. Była śliczną, ciemnoskórą kobietą o gęstych, czarnych włosach. Całą sobą pokazywała, że jest znudzona, siedząc w towarzystwie, którego stolik obsługiwał mój kolega. Sonia zaczęła ostentacyjnie ziewać, a ja zobaczyłem jej piękne, białe zęby i śliczny, różowy języczek, które jednak szybko zniknęły z mojego pola widzenia, natomiast dziewczyna zaczęła kierować w stronę swoich koleżanek i kolegów spojrzenia pełne widocznego rozczarowania wieczorem. Miała urocze, różowe kolczyki, które bujały się wokół jej uszu i delikatnie dotykały skóry szyi, gdy kiwała głową, bo starała się jednak potakiwać towarzystwu, które ją naprawdę nudziło. Nie wiem, dlaczego wtedy uwierzyłem przekonaniu, że jest wyjątkowa. Wcale nie była.

Nie wiem też, ile czasu minęło od wyjścia Soni do toalety, ale zajęty oddawaniem obowiązków zmiennikowi, nie zorientowałem się, że siedzi na srebrnym hokerze przy barze, za którym stanąłem wtedy lekko usztywniony i bardzo zaskoczony, a ona wpatrywała się we mnie swoimi sarnimi oczami. Magia przyciągania zadziałała. Albo zwyczajny przypadek, jej znużenie wieczorem, przelotne zainteresowanie wysokim szatynem, który nie miał już na sobie grama zbędnego tłuszczu i nosił w pracy obcisłą koszulę, która pozwoliła dziewczynie ocenić budowę górnej części mojego ciała. Wtedy wreszcie byłem zadowolony ze swojej sylwetki. Nie wiem, kiedy tego wieczora dowiedziałem się, jak ma na imię, ale pamiętam jej zdziwienie tym, że tak dobrze mówię po norwesku. Była przekonana, że podrywa jakiegoś dorabiającego sobie imigranta, który duka po

angielsku i czeka na łut szczęścia, by zacząć jakieś lepsze życie w Norwegii. Najwidoczniej przyciągało ją coś więcej niż moje zdolności językowe i chyba atrakcyjne dla niej ciało. Szkoda że tak długo zajęło mi zorientowanie się, co to jest.

A później oczywiście wcale się nie uczyłem. Poszliśmy do knajpy dwie przecznice dalej, gdzie Soni bardzo się podobała głośna muzyka, a mnie jej kolczyki i to, jak cudownie marszczyła brwi. Sonia przedstawiła się jako Norweżka, choć jej ojciec był Etiopczykiem, ale ona wcale nie tęskniła ani za ojcem, ani za jego krajem, który kazał jej raz odwiedzić. Była rok niżej ode mnie na studiach, na drugim roku pedagogiki specjalnej. Opowiadała o praktykach w przedszkolu dla dzieci z zespołem Downa. Była pod wrażeniem tego, jak świetnie radzę sobie w Oslo, choć tutaj w jej mniemaniu wszyscy dobrze sobie radzą, i kojarzyła Polskę tylko ze słowem „kurwa”, Lechem Wałęsą i papieżem. Mówiąc, przeciągała niektóre samogłoski inaczej, niż należałoby w norweskim. Chwytałem się tematów błahych i łatwych. Chyba oboje wiedzieliśmy, że nasza znajomość zakończy się tego wieczora.

Ale się nie zakończyła. Bardzo żałuję, że wymieniliśmy się na koniec numerami telefonów.

Kupiłem swój pierwszy telefon na kartę, a właściwie zdobył go dla mnie skądś Marcin, który potrafił przynosić przyjacielom wszystko to, co nowe i niezwykle, jakby wyhodował te rzeczy w swoim prywatnym ogródku. Nie wiem zatem, jakie było pochodzenie mojej pierwszej komórki, ale wiem i pamiętam, że sporo czasu spędziłem, wpatrując się w nią i czytając wiadomości Soni, a potem jak najszybciej na nie odpisując, choć palce na początku z trudem trafiały we właściwe miejsca, aby napisać to, co myślałem. Nasza znajomość przeniosła się z cienia tamtego wieczora do codzienności pełnej kapryśnego słońca i nieśmiało wzrastających temperatur. Soni zależało na tym, żeby umówić się ze mną w centrum. Nasze

wydziały znajdowały się stosunkowo niedaleko i spotkaliśmy się w pół drogi, a potem siedzieliśmy i podziwialiśmy dynamikę centrum.

Nie spodziewałem się, że tak piękna dziewczyna zainteresuje się kimś takim jak ja. Niczego mi nie brakowało, jednak wiara w siebie, skutecznie podkopywana latami przez matkę, a później przez paru krakowskich wykładowców, dawała o sobie znać, traciłem rezon i były momenty, w których się całkowicie wyłączałem, a Sonia dominowała. Czułem, że coś jest nie tak w tej relacji, że tutaj nie ma partnerstwa, że zbyt często zgadzam się na to, co ona chce zrobić, przytakuję jej pomysłom, biernie uczestniczę w dyskusjach i angażuję się tylko wtedy, kiedy zaczynamy rozmawiać o literaturze norweskiej albo w ogóle o nawyku czytania w tym kraju. Sonia chwaliła moje umiejętności językowe. Twierdziła, że Norwegowie dość szybko wyłapią cudzoziemców mówiących w ich języku, bo zwykle jest on bardziej złożony leksykalnie, niż się wydaje ludziom spoza Norwegii, a ja dysponuję zaskakująco bogatym zasobem słów i znam wiele synonimów. Nie wiem, skąd brały się te sądy, skoro podczas naszych dwóch spotkań w mieście odezwałem się do niej być może czterema zdaniem złożonymi. Mówiła głównie ona. Czasem wiele niemądrych rzeczy. Czasami o wiele za głośno. Oczarowanie powoli się ulatniało, kiedy wchodziliśmy głębiej w jakiegokolwiek zagadnienie, a ona ujawniała swoją naiwność. Była też zwyczajnie wulgarna.

Podobała jej się moja uważność słuchacza. Ale podobałem się jej również jako mężczyzna, bo pierwsza przekroczyła niebezpieczną dla mnie granicę i siedząc przy stoliku, przysunęła swoje udo do mojego. Żegnając się, przytuliła mnie czule, a ja spąsowałem i chyba kolor twarzy miałem przez dłuższy czas taki sam, bo kiedy spotkałem przy drzwiach do mieszkania Tine, stwierdziła, że jestem „dziwnie różowutki”. Powiedziała to trochę inaczej, w norweskim nie ma takiej gamy zdrobnień jak w polszczyźnie.

Chciałem kontynuować tę znajomość i jednocześnie nie chciałem. Wiedziałem, że zbliżamy się z Sonią, znajdujemy jakąś płaszczyznę porozumienia, ale miałem wrażenie, że ta przestrzeń nie jest po norwesku demokratyczna. Im bliżej Sonia była mnie pod względem fizycznym, tym mocniej się od niej oddalałem mentalnie.

Nie miałem pojęcia, co jest grane, a może zaczynałem się już orientować, bo mój instynkt nakazywał mi czujność. W gruncie rzeczy była bardzo interesująca, miała oryginalne poglądy, ale już samo to, ile miejsca anektowała dla siebie na stoliku, na którym kładła kilka rzeczy i spory kawałek ciała, nie zauważając tego, że się odsuwam, powodowało, że zapalało mi gdzieś w głowie czerwone światło.

Sonia aranżowała nasze spotkania. Sonia decydowała. Aż w końcu postanowiła, że ją odwiedzę. Nie zapytała, czy mam na to ochotę, po prostu ustaliła datę i godzinę. A ja oczywiście na wszystko przystałem. Nie wiem, czego byłem ciekaw, ale chciałem ją ujrzeć w innych okolicznościach. Nie byłem z tych mężczyzn, którzy wpychają się dziewczynom do domu i mizdrzą do ich rodziców.

Wynajmowała wraz z matką i ojczymem piękny, drewniany domek przy Rødkleivfaret. Aby tam dojechać, należało wsiąść do metra linii numer jeden, o której Marcin już wielokrotnie wspominał, że staje na końcowym odcinku niczym kolejka górską. I rzeczywiście tak było, odkryłem kolejną niezwykłość Oslo: metro mozolnie pnące się w górę i widoki stamtąd, które zapierają dech w piersiach. Wsiadłem na stacji Lillevann, gdzie wagony ostro zakręcały, pokonując jeszcze dwa przystanki mocno do góry. Sonia wyszła po mnie ubrana w różowe szorty, które pięknie komponowały się z jej kolczykami, najwidoczniej te były ulubione, nosiła je często. Miała na sobie lekki T-shirt i nie przeszkadzało jej to, że jest około trzynastu stopni, a ona wita mnie, jakbyśmy mieli pełnię lata, a nie dopiero nieśmiałą norweską wiosnę.

Sonia zdążyła mi wyjaśnić po drodze do jej domu, że nienawidzi wysokich temperatur, a u ojca w Etiopii po prostu była wykończona, ceni sobie nordycki chłód i lubi, jak jest nie więcej niż piętnaście stopni. Ciepła dziewczyna z promiennym uśmiechem. To chyba przy niej nauczyłem się tak naprawdę doceniać rześkość powietrza tego kraju, a miejsce, w którym mieszkała, po raz kolejny udowodniło mi, że Oslo nie jest zwyczajnym miastem, że tu do drzew i wielkich przestrzeni pozbawionych ludzi jest naprawdę blisko. Na przykład kilkanaście przystanków z mojej multikulturowej dzielnicy.

Spotkanie z jej rodziną było nad wyraz poprawne, przepelnione charakterystycznymi dla Norwegów konwenansami i przede wszystkim kreowane jako ciepłe. Jednak matka Soni w niczym nie przypominała naszej Tine. Nawet podając mi rękę, jakby wzdrygała się, bała się przekroczenia granicy intymności. W przeciwieństwie do córki była niską blondynką, która dodatkowo jasno się ubierała, a długi, złoty warkocz co rusz przerzucała z jednego ramienia na drugie. Jakby był jednocześnie jej dumą i utrapieniem. Nie wiem właściwie, o co chodziło Soni z tymi odwiedzinami u niej, jednak otrzymałem tam wyraźny sygnał, że bardzo miło było mnie poznać, ale równie miło byłoby, gdybym do tego malowniczo położonego domku już nie wracał. Oczywiście ta, która mnie zaprosiła, sprawiała zupełnie inne wrażenie, jakbym miał ją potem odwiedzać w nieskończoność, miał się stać częścią jej mieszkania.

Być może Sonia miała pewien rodzaj władczości i bezkompromisowości swojej matki. A może potrafiła zachować idealny balans między stwarzaniem poczucia bezpieczeństwa przez swą serdeczność a ciągłym kontrolowaniem sytuacji na własnych warunkach. W naszym przypadku kontrolowała mnie. Gdzie mam usiąść, jak się zachować. Dyskretne, ale stanowcze rady, które zamieniały się w zalecenia, potem rozkazy. Już podczas wizyty u niej w domu powinienem zrozumieć, że wkraczam w rejon niebezpiecznej manipulacji. Ale nie rozumiałem.

Kochaliśmy się pierwszy raz w moim wynajmowanym mieszkaniu. Wśliznęła się do niego w taki sposób, jakbyśmy robili coś zakazanego. To było dość zabawne. Zapewniała, że jest zabezpieczona, żadna prezerwatywa nie jest potrzebna, ona ich nie lubi. Tak, mówiąc o prezerwatywach, użyła liczby mnogiej, co wprawiło mnie na kilka sekund w konfuzję. A potem pomyślałem, że ona w tej liczbie mnogiej myślała za nas zbyt często.

Sonia krzyczała, jak doskonale jej ze mną w łóżku, jej ciało reagowało śmiało i wyraźnie, a wilgotne miejsca były przeze mnie penetrowane z dużą nieśmiałością, bo trochę było tak, jakby dziewczyna kierowała na przemian moimi dłońmi i penisem. Jej głośne krzyki słychać było na pewno także w mieszkaniu Tine, która nazajutrz, gdy ją mijalem, uśmiechała się do mnie znacząco, wciskając mi

pojemniczek z kolejną porcją smacznego posiłku. Dla mnie seks z Sonią był trochę zadaniem do wykonania. Niczym więcej, choć na początku moje ciało okazywało jej swoje potrzeby. Szybko się jednak zorientowałem, że nie o moją przyjemność tutaj chodzi. Moja kochanka stwierdziła, że w akcie miłosnego spełnienia z mojej strony najważniejsze jest to, co robią palce oraz penis – dla niej. Choć udało mi się dojść i było to dla mnie prawie metafizyczne doznanie, po którym kręciło mi się w głowie i drżałem jeszcze przez dłuższy czas, ciepłe ciało Soni wyłączyło się zaraz po tym, jak mięśnie jej pochwy zacisnęły się na członku, a Sonia wydała z siebie gardłowy odgłos. Nie wiedziałem, czy było nam dobrze razem, czy czuła się tak jedynie Sonia. Wiedziałem natomiast, że potrafi nagle upokorzyć. Odniosła się do rozmiarów mojego członka i do tego, że za długo czekała na mój orgazm. Gdy po wszystkim wzięła prysznic, pogłaskała mnie z politowaniem po głowie i powiedziała, że wiele jeszcze muszę się nauczyć. Ona, młodsza ode mnie. Nie było widać wstydu, który palił mnie do żywego, tylko dlatego, że w pomieszczeniu świeciła się ledwie mała lampka przy biurku. Moje ubrania leżały rozrzucone koło łóżka. Ona zbierała swoje. Długo nie mogła znaleźć majtek. Potem Sonia włączyła lampę, oświetlając ciemny przedpokój, szybko włożyła kurtkę i buty, po czym powiedziała, że musi lecieć. Byłem przekonany, że spędzimy razem całą noc. Przecież dawała znać, jak jej ze mną dobrze.

A wtedy stało się to najgorsze. Wstałem z łóżka nagi, nieporadnie potrącając krzesło i licząc na przytulenie, lecz pod jej krytycznym spojrzeniem włożyłem szybko bokserki oraz koszulkę. Podszedłem, by ją pocałować, być może tym pocałunkiem zatrzymać. Byłem pewien, że mam jej do zaoferowania dużo więcej niż te dwadzieścia minut w łóżku. I wtedy Sonia chwyciła mnie za policzki i odsunęła od siebie, gdy tylko zbliżałem do niej twarz. W jej oczach widniała jakaś determinacja, której do tej pory nie dostrzegałem. Odsuwając się, zaczęła mnie szczypać. Mocno. Gdy krzyknąłem z bólu, puściła, poklepała mnie po torsie, zaśmiała się i wyszła bez pożegnania. Stukot jej butów niósł się jeszcze przez chwilę po klatce schodowej, potem zostałem w ciszy. Policzki piekły. Czułem się

bezradny. Po niej został jedynie delikatny lawendowy zapach perfum, który tak bardzo mi się podobał. I nic poza tym. Oprócz mojej goryczy.

Nie czułem się upokorzony. Czułem się winny tego, że nie mogłem jej przy sobie zatrzymać. Szybko jednak zorientowałem się, że trzeba trzymać się od Soni jak najdalej. Po dwóch miesiącach kurtuazyjnego telefonowania i coraz rzadszych SMS-ów straciłem nią zainteresowanie, a nie chcąc pogrążyć się w rozmyślaniach o tym, jak beznadziejnym jestem facetem, rzuciłem się w wir studiów, zleceń i wieczornych godzin poświęcanych pracy w knajpie. Pomagało to, że wciąż poznawałem nowych ludzi. Miałem wrażenie, że każdy człowiek w Oslo to fascynujące indywiduum.

Pewnego dnia na wyświetlaczu telefonu przeczytałem dwa zasadnicze słowa. Musimy porozmawiać. Jasne, że musimy, byłem gotowy spotkać się i powiedzieć Soni, jak bardzo za nią tęsknię, jak boleśnie przeżywałem ostatnie miesiące, jak kompletnie pogubiłem się w tym, czym jest nasza relacja i czy ona jest ze mnie zadowolona. Nie spodziewałem się, że nasze kolejne spotkanie będzie takim wulkanem emocji. Sonia była jednocześnie furią i wyjątkowo złośliwą dziewczyną, która nie jest w stanie zapanować nad negatywnymi emocjami. Dowiedziałem się, że jest w ciąży. Ze mną. Że zamierza ją usunąć, ale ja mam jej sfinansować zabieg i mamy to zrobić tak, aby jej matka się nie dowiedziała. Podała konkretną kwotę, wszystko wcześniej dokładnie sprawdziła. To były pieniądze, o jakich ja, student na stypendium w nordyckim kraju, mogłem jedynie pomarzyć. Chyba za bardzo mi uwierzyła, gdy kiedyś mówiłem, że nie martwię się o pieniądze.

Wszystkie wiadomości były bezkompromisowe. Nie wiem, która najbardziej we mnie uderzała. Która powodowała, że czułem się, jakbym dostał czymś ciężkim w splot słoneczny. I nie byłem w stanie rozpoznać mojej Soni w tej zdeterminowanej i zgryźliwej kobiecie, która założyła ręce na piersi i dyszała w moją stronę wściekłością.

Nie dyskutowałem. Nie podejmowałem żadnej próby odwiedzenia jej od decyzji o aborcji. Jeśli ją przypadkiem zapłodniłem, to w moim interesie było jak najszybsze rozwiązanie tego problemu. Wiedziałem, że jestem w Norwegii jeszcze

pół roku, potem okoliczności zmuszą mnie jednak do powrotu do Polski, ale tam tylko szybko skończę studia i wrócę do Oslo. Miałbym być ojcem na odległość? Ojcem dziecka kogoś, kto komunikuje mi ciążę z miną mojej matki gotowej wziąć coś ciężkiego i uderzyć ojca? Tak miała wyglądać ta moja wymarzona przyszłość w nowym kraju?

Pamiętam jak przez mgłę, na czym stanęło. Że pełen wstydu i uległości byłem gotów zgodzić się na wszystko. Ale potem mój ponury nastrój wyłapał Marcin, kiedy wpadł nazajutrz w odwiedziny. I to on zasugerował, abym zażądał od Soni badania genetycznego na ojcostwo. Prowadził mnie w zasadzie za rękę i dzięki jego determinacji dałem radę stawić się właściwego dnia w określonym miejscu, gdzie razem z Sonią mieliśmy oddać materiał do analizy. Nie pojawiła się przy mnie ani tamtego dnia, ani żadnego kolejnego. Jej telefon milczał lub był poza zasięgiem. Nie wierzyłem w to, co sugerował mi Marcin, że miła Sonia, słodka i sympatyczna Sonia z różowymi kolczykami w uszach, może być oszustką. A jednak była. Jej matka z wielkim zdumieniem przyjęła opowieść moją i uzupełnienia Marcina, który zdecydował się pojechać do niej ze mną. Słuchała tego wszystkiego w progu, nie wpuściwszy nas do mieszkania. Poinformowała o tym, że Sonia jest u ojca w Etiopii i nic nie wskazywało na to, że jest w ciąży. Zwłaszcza z kimś takim jak ja, co podkreśliła, przyglądając się mi ze słabo skrywaną odrazą.

Moja kochanka z Oslo okazała się oszustką i manipulatką. Ściskane przez nią policzki bolały mnie przez cały kolejny dzień. Przez następne miesiące bolało to, że dając z siebie wszystko jednej z najpiękniejszych kobiet, jaką poznałem, umożliwiłem jej bycie w każdym wymiarze wygraną. A potem powoli kończyło się moje stypendium i choć starałem się zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pozostać w Norwegii, musiałem jednak wrócić do Krakowa, zaliczyć dwa lata do magisterki i dopiero później planować powrót. Przez wiele dni widziałem w lustrze odbicie Soni zamiast własnego. Miesiącami czułem jej zapach w moim mieszkaniu, choć przebywała w nim tak krótko. Nie byłem pewien, co czuć w stosunku do tej dziewczyny. Nie rozumiałem tego, co robiła, i absurdalne było dla mnie, że tak

nagle zniknęła. Wiedziałem, że w Polsce łatwiej mi będzie o niej zapomnieć. I nie spodziewałem się tego, kto błyskawicznie wymaże z mojej pamięci bolesne wspomnienia. Naznaczając je dużo bardziej boleśnie.

Ojciec powiedział kiedyś coś, co pozostało mi w głowie na całe życie. „Pamiętaj, Michał, że kobieta, która głaszcze cię po głowie, a później szczypie w policzki, to zła kobieta”. Tak sobie zapamiętałem. Zła kobieta. Kilka miesięcy łączyłem to pojęcie z imieniem Soni, potem z jej sylwetką, następnie z każdym elementem jej twarzy, który tak uwielbiałem. Na przykład z ustami. Później w mojej pamięci zostało już tylko kilka dobrych chwil z Sonią, ale przekonanie, że kobiety w ogóle są złe, jakby rozlewało się we mnie, obezwładniało mnie, kazało być czujnym w każdym kontakcie z nimi.

Nie wiem, czy matka głaszała ojca po głowie, a potem szczypała jego policzki, ale miałem wrażenie, że jest dla niego zła w każdym wymiarze. Małżeństwo moich rodziców się rozpadało. Trwali obok siebie i na co dzień odgrywali jakąś smutną psychodramę. A raczej była to karykaturalna pantomima, bo praktycznie przestali się ze sobą porozumiewać za pomocą słów. Ale wiem, że w tym milczeniu i gestach skryte było coś więcej. Dwukrotnie zauważyłem, że ojciec w obecności matki chowa głowę w ramiona, kiedy ona podnosi rękę albo wykonuje jakiś zamaszysty gest. Matka stała się smutna i rozgoryczona. Szczęścia nie przynosiły dutki, a nasz dom wyglądał jak jakiś gargantuiczny potwór. Kiedyś zgrabny, jednopiętrowy, w pięknym odcieniu szarości i z zadbanym, skromnym ogródkiem, dzisiaj był niczym jakiś silos – za wysoki, rozdęty, z dobudówkami w różnych stylach architektonicznych. Przybywało ich systematycznie, w miarę jak znajdowali się chętni, żeby wynająć pokoje na lewo. Matką kierowała już tylko chciwość. Kiedy przyjeżdżałem tam na ostatnim roku studiów, miałem wrażenie, że to kiepski pensjonat, a nie prywatny dom. Z roku na rok sypały się lokalne znajomości, pod koniec nie było nawet do kogo wyjść, by wyrwać się z tej smutnej przestrzeni z matką ślęczącą przed telewizorem i ojcem dłubiącym przy

samochodzie w garażu. Tymczasem ojciec coraz bardziej zapadał się w siebie i w swoim milczeniu. Nie cieszyły go moje sukcesy, pasja studiowania, wpadające zlecenia na krótkie i dłuższe tłumaczenia. Wyraźnie się ode mnie oddalał. Nie musiałem od niego brać żadnych pieniędzy, byłem samowystarczalny, coraz bardziej pewny siebie i tego, co mam zamiar zrobić.

Oczywiście, miałem zamiar lecieć do Norwegii, tym razem z biletem w jedną stronę. Tylko moja siostra się tym ekscytowała. Widziałem, że po latach zrozumiała swój błąd, bo rodzinne mauzoleum było dla niej przestrzenią opresji, w której jedynym źródłem radości i uśmiechu był jej roczny syn. Szykowała się z mężem do wyprawki na swoje. Młode, pełne życia i planów małżeństwo, które nie mogło dłużej tkwić w domu rozgoryczonych ludzi trzymających się siebie jedynie z przyzwyczajenia. Siostra z mężem i bobasem odwiedzili mnie w Krakowie, nawet zostali na noc. Miałem ku temu możliwości, od kilku miesięcy wynajmowałem dwupokojowe mieszkanie przy Królewskiej, wszędzie mieliśmy blisko, choć jeździliśmy trochę tramwajami, gdyż maluch był nimi zachwycony. To siostra jako pierwsza życzyła mi szczęścia, mając nadzieję, że kiedyś jednak wrócę. Ojciec przestał być sceptyczny wobec moich planów, kiedy uświadomił sobie, że w Norwegii będę przyzwoicie zarabiał jako tłumacz czy redaktor. To były dla niego zupełnie abstrakcyjne zajęcia, ale magia pieniędzy i statecznego życia przemawiała jak nic innego. Matka tkwiła w stuporze. W żaden sposób nie dała po sobie poznać, że plany emigracyjne syna ją poruszają, w jakiś sposób na nią wpływają. Kiedy wyjeżdżałem z Polski, na lotnisko w Warszawie odwozili mnie ojciec z siostrą. Matka jedynie lakonicznie pożegnała się ze mną przez telefon.

Obiecałem sobie, że spakuję się w dwie duże walizki i to będzie wszystko, co ze sobą zabiorę. Prawdę mówiąc, nie musiałem dokonywać jakiejś wielkiej selekcji, nie obrosłem w rzeczy jak wielu moich rówieśników, żyłem minimalistycznie i teraz najważniejszy był laptop do pracy i ulubiona poduszka do spania. Duma z ukończenia studiów z wyróżnieniem była jeszcze większa, bo kilka miesięcy przed pożegnaniem z Krakowem dostałem zlecenie na tłumaczenie norweskiego kryminału. W oczekiwaniu na wyjazd do Oslo już tylko szlifowałem

całość. Zleceniodawca zapłacił z góry. Biorąc pod uwagę to, co zaoszczędziłem, miałem na praktycznie osiem miesięcy swobodnego życia w norweskiej stolicy, bez martwienia się o zatrudnienie. Tymczasem Marcin, który w ciągu kilku lat stał się chyba najmłodszym w Norwegii właścicielem knajp i restauracji, powiedział, że praca na mnie czeka, kiedy tylko będę chciał oderwać się od literek. Chciałem. Naiwnie myślałem o tym, że przy barze niebawem ponownie spotkam interesującą kobietę, która nie będzie zła.

Zdystansowanie do płci przeciwnej spowodowało, że żyłem w izolacji. I w napięciu, ale onanizowanie zawsze było lekiem na całe zło i wymagało czasami jedynie kilku minut koncentracji na penisie. Nigdy nie umiałem przyjaźnić się z mężczyznami, ale Marcin był wyjątkiem, w dodatku z moich rodzinnych stron, w których nie było nikogo, z kim nadawałbym na tych samych falach, i był to też człowiek, z którym bliska więź paradoksalnie nawiązała się dzięki oddaleniu. Nie udało mi się w Krakowie znaleźć nikogo, kogo mógłbym nazwać przyjacielem. To było smutne, bo widziałem, że wokół mnie zawiązują się silne relacje, prawdopodobnie na całe życie. Każdy znajdował bratnią duszę – czy to na wykładach, czy w licznych knajpach, które odwiedzało się po zajęciach. Kraków zawsze kipiał od życia towarzyskiego. Tam wypadało być istotą stadną. Ja jednak nie byłem tak zachłanny na kontakty z innymi ludźmi, a potem tego żałowałem. To przecież studia są ostatnim okresem w życiu, kiedy można nawiązać dłuższe i trwałe przyjaźnie.

Nie było nas wielu na roku, zatem integrowaliśmy się ze studentami innych filologii, a kiedyś szaleliśmy na imprezie, na którą zaprosili nas znajomi z AGH. Żał mi było zostawiać Kraków, bo przyzwyczaiałem się do jego senności. W Oslo czułem, że jestem w dużym mieście. Kraków sprawiał na mnie wrażenie ospałej wioski. Tam naprawdę wszędzie było blisko. Możliwości wieczornego i nocnego życia towarzyskiego ogromne. Przez dwa miesiące wykorzystałem doświadczenie w pracy za barem w Oslo, jednak energia wydzielana przez krakowskich imprezowiczów nie do końca mi się podobała. Jak nazywał to Marcin, uciekałem

w świat literek. Ale byłem przekonany, że chętnie dla niego popracuję, by nie stawać się odludkiem i przełamywać bariery w kontaktach z innymi ludźmi.

Przed wejściem do lotniskowej hali dostałem ciepłego przytulasa od siostry i widać było, że ojciec chciał pójść w jej ślady, jednak skończyło się na silnym i długim uścisku dłoni. Widziałem, że jego oczy stały się wilgotne. Przyglądając się im pierwszy raz od dawna, dostrzegałem ogromny smutek niewynikający bezpośrednio z tego, że zaraz opuszczę Polskę na zawsze. Miałem wrażenie, że stoi przy mnie jakiś więzienny skazaniec, który wybrał się do Warszawy jak na przepustkę, a za chwilę wróci do swojej nieprzyjemnej celi. Trudno było mi dobrać słowa, by powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że ich zostawiam. I jak nie chcę myśleć o ich codziennym życiu bez mnie. Bo czułem, że dzieje się coś przełomowego i tam, dwie godziny lotu stąd, przez dłuższy czas na pewno będę samotny. Obiecałem jedynie, że będę mailował i na pewno zaproszę wszystkich do siebie, kiedy się urządzę. Po latach miałem już mieszkać w innym miejscu. Lokum obok Tine było zajęte, a Marcin mówił, że sama Tine podupała na zdrowiu i spędza teraz dużo czasu w szpitalu. Czekano na mnie inne mieszkanie, które udało mi się wynająć przez Internet i miałem nadzieję, że zderzenie rzeczywistości ze zdjęciami nie będzie aż tak bolesne.

Lubiłem lotniska. Ich gwar i tymczasowość. Zawsze starałem się być dużo wcześniej niż te dwie regulaminowe godziny. Ze stołecznego portu lotniczego leciałem po raz pierwszy. Miałem w planie zjeść jeszcze jakiś obiad, odprawić się i popracować, jeżeli znajdę spokojny kąt, w którym mógłbym się zaszyć z laptopem. Na niespełna dwugodzinny lot nie miałem większych planów. Patrzenie w okno mnie uspokajało, czasem przysypiałem. Lubiłem być oderwany od ziemi, tkwić gdzieś w sporym dystansie, jakbym nie uczestniczył w żadnej formie życia, zawiesił się wraz z tym, co na pokładzie samolotu, kompletnie poza czasem, możliwościami i koniecznościami. Kiedy już zostałem sam, skierowałem się do baru, a potem już nie pamiętam, jak znalazłem się w airbusie i zająłem ulubione miejsce przy oknie.

Nie od razu ją zauważyłem. Siedziała przy przejściu, między nami było wolne siedzenie. Zafascynowany widokami podczas startu i potem, kiedy przebijaliśmy się przez chmury, a wysokość przelotowa odsłaniała swoje niebywałe piękno, nie zarejestrowałem, kto siedzi niedaleko mnie. Nie odpięła pasa, kiedy zabrzączał sygnał, że można to zrobić. Rozsiadłem się na tyle wygodnie, na ile można było w ciasnocie samolotu i miałem właśnie kończyć pracę na laptopie, kiedy moją uwagę zwróciły jej drżące nogi. Bardzo zgrabne, w eleganckich, popielatych rajstopach, ładnych czarnych czółenkach; stopy zbliżała do siebie. Właściwie cała się trzęsła. Kurczowo zaciskała delikatne dłonie na pasie bezpieczeństwa, którego nadal nie odpięła. Jej żółty żakiet sprawiał wrażenie, jakby odbywała podróż służbową. Niezbyt pasował do kruczoczarnych włosów, które rozsypały się w nieładzie, zasłaniały jej twarz. Tych, które potem tak bardzo mi się wciąż podobały przyprószone siwizną. Tych, których zapach po prysznicu roznosił się po całym mieszkaniu. Wpatrując się dokładniej, zauważyłem, że na oczach miała opaskę, była lekko pochylona, głęboko oddychała i sprawiała wrażenie, że bardzo się stresuje. Dopiero kiedy samolot zmienił wysokość i zaczął się chwiać, mogłem zobaczyć jej przerażoną twarz, bo usiadła w pozycji wyprostowanej, odgarnęła włosy i zdjęła opaskę.

Była piękna w tym swoim strachu. Wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, na ustach delikatna, czerwona pomadka, mały i zgrabny nos, głęboko osadzone oczy, miała lekko spocone czoło i na moment przestała oddychać. Nagle dostrzegłem bliznę pod warstwą potu i pudru, widać starała się ją maskować, była jednak widoczna i koncentrowała na sobie moją uwagę przez dłuższą chwilę. Wtedy postanowiłem się przechylić i zapytać, czy dobrze się czuje. Spojrzała na mnie ciemnymi oczami, które już przez całe życie będą mnie prześladować, a potem nerwowo się uśmiechnęła, mówiąc, że wszystko w porządku. Prawie. Poza tym, że jesteśmy wysoko nad ziemią w latającym pudle, zdani na pilota, o którym nic nie wiemy, i w każdej chwili narażeni na śmierć w katastrofie. Uśmiechnąłem się łagodnie i odpowiedziałem, że znajdujemy się w najbezpieczniejszym środku lokomocji, a jej nic tu nie grozi. Nie uwierzyła, jednak odpowiedziała uśmiechem.

Nerwowo starła pomadkę z ust, sięgnęła do torebki, żeby poprawić makijaż, ale jednak się zatrzymała, patrzyła na mnie uważnie, lekko przechylając głowę, wciąż głośno i ostentacyjnie oddychając.

Wtedy podeszła stewardesa z wózkiem i namówiłem ją, żeby wzięła sobie jakiś gorący napój. Sam zamówiłem kanapkę i wodę. Ona wzięła kilka ostatnich głębszych oddechów i zdecydowała się na kawę. Po kwadransie powiedziała do mnie, że nie piła niczego tak obrzydliwego, po czym oboje się roześmialiśmy i widziałem, że jest spokojniejsza, dochodzi do siebie po stresie startu i pierwszego kwadransa lotu. Była skłonna ze mną porozmawiać, bo chyba czuła, że tak zabije czas, przestanie snuć irracjonalne, przerażające fantazje.

Agata. Wypowiedziała to imię jednocześnie miękko i dosadnie, podając mi dłoń, na której dostrzegłem kilka obrączek i gustownie umalowane paznokcie. Kobieta z klasą. Tego już nie powiedziała, ale kiedy wymieniliśmy uścisk i wypowiedziałem swoje imię, czułem, jakbym nagle przesiadł się do pierwszej klasy. Strach Agaty ustępował, pewnie wprost proporcjonalnie do zainteresowania moją osobą. Widać było, że stara się skupić na naszej konwersacji. Jej lęk przed lataniem musiał być naprawdę ogromny, choć starała się to kamuflować, bardzo się wstydziła tej słabości.

Pomiędzy kęsami kanapki snułem opowieść o szczęśliwym absolwencie Uniwersytetu Jagiellońskiego, który właśnie leci do Oslo, aby rozpocząć nowe życie. Sam nie wierzyłem, że to opowieść o mnie. Podświadomie tkwiło we mnie przecież bardzo dużo lęku przed tym, co stanie się niebawem i jak będą wyglądać kolejne lata w Norwegii. Agata patrzyła uważnie, czasem lekko i zabawnie marszczyła nos, widać było, że schodzi z niej napięcie, inaczej ułożyła nogi i stopy. W zasadzie było jej chyba niewygodnie siedzieć przodem do mnie, ale zakładam, że ten dyskomfort jej nie przeszkadzał, gdy wracała myślami do tego, w jakim miejscu się znajduje. Nie sądziłem, że znajdę kiedykolwiek tak uważnego słuchacza historii mojego życia. Odślaniałem więc kolejne jego rozdziały, a Agata potakiwała bądź się uśmiechała, dopiero po kilkunastu minutach zaczęła zadawać jakieś pytania.

Dowiedziałem się, że mieszkała w Oslo podczas studiów, a teraz leci tam tylko na chwilę, zatrzyma się u znajomych i nazajutrz wsiada do samolotu do Tromsø. Przyznam, że zrobiła na mnie wrażenie. Dziewczyna z prawdziwej Północy. Tromsø to wrota arktycznej Norwegii. Miasto za kołem podbiegunowym, noc polarna i dzień polarny. Agata wypowiadała się pełnymi, ładnymi zdaniami, a po chwili zaproponowała, żebyśmy przeszli na norweski. Ta część konwersacji należała jednak do niej. Zauważyłem, że trudno mi po norwesku kontynuować opowieść o swoim życiu. Może dlatego, że pewne doświadczenia nie były do oddania w języku innym niż ojczysty. A może to z powodu tego, że właściwie wszystko już opowiedziałem, uznawałem moje życie za dość nudne i mało atrakcyjne dla kogoś, kogo uwagę trzeba skupić podczas lotu, by zapomnieć o panice.

Zmiana języka na moment nas od siebie oddaliła. Jednocześnie dostrzegłem, że Agata mówi z charakterystycznym akcentem. To nie był język stolicy. Widać, że nauczyła się norweskiego w innym miejscu. W Tromsø mieszka od dawna, dokładnie od trzynastego roku życia, zasadniczo określa się mianem Norweżki z polskim obywatelstwem i zmierza do miasta, z którym wiąże ją wiele pięknych wspomnień. Wyraziłem entuzjazm wobec Oslo, a później zaczęliśmy już rozmowę o samym mieście i o tym, jak je postrzegamy. Agata zdecydowanie nie chciała przedstawiać swojego życiorysu w takiej formie, w jakiej ja to zrobiłem. Najważniejsze, że się uspokoiła. Na jej bladą twarz wróciły kolory i doszedłem do wniosku, że jest bardzo piękna. Komunikacja w języku, który dla niej był jak ojczysty, a dla mnie wciąż stanowił wyzwanie, stworzyła nam jakąś wspólną przestrzeń nowego doświadczenia. Do czasu, kiedy pilot ogłosił, że będziemy się przymierzać do lądowania i wtedy Agata ponownie się zestresowała i założyła opaskę na oczy. Prowadziliśmy konwersację jak dwoje sytych Norwegów, którzy patrzą na świat poza Norwegią przez pryzmat niskich cen i emanują swobodą. A potem zrozumiałem, że ludzki strach nie ma pochodzenia i nie obchodzi go to, ile kto ma na koncie.

Wylądowaliśmy oczywiście bez problemu, ale Agata odsłoniła oczy dopiero wówczas, gdy samolot zatrzymał się na dobre po kołowaniu. Była w niej jakaś niewinność i bezbronność. Pozwoliłem sobie na zbyt wiele, lecz ona nie zareagowała na ten gest jak na inwazję. Delikatnie dotknąłem jej dłoni i szepnąłem, że już po wszystkim. Że jesteśmy w domu. Tak, pierwszy raz wypowiedziałem takie zdanie w Norwegii. Agata nie dała do zrozumienia, że podoba jej się, co robię, ale i nie cofnęła ręki. Jej ciepło było moim ciepłem. Jej podekscytowanie moim podekscytowaniem. Chciałem i nie chciałem, aby ta znajomość zakończyła się za jakieś dwadzieścia minut przy taśmie z bagażami. I zrobiłem coś, czego potem, po latach być może żałowałem.

Zaproponowałem jej spacer po Oslo, żeby się zrelaksowała, zanim będzie się mierzyć ze stresem jutrzejszego lotu. Zgodziła się nadzwyczaj łatwo, być może jeszcze w emocjach po locie dzisiejszym, nie tych wywołanych poznaniem mnie. Kiedy kierowałem się na peron pociągu, ona odbiła w drugą stronę, bo przyjechała po nią ponoć koleżanka. Zdziwiło mnie, że nie zaproponowała podwózki, ale wręczyła mi zgrabną wizytówkę. Agata Snissen, asystentka projektanta wnętrz, Tromsø, krótszy niż polski numer telefonu komórkowego. Zachowałem ją przez wszystkie te lata. Natrafiłem na nią trzy dni po zaginięciu, była w szufladzie naszego stolika nocnego. Zmięta i wysłużona, przypomniła mi nasz początek. Kiedy odbierałem wizytówkę z rąk Agaty na lotnisku, byłem szczęśliwy i podekscytowany. Gdy trzymałem ją w dłoni po latach, mogłem już tylko płakać za przeszłością, która nigdy nie wróci. I przez łyzy myśleć chwilę o tym, że najlepiej by było, gdybym tę wizytówkę wyrzucił natychmiast po jej otrzymaniu.

Nazajutrz do naszego spotkania jednak nie doszło. Oboje mieliśmy sporo na głowie: ja wprowadzanie się do nowego mieszkania przy Frederik Stangs gate, we Frogner, dzielnicy zupełnie innej niż wielokulturowa Grünerløkka, ona dość wczesny lot do siebie, zatem z rana miałaby dla mnie, o ile by się zgodziła, dosłownie godzinę w centrum miasta, a oboje mieliśmy wrażenie, że to może być

dla nas za mało. Zadzwoiła do mnie z przeprosinami i prośbą o trzymanie kciuków za kolejny lot. Jej głos w telefonie zapowiadał coś, czego nie mogłem się doczekać. Pojawił się taki rodzaj ekscytacji, jakiego jeszcze nie doświadczyłem. Wiedziałem, że usłyszę ją ponownie już niebawem i że to coś przyjemnego dla mnie przyniesie.

Moja nowa kawalerka, w której przyszło mi mieszkać kilka dobrych lat, umiejscowiona była na osiedlu zamieszkiwanym przede wszystkim przez Norwegów. Było tu ciszej i bardziej kameralnie. Na tym etapie życia bardzo mi to odpowiadało. Odnosiło się wrażenie, że to jakaś spokojna enklawa w mieście, które codziennie gotowało się od różnorodności i wciąż na nowo zmieniało swoje oblicze, bo budowano coraz więcej i w coraz bardziej industrialnym stylu, zwłaszcza na wschodzie Oslo. Tu, gdzie znalazłem mój tymczasowy azyl, spotykała mnie swego rodzaju bezpieczna pustka. Pracując całymi dniami „w literkach”, odnosiłem wrażenie, jakbym mieszkał tu sam, a pozostali mieszkańcy przemykali po cichu, by w żaden sposób nie zaznaczać swojej obecności, nie rzucać się nikomu w oczy.

Mieszkanie urządziłem w stonowanych kolorach – odcienie szarości, trochę ponadczasowej czerni i kilka subtelnych, ale przyciągających uwagę dodatków w kolorze kości słoniowej lub lubianej przez nordyckie narody bieli. Najbardziej ceniłem sobie materac na paletach. Nigdy nie zainwestowałem w normalne łóżko, a to, co zostawili dla mnie właściciele, było najwygodniejszym miejscem do spania, jakie mogłem sobie wyobrazić. Oczywiście przesiadywałem tam również, pracując, choć bardzo starałem się o to, by do pracy służył mi salon, a tam postawa wyprostowana przed laptopem. Z czasem stało się to normą, a mieszkanie praktycznie nie zmieniało wyglądu od momentu, w którym w nim zamieszkałem. Gdy Agata była u mnie po raz pierwszy, podsunęła mi kilka pomysłów na ciekawe aranżacje, lecz skończyło się tylko na pomysłach. Nie chciałem inwestować w mieszkanie, które było tymczasowe. Od jakiegoś czasu czułem, że Oslo to jednak nie jest moja docelowa miejscówka w Norwegii. Starając się żyć normalnie, korzystając z tego życia i biorąc udział we wszystkich ważnych dla mnie

wydarzeniach w mieście, jednocześnie podejmowałem szereg kroków, aby zdobyć norweskie obywatelstwo, był to dla mnie priorytet, ten drugi, bo pierwszym było zdobywanie Agaty.

Niebywałe, że tak długo dzieliło nas ponad tysiąc siedemset kilometrów, ale udawało się nam coraz bardziej zbliżać, nasza wzajemna obecność w życiu tego drugiego stawała się intymna i niezbędna dla normalnego funkcjonowania. To Agata odezwała się pierwsza po powrocie do Tromsø. Ona też narzucała częstotliwość i długość naszych spotkań online. Podczas nich czułem, że nade mną dominuje, jest jej w różny sposób za dużo, że czasami mnie przytłacza. Dlaczego do niej przygląnąłem? Nie było w tym niczego nieprzemyślanego, to nie był żaden akt desperacji po latach braku kontaktu z płcią przeciwną. Agata wydawała mi się niesamowicie pragmatyczna, a jednocześnie wrażliwa. Czuła na wiele detali. Bezbłędnie odczytywała różne moje stany emocjonalne, bardzo często dopasowywała się do nich. Była kobietą, przy której mogłem szaleńczo się śmiać, ale również płakać. Zwłaszcza że w pierwszym roku pobytu w Oslo doskwierały mi niezrozumiałe dla mnie stany wyjątkowego przygnębienia. Jakby ktoś wyjął mi baterie z pleców, zawieszałem się. Nie byłem w stanie normalnie funkcjonować, nie mogłem pracować. Miałem wrażenie, że dręczy mnie miasto, które do tej pory jedynie zachwycało. Zwykle snułem się wtedy po Vigelandsparken, przystając przy kolejnych rzeźbach na długie minuty. Analizowałem ukrytą w nich agresję. Vigeland portretował ludzką furję i ludzki gniew w niebywały sposób. Tylko wycieczki do tego parku i rozmowy z Agatą pozwalały mi przetrwać ten emigrancki spleen. Były momenty, w których wahałem się, czy to właściwa droga. Czy chcę zostać w Norwegii, stać się Norwegiem, wejść w ten uporządkowany, swobodny i bardzo wygodny tryb życia, bo zasadniczo w tym kraju nie działa się nic, co mogłoby wywoływać stres albo jakikolwiek dyskomfort. Miałem pracę, sporo zleceń od norweskich wydawnictw. Gdybym przyjmował podobne w Polsce, nie wiem, czy zarobiłbym na czynsz i opłaty. A tutaj mogłem się utrzymać. Robiłem to, co lubię, i naprawdę nieźle na tym zarabiałem. Nie miałem żadnych problemów ze zdrowiem, więc nie zetknąłem się jeszcze z norweskim systemem

opieki zdrowotnej. Zbliżałem się z kobietą, z którą bardzo chciałem być jeszcze bliżej. Dużo ćwiczyłem, dbałem o siebie. Chodziłem na siłownię, aby nigdy już nie pojawiły się na moim ciele te pulchne boczki. Coraz częściej z przyjemnością oglądałem swoją nagą sylwetkę w lustrze. Żyłem w kraju, w którym nikt się do niczego nie spieszył i praktycznie nikt nikomu niczego nie zazdrościł. Nikt też nie gonił tu za pieniędzmi jak moi podhalańscy rodzice, choć status majątkowy miał w Oslo znaczenie. Zwłaszcza w dzielnicy, w której mieszkałem.

Nauczyłem się, że Norwegowie są silnymi nacjonalistami mimo ogromnego otwarcia, serdeczności i pokładów empatii, których nie okazywali na co dzień. Uwielbienie dla rodu królewskiego i w zasadzie wszystkiego, co norweskie, udzielało mi się zwłaszcza 17 maja, kiedy to wszyscy wokół zachowywali się zupełnie inaczej niż na co dzień. A to dlatego, że od rana sporo pili, bo był to jeden z niewielu takich dni, kiedy alkohol stawał się w tym kraju trunkiem dodającym energii. Tak czy owak, nacjonalizm po norwesku nie brzmiał tak przerażająco jak w Polsce. Był radością i dumą, nie zacierzeniem czy gniewem.

I to właśnie w święto narodowe przyleciała do mnie po raz pierwszy Agata. Po blisko pół roku kontaktowania się za pomocą komunikatorów internetowych zbudowaliśmy taką relację, w której oboje czuliśmy się bardzo dobrze. W trakcie mijających miesięcy coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że chcę z Agatą dzielić życie. Sprawiała wrażenie naprawdę samotnej na tej północy i czułem się trochę odpowiedzialny za to, jak postrzega świat. Zwłaszcza że oferowała mi wiele zrozumienia w tych trudnych dniach.

Mieliśmy dla siebie kilka dni, ale ten jeden, dzień narodowego szczęścia, spędziliśmy na pikniku, na którym Agata poznała Marcina i kilku moich nowych norweskich znajomych. Zaskoczyła mnie tym, jak się przedstawiła. Kobieta Michała, miło was poznać. Moja kobieta. Dotychczas była tylko twarzą na monitorze, ale również wieloma czułymi słowami w niezliczonych mailach. Wciąż usiłowałem wdrzeć się do sfery jej zapewne bolesnych przeżyć, jednak zamykała się przede mną. Wiedziałem, jak wyglądało jej życie przed przybyciem do Norwegii, a potem następowała jakaś ciemna plama, Agata wyłaniała się z niej jako

studentka z Oslo, a później doskonale sobie radząca w swoim fachu mieszkanka Tromsø, z którym łączyła ją jakaś specyficzna, choć w moim odczuciu mroczna więź. Nie pozwalała mi zbliżyć się do siebie z dzieciństwa i młodości, jakby te okresy w ogóle nie istniały. Nigdy też nie opowiadała o tym, czy w jej życiu przede mną pojawił się jakiś ważny mężczyzna, czy ma za sobą zamknięte związki, czy naprawdę gotowa jest na związek ze mną. Jej zagadkowość czyniła ją dla mnie bardziej atrakcyjną. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co w sobie niesie. Nie wiedziałem, że trzymała mnie na bezpieczny dystans i w takim dystansie powinienem wtedy zostać. A potem odejść, kiedy nie było jeszcze za późno.

Nasze pierwsze fizyczne zbliżenie było niezwykle. Z jednej strony bardzo mnie satysfakcjonowało, z drugiej jednak – trochę przeraziło. Agata nie mogła się doczekać, gdy pożegnamy wesołe towarzystwo i przeniesiemy się ze wschodu miasta do mojego mieszkania, które chciała potem modelować wedle własnego gustu. Później wszystko odbywało się powoli, z celebracją. Wspólny prysznic, długi i pełen namiętności. Dotykaliśmy się z delikatnością wyregulowanego wcześniej strumienia płynącej na nas wody. Na początku odsłaniała przede mną swe ciało z dużą wstydlivością. Robiła to powoli, bardzo nieśmiało. Poza blizną na czole, o której wiedziałem od dawna, miała również ślady na innych częściach ciała. Dość długa linia prosta wiodła przez jej prawe udo. Nad lewym sutkiem skóra wyglądała w jednym miejscu tak, jakby doświadczyła silnego poparzenia. O tym zresztą wspomniała, zdarzyło się to stosunkowo niedawno.

Ciało Agaty było niedoskonale piękne. Pozwoliła mi dotknąć blizn, ale nic na ich temat nie powiedziała. Przymknęła na moment oczy, potem je otworzyła, widziałem tam ślady łez, to nie była woda spod prysznic. Potem prowadziła moją rękę po swym ciele w taki sposób, bym nabrał pewności siebie. Odprężała się z każdą kolejną minutą. Stawała się wiotka, gotowa na mnie. To było jak podróż palcem po mapie miejsca, które zawsze chciało się zobaczyć i poznać. Dotyk jej warg oraz gorący pocałunek w wodnych strugach zapadły mi w pamięć najbardziej.

O prezerwatywę pytała dwukrotnie – pod prysznicem i wówczas, kiedy zapalałem w salonie świece, aby było bardziej romantycznie. Stamtąd mieliśmy się

przenieść na mój wygodny materac, lecz Agata zdecydowała, że najpierw popieścimy się w salonie. Chciała oglądać moje ciało centymetr po centymetrze, a wówczas miałem być z czego dumny, bo od co najmniej kilku miesięcy solidnie pracowałem nad rzeźbą. Po choćby odrobinie tłuszczu na moim ciele już dawno nie było śladu. Wiedziałem, że to jej się podoba. Agata była bardzo zachłanna, ale jednocześnie delikatna. Drżała przy każdym dotyku, dopiero z czasem jej ciało przyzwyczało się do moich rąk i języka.

A potem stało się coś, co na moment zatrzymało czas, wyrwało się jakby z kontekstu, spłoszyło mnie i wyobraziłem sobie, że w tej chwili gasną nasze piękne świece. Czar spotkania pryska. Namiętność znika.

Ugryzła mnie. W prawą małżowinę uszną. Bardzo mocno.

Ból był niczym w porównaniu z tym, jak zagubiony i dezorientowany się poczułem. Ona po prostu się uśmiechała. Pojawiła się krew, którą zaczęła zlizywać. Moja erekcja momentalnie zniknęła, stałem się bardzo usztywniony i starałem się wyczytać z jej oczu, o co chodzi. Wszystkiego się spodziewałem, ale nie czegoś takiego. Gęste włosy zasłaniały częściowo jej twarz, kiedy pracowała językiem przy mojej ranie, jednocześnie starając się przywrócić rozbitą tym incydentem atmosferę. To stało się nagle i odniosłem wrażenie, jakby w ogóle nie miało miejsca. A jednak miało, bo ucho bolało mnie przez kilka kolejnych dni. Tymczasem przeszliśmy dalej, choć przez chwilę miałem blokadę, nie potrafiłem kontynuować. W końcu, spragnieni siebie, wylądowaliśmy mimo wszystko w sypialni. Materac okazał się znakomity nie tylko do spania. Byłem znów gotowy, moje ciało pragnęło połączyć się z jej ciałem. Prezerwatywę nakładałem nieporadnie, bo nie miałem w tym wielkiego doświadczenia. Uśmiechała się i w tym również mi pomogła. Było mi trochę wstyd, że trzęsą mi się dłonie dzierzące kawałek zrolowanej gumy. Tamtego wieczoru, ale też później, o poranku, Agata ani słowem nie odniosła się do ugryzienia mnie, jakby to w ogóle nie miało miejsca.

To był pierwszy ból fizyczny, jaki mi zadała. Po latach wspominałem każdy kolejny jako swoją własną ofiarę. Poświęcałem swoje ciało w imię miłości do niej.

Dawałem jej pole do specyficznego testowania, treningu siły i bezwzględności. A ona próbowała z nim różnych rzeczy, zachłanna i zaborcza, aby po chwili stać się najsubtelniejszą z kochanek. Nigdy nie dało się przewidzieć, kiedy będzie agresywna, a kiedy czuła.

Po tej nocy wiedziałem, że jestem najbliżej Agaty, jak to tylko możliwe. Jej uśmiech i to, jak dawała mi do zrozumienia, że ze mną jest najszczęśliwszą kobietą w całej Norwegii, dodawało mi energii, czułem się niezwykle potrzebny. Miałem wrażenie, że zaczynamy tworzyć związek na całe życie. Została jeszcze na kilka dni. Czytaliśmy sobie swoje maile, nawiązywaliśmy do ich treści, wyjaśnialiśmy niedomówienia, skomplikowane kwestie, tak aby wszystko było jasne, czuliśmy niesamowitą harmonię i tworzyliśmy przestrzeń absolutnego zaufania. Dużo się razem śmialiśmy, a w tym wszystkim moje ucho nadal pulsowało lekkim bólem. To był czas, w którym wciąż wmawiałem sobie, że taki incydent wydarzył się przypadkowo, że więcej nie powtórzy się nic tak przerażającego.

Agata pokazała mi kilka miejsc w Oslo, jak również mieszkanie koleżanki, które za znaczną kasę dla niej urządziła. Była z niego dumna, jakby należało do niej. Jana wydawała się równie szczęśliwa, a także niesamowicie zadowolona z faktu, że może mi to mieszkanie pokazać, że dzięki temu dowiem się o profesjonalizmie Agaty i to doda jej jakichś punktów w moich oczach. Byłem szczęśliwy, bo mogłem dawać komuś szczęście. A ona z wielką radością pokazywała mi efekty swojej pracy. Później rzuciliśmy się w wir nocnego życia w Oslo, po którym oprowadzał nas Marcin. Szaleliśmy do białego rana. Nienasyceńsami sobą, zaraz po powrocie kochaliśmy się szybko i bardzo intensywnie. Już nie było z mojej strony żadnego wstydu, a z jej strony śladu agresji. Nasze ciała się dopełniały. Nasze oddechy stały się jednym. To było uczucie, w którym się zatraciłem, bo chciałem należeć do niej, tylko do niej. W taki sposób Agata została w moim życiu. Ze swoim ciałem, zapachem i pomysłem na nasze wspólne życie. Jak bardzo był przerażający, miałem się przekonać już niebawem.

Gdybym tamtego wieczora wsłuchał się, jak między czwartym czy piątym browarem Marcin usiłował wydukać, że w tym wszystkim coś mu nie pasuje i ma

jakieś złe przeczucia, może nie wpadłbym w tak wielką euforię planowania naszego wspólnego życia. Może wówczas dałbym sobie czas. Przyjrzał się Agacie z dystansu. Bo przecież dałem się podejść w tak łatwy i przewidywalny sposób. Mogłem wszystko rozegrać inaczej. I sporo bym wtedy wygrał. Być może inne, lepsze życie.

To niebywałe, ale dopiero ponad pół roku później postanowiłem wreszcie odwiedzić Agatę w Tromsø. Przez ten czas oficjalnie byliśmy razem i ten status związku wciąż na nowo określała odległość, która nas dzieliła. Codzienna komunikacja internetowa wydawała się wystarczająca. Doskwierało mi to, że nie możemy być bliżej siebie, ale po każdym połączeniu, po każdej rozmowie z Agatą utwierdzałem się w przekonaniu, że na to, co najlepsze, muszę jeszcze poczekać. Nasz związek był przez cały czas smakowaniem czegoś nieznanego. Odległość wzmacniała apetyt, a nadzieje na przyszłość rosły – przede wszystkim pośród wyobrażeń uzupełniających wideorozmowy, które zawsze dawały nam dużo satysfakcji.

Wreszcie zdecydowałem się polecieć na północ. Nie sądziłem, że wrócę stamtąd odmieniony. Nie wiedziałem, że wydarzy się coś, co naznaczy mnie na zawsze. Przez co dowiem się o sobie czegoś, czego wolałbym nigdy nie wiedzieć. Wedrze się bolesną raną między mnie i Agatę, jakby miała to być tym razem moja blizna na ciele do naszej wspólnej intymnej kolekcji.

Gdybym wiedział, co się wydarzy, pewnie bym się nie zdecydował na tę podróż. Na kolejną. Na to, na co przystałem. Na konsekwencje pewnej nocy, które zmieniły wszystko. Nie wiem tylko, dlaczego nie oddaliły nas później od siebie. Dlaczego Agata zdecydowała się za mnie wyjść. Dlaczego ja nie stanąłem twarzą w twarz z konsekwencjami tego, co zrobiłem.

Lot do Tromsø w ten mroczny styczniowy wieczór odbywał się bez przeszkód. Do czasu. Zawsze uwielbiałem latać, ale po lądowaniu w mieście Agaty zacząłem zdawać sobie sprawę, jak niebezpieczne może być to, co przez całe życie było dla

mnie powodem do euforii. Nigdy bowiem nie lądowałem w sztormie. Pilot zapowiedział jakieś trudności podczas zbliżania się do ziemi, określił nawet turbulencje mianem niewielkich, jednak nic nie mogło mnie przygotować na ostatni koszmarny kwadrans lotu. Całym boeingiem rzucało jak pudełkiem po zapalkach. Unosił się i opadał, trząsał we wszystkie strony, a w pewnym momencie miałem wrażenie, że po prostu pikujemy i zmierzamy ku katastrofie. Nie krzyczałem jak inni ludzie na pokładzie, ale ślady potu moich dłoni kurczowo trzymających się dzinsów na kolanach były widoczne jeszcze długo po wyjściu z samolotu. Agata nie uprzedziła o tym, jakie warunki atmosferyczne czekają mnie na miejscu. Pilot naszego kursu pewnie również nie uznał ich za jakoś znacząco odbiegające od północnej normy. Kiedy w końcu koła uderzyły o pas startowy, a samolot przestał dodatkowo się przechylać, czego nigdy nie doświadczyłem podczas lądowania, byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, wychodząc na uginających się nogach z tego blaszanego pudła.

Lotnisko w Tromsø było maleńkie. Agata czekała na mnie ubrana w niebieską kurtkę, czarne trapery, białe spodnie i owinięty wokół szyi gruby, wełniany szal. Jej oczy świeciły się ze szczęścia. Tak wspaniale było wreszcie ją zobaczyć i dotknąć. Sztorm na lądzie jej służył, bardzo lubiła silny wiatr. Nie spodziewała się, że wyjdę do hali przylotów blady tak samo, jak blada była ona podczas naszego pierwszego wspólnego lotu.

Trudno określić to, co uderzyło w nas po wyjściu na zewnątrz, mianem wiatru. To było jakieś szaleństwo. Kilka minut drogi do zaparkowanego nieopodal samochodu Agaty było walką z rozszalałym żywiołem. Walizka wyrwała mi się z ręki i odjechała o prawie dwieście metrów. Goniąc ją, słyszałem, jak Agata głośno się śmieje, tonąc w burzy swych czarnych włosów, z którymi potężne poddmuchy robiły, co chciały. Kiedy wreszcie dotarliśmy do jej auta, byłem skrajnie wyczerpany. Nigdy jeszcze nie doświadczyłem tak szaleńczego wiatru. Potem zobaczyłem, co się dzieje z samochodami, które z trudem utrzymywały się na szosie. Agata była bardzo skupiona na prowadzeniu i wiedziałem, że dowiezie nas bezpiecznie. Obok niej przestał dla mnie szaleć żywioł wokół. Mimo wszystko

wszechobecny szum wichury był tak silny, że zagłuszał nawet radio. Jechaliśmy w milczeniu, Agata postanowiła wyłączyć odbiornik. Niezwykle skoncentrowana na drodze, nie spojrzała na mnie ani razu. Tymczasem ja mogłem delektować się widokiem jej pięknego profilu o zaciśniętych wargach przez całe dwadzieścia minut, które zajęło nam dotarcie do jej mieszkania.

Agata wynajmowała mieszkanie w trzypiętrowym budynku przy Parkgata. To było samo centrum miasta, ale musiałem jej uwierzyć na słowo. Tromsø tonęło w mroku i dowiedziałem się, że przynajmniej w zimie muszę się do tego przyzwyczaić.

Trzeba to przyznać, od razu było wiadomo, że wkracza się na terytorium projektantki wnętrz. Mieszkanie składało się z dużego salonu, sporego aneksu kuchennego, przytulnej sypialni i nowocześnie urządzonej łazienki z wanną, do której wskoczyliśmy razem chwilę po tym, jak koła mojej walizki stuknęły o drewnianą podłogę, a ja po raz pierwszy od blisko godziny mogłem spokojnie złapać oddech. Zaaranżowane ze smakiem mieszkanie natychmiast przywołało we mnie poczucie, że jestem we właściwym miejscu i z właściwą osobą.

Agata tuliła się do mnie jak kotka. Jakby po tej jeździe z kamienną twarzą włączył się jej inny tryb. Najpierw zdjęła z szyi szal i ścisnęła mnie przez kilka minut. Była miękka i pachnąca, czułem to nawet przez nasze obie kurtki. Nonszalancko zrzuciła swoje ciężkie buty, nie zwracając uwagi na to, że resztki śniegu rozsypały się po podłodze, a chwilę później zamieniły w plamy, które sam potem wytarłem, bo mi przeszkadzały. Przygotowała dla mnie pyszny makaron z pomidorami i wołowiną. Ale jedliśmy dopiero wówczas, gdy nasyciliśmy się sobą w gorącej wodzie. Byłem szczęśliwy i spełniony. Zamierzałem tu zostać przynajmniej przez tydzień, aktualne zlecenia mogłem wykonywać zdalnie, nie musiałem się o nic martwić, miał to być nasz czas, nasza rekompensata za minione pół roku.

Po kolacji wreszcie udało mi się dokładnie obejrzeć mieszkanie. W centrum salonu stała beżowa sofa, do niej dobrane zostały kolorystyczne dodatki. Uwagę przyciągał zwłaszcza smukły, szklany wazon. Stał na podłodze, był bardzo duży.

Pomieszczenie uzupełniały drewniane regały, gibkie i bardzo miękkie fotele, nie zauważyłem nigdzie telewizora, ale ściany zagospodarowano przykuwającymi wzrok grafikami. Na jednej z nich zobaczyłem kontur lecącego ptaka, wokół którego widoczne były szare i czerwone plamy. Czarna kuchnia tworzyła niesamowity kontrast z salonem. Każdy detal został przemyślany. Ta odważna kolorystyka definiowała w moich oczach Agatę. W tej kuchni chciałoby się gotować, jeść, ale i spać. Wypolerowane blaty błyszcząły. Czerwony zegar tworzył doskonały duet z ciemną całością.

Agata mieszkała tu od dłuższego czasu i zadbała naprawdę o wszystko. Łóżko w sypialni było duże i miękkie. Wydaje mi się, że nawet wygodniejsze od mojego materaca w Oslo. Nad nim powiększone i oprawione w czarną ramę ujęcie zorzy polarnej, które zapierało dech w piersiach. Leżąc na jej łóżku, przyglądałem się pozostałym ścianom. Na jednej z nich zobaczyłem coś zaskakującego i nie dowierzając, wstałem, by przyjrzeć się temu bliżej. Tak, bez wątpienia na gwoździu wisiał mój T-shirt. Ten jasnoniebieski, który Agata zdarła ze mnie po gorącej nocnej eskapadzie w Oslo. Szukałem go przez jakiś czas, potem dałem za wygraną. Co robił u niej na ścianie?

Kiedy wyszła z łazienki, zapytałem o koszulkę. Agata uśmiechnęła się tajemniczo, a potem zrzuciła szlafrok i włożyła ją na gołe ciało. Powiedziała, że to jej najcenniejsze trofeum. Nie wiedziałem, że byłem dla niej niczym zwierzę do zdobycia. Nie do końca podobały mi się jej żarty, choć trzeba przyznać, że podnieciła mnie moja koszulka opinająca jej ponętne piersi. Szybko się jej pozbyliśmy i dokończyliśmy to, co zaczęło się między nami w wannie. Nie wracałem już do tematu T-shirtu, ale widziałem, że podczas mojego pobytu po prostu schowała go do szafy. Miała mnie żywego obok siebie, niepotrzebne jej były zamienniki. Temat koszulki przepadł. Tak jak wygaszane były inne, bardzo ważne tematy do omówienia. Tak jak ignorowałem sygnały świadczące o tym, że wyjątkowość Agaty nie jest tym, czego się spodziewałem.

Trudno było określić początek dnia w Tromsø porankiem. Kiedy leniwie jedliśmy śniadanie po dziewiątej, na zewnątrz wciąż było całkowicie ciemno. Ta

ciemność wydawała mi się obezwładniająca, a mieszkanie mojej kobiety było bezpieczną, jasną przystanią, w której nie trzeba było się lękać mroku. Dopiero potem zrozumiałem, że nawet ciemności za oknem były bezpieczniejsze niż przestrzeń dzielona z Agatą. Między kęsami tosta z dżemem uświadomiła mi, że słońce zagląda tutaj teraz ledwie na kilka godzin, co i tak stanowi wielką różnicę w porównaniu z nocą polarną, na którą na razie się nie załapałem, a która po latach rok po roku budziła we mnie coraz większy niepokój pomieszany z zachwytem. Ponieważ wiatr ustał, Agata zaproponowała obejrzenie miasta prawie z lotu ptaka. Pojechaliśmy poza wyspę, gdzie zaparkowała tuż przy wejściu do kolejki Fjellheisen. Na szczycie było bardzo zimno. Drobinę śniegu prószyły mi przed oczami, stwarzając atmosferę jakiejś lodowatej przestrzeni, w której nie mogłem się odnaleźć. Widok ze szczytu zapierał dech w piersiach. Do tego krystalicznie czyste powietrze, jakiego nie doświadczyłem jeszcze w Norwegii, a przecież w Oslo jest czym zdrowo oddychać. Agata zaplanowała tę wycieczkę w taki sposób, abyśmy już na górze złapali to słabe światło, które w styczniu nazywano tam dniem. Wypogodziło się i zobaczyłem, że miasto w znacznej mierze leży na wyspie, a my oglądamy jego nieoczywistą, kuszącą stronę. Byliśmy w centrum Tromsø, ale właściwie od niego oddaleni. Kiedy wtuleni w siebie piliśmy kawę z termosu, Agata powiedziała mi, że bardzo chciałaby kiedyś zamieszkać w tej okolicy. Nie sądziłem, że tak konsekwentnie będzie realizować swój plan. We wszystkim była metodyczna i nigdy nie odpuszczała. Zawsze osiągała cel.

Wieczorem wybraliśmy się do jej norweskich znajomych. Chciała, bym poznał ludzi, z którymi jest tu blisko. Ida i Lars mieszkali w bajkowym, czerwonym domku, który urządzili niezwykle przytulnie. Znali się z Agatą od lat, Ida nawet od czasu, kiedy dziewczyny razem chodziły do szkoły. Oboje z Larsem bardzo dyskretni, uśmiechnięci i otwarci, ale wciąż jakby na baczność przed pełnym luzem. Miałem czas, by oswoić się z tym w Norwegii i nie oczekiwać, że spotkania towarzyskie będą się tu odbywać z typowo polską wylewnością i ekstrawertyzmem. Ida mierzyła mnie wzrokiem szczególnie uważnie, a Lars zaprosił na taras, gdzie nękani przez chłodny wiatr zapaliliśmy fajkę. Unikałem

tytoniu, to Agata bardziej mu ulegała. Palenie w Norwegii to w ogóle bardzo kosztowna sprawa. Niemniej zbratanie się z Larsem przy fajeczce było niezwykle sympatyczne. Do czasu, kiedy nie zaczęły w nas uderzać lodowate szpilki zmarzniętego śniegu. Na Larsie nie robiły wrażenia, ale ja chciałem się jak najszybciej znaleźć w ciepłym pomieszczeniu.

Agata kwitła. Ida patrzyła na mnie z szacunkiem, a moja dziewczyna opowiadała o tym, jak doskonale tłumaczę książki i że już od jakiegoś czasu jestem uznanym redaktorem jednego z norweskich wydawnictw. Lars także był pod wrażeniem. Oboje dużo czytali, rozpoznali nawet tytuły, o których mówiła im Agata. Na stół wjechał smażony dorsz z opiekanymi ziemniakami i szpinakiem. Na podorędziu wciąż znajdowały się świeże krewetki z czosnkiem. Przystawka bardzo lubiana w norweskich domach. Niestety, nie przepadałem za owocami morza i Agata nigdy nie zdołała mnie zarazić swoją pasją do nich.

Po godzinie dołączyła do nas jeszcze jedna para. Marit i Thomas. Zakochani w sobie, młodzi, ale nieszczęśliwi. Marit zmagала się z rakiem trzustki, była już po kilku chemioterapiach. Wyglądała ponuro, miała szarą twarz, ale jasne oczy wciąż pełne życia, głowę skrytą pod gustowną czapkę. Niewiele mówiła, starała się jednak uśmiechać i było w niej najwięcej serdeczności spośród wszystkich tych obcych ludzi, którzy mnie otaczali. Thomas był gotów podać jej ramię w każdej chwili, ale Marit starała się pokazać, że jest samodzielna. Przyjście tutaj również było dla niej ważne, nie akceptowała ograniczeń swojej choroby, chciała uczestniczyć w życiu tak aktywnie, jak tylko się dało. W oczach Thomasa patrzącego prawie cały wieczór na Marit widać było jednocześnie ogromną miłość i przerażającą bezradność. Kiedy Agata przytuliła Marit na powitanie, miałem wrażenie, że ta rozpadnie się w jej uścisku. Gospodarze byli mniej wylewni. Thomas praktycznie cały czas był dość spięty, gotowy na jakąkolwiek niedyspozycję swojej partnerki. Jednocześnie był bardzo ciekawy, kim jest ten mężczyzna, który zawrócił w głowie Agacie, czyli ja.

Wszyscy obecni bardzo chwalili to, jak płynnie mówię po norwesku. Po pewnym czasie czułem się z tym trochę jak tresowany pies, którego umiejętności

podziwiają zebrani, klaszcząc i rzucając w nagrodę jakieś smaczne kąski. Agata usiłowała zbliżyć do moich ust krewetki serwowane na srebrnym widelczyku. Na początku jedynie pokręciłem głową i to wystarczyło, by porcja trafiła do jej przełyku. Za drugim razem, w tym geście wykonywanym jakby mimochodem, była już wyraźna stanowczość, a ręka z widelczykiem atakowała, wdzierając się w miejsce, którego nie powinna anektować. Otworzyłem usta i przełknąłem z obrzydzeniem to, co mi zaserwowała.

Chyba tylko Thomas zauważył wtedy, ile determinacji i władczości było w tym geście. Agata wpatrywała się we mnie, a w jej wzroku tańczył ogień. Nie było opcji, abym znowu podziękował. Musiałem zjeść coś, co stawało mi w gardle. Coś, czego nie znosiłem, a ona o tym doskonale wiedziała.

Poza tym wieczór mijał bardzo sympatycznie. Ida na przemian z Larsem opowiadali o swoich podróżach do ciepłych krajów. Niedawno wrócili z Kenii. Lubili jeździć tam, gdzie jest ciepło i gdzie mają dużo słońca. Wielbiciele polarnego dnia. Mogliby tkwić w słonecznym blasku całą dobę. Nikt nie skomentował aktu agresji, jaki przed chwilą miał miejsce przy stole, ale miałem wrażenie, że nie tylko Thomas zarejestrował tę nieprzyjemną chwilę. Agata uzupełniała narrację przyjaciół o opisy słonecznej aury w południowej Hiszpanii, gdzie całkiem niedawno była. Nie wiem, czy czegoś nie zapamiętałem, ale w naszym codziennym kontakcie przez minione pół roku nie pojawiła się nawet wzmianka o tym, że wybiera się na południe Europy. A potem ani myśleliśmy wybierać się kiedykolwiek w ten rejon kontynentu.

Marit także zabrała głos, choć widać było, że robi to z trudem. Zapytała, czy widziałem już zorzę polarną. Agata odpowiedziała za mnie, że dopiero wczoraj przyleciałem, a na razie zachmurzenie jest tak duże, że nie było okazji. Marit zignorowała to, co mówiła Agata, wpatrując się we mnie swoimi pięknymi oczami. Powiedziała, że niebawem czeka mnie naprawdę wyjątkowe widowisko na niebie. Thomas, tuląc ją do siebie, stwierdził, że zorza jest dla nich za każdym razem magicznym przeżyciem i że mogą ją widzieć zawsze bardzo dobrze, bo mieszkają na peryferiach miasta, gdzie światła nie rozpraszają widoczności. Wychodzą wtedy

na taras i zapominają o tym, że noc jest chłodna albo zimna. Agata zerknęła w telefon, zajrzała do jakiejś aplikacji i zasugerowała, że być może nazajutrz wieczorem udamy się na polowanie, bo będą dobre warunki atmosferyczne. Chciała zaprosić kogoś z obecnych, by pojechali z nami drugim samochodem, ale towarzystwo nie podchwyciło jej entuzjazmu. Marit i Thomas chyba z wiadomych względów.

Kiedy Lars zaprosił mnie na kolejną fajeczkę na tarasie, każdy z nas podświadomie odczuwał, że oto gospodarze dyskretnie, lecz stanowczo ogłaszają koniec wieczoru. Zawsze fascynowało mnie w Norwegach to, że tak karnie i instynktownie opuszczają imprezę, choć nikt w zasadzie nie daje wyraźnie znać, że spotkanie towarzyskie się kończy. Połknięta krewetka zaznaczała swoją obecność w moim żołądku i choć zjadłem sporo rzeczy tego wieczora, wciąż czułem dyskomfort, który minął dopiero po kilku zaciągnięciach się fajką. Zarejestrowałem, że Agata przyglądała mi się krytycznie zza okna. Tymczasem Thomas powiedział, że koniecznie musimy spotkać się ponownie, zrobiłem na nim duże wrażenie i bardzo mi kibicuje w staraniach o norweskie obywatelstwo.

Gdybym miał wybierać z tamtego wieczoru osobę, która najlepiej odczytała, jak w gruncie rzeczy niepewnie się czułem, byłby to z pewnością Thomas. Czułość, jaką okazywał Marit, nie miała nic wspólnego z tym, jak traktowaliśmy się z Agatą, choć również myśleliśmy, że to czułe. Opiekun, partner, przyjaciel. Widać, że Marit była szczęśliwa w jego towarzystwie i nie myślała o chorobie. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy się spotkaliśmy. Cztery miesiące później Thomas został wdowcem. Potem staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. A później smutnymi braćmi, którzy utracili swoje kobiety.

Upływu następnego dnia zupełnie nie zauważyłem, bo musiałem trochę popracować, podczas gdy Agata poszła zamknąć jakiś projekt, obiecując mi, że przez resztę mojego pobytu będzie tylko do mojej dyspozycji. Kiedy jej nie było, zawładnęły mną słowa, ale po pewnym czasie poczułem jakiś niepokój bycia

samemu w tym mieszkaniu i mimowolnie skierowałem się do szafy, w której leżała moja koszulka. Zabrałem ją i schowałem do walizki. Nie sądziłem, że ten gest stanie się później przyczyną wielkiej dramy. Obraziła się za to, że ją wziąłem. Gdy Agata pojawiła się w domu, strząsając z włosów resztki śniegu, zapomniałem o pracy i wszystkim, co powinienem tu zrobić zawodowo. To miał być tylko nasz czas i takim się stał.

Wieczorem ruszyliśmy w trasę, by odnaleźć zorzę polarną. Agata prowadziła pewnie i zauważyłem, że jeździ bardzo bezpiecznie po drogach, które pozostawiały tu wiele do życzenia. Nigdy nie zapomnę naszego uścisku w ciemnej i mrocznej przestrzeni, którą wreszcie oświetliła zorza. To wtedy powiedziałem Agacie, że ją kocham. Bezpośrednio i wpatrując się w jej czerwoną od mrozu twarz. Nie miałem odwagi wypowiedzieć tych słów przez łącza internetowe, a chwila była wyjątkowa. Tańczące nad nami kolorowe pasy zieleni i błękitu były świadkami naszego zbliżenia. Jej czułego pocałunku oraz wyznania, że jestem dla niej kimś wyjątkowym. Początkowo trudno było mi dojrzeć zorzę, ale Agata przekonywała, że to kwestia przyzwyczajenia wzroku do ciemności. Kilka minut później doskonale widziałem, jak nad naszymi głowami niebo odgrywa spektakl. Trwało to bardzo krótko, ale zapamiętałem ten moment na zawsze. Mimo tego, że potem w zimie zorze stały się dla mnie codziennością i nie reagowałem już na nie z taką euforią. Agata mnie zaakceptowała. Chciała być ze mną. Tamta noc z zielonymi, niebieskimi, a potem i różowymi smugami na niebie była początkiem naszej prawdziwej bliskości. A przynajmniej bardzo długo wmawiałem sobie, że to jest bliskość.

Później ona zdecydowała o czymś, czego konsekwencje stanęły między nami jak bariera tymczasowo blokująca przepływ miłości. Nazajutrz zakomunikowała mi, że lecimy do Alty, jeszcze dalej na północ. Tam, wspólnie z jej kolejnymi znajomymi, zaprawionymi w boju łowcami zorzy polarnej, mieliśmy obejrzeć dużo ciekawsze podniebne przedstawienie. Agata była przekonana, że czekają nas wyjątkowe dwa dni i żadne z nas nie przypuszczało, co tak naprawdę wyjątkowego miało w nich być. Bukując bilety, uśmiechała się do monitora laptopa. Potem

kochaliśmy się z całą intensywnością, by wyjść naprzeciw mrokowi, rozpalić rzeczywistość tworzoną przez nasze spragnione pieszczoty ciała. Pot parował z nas jeszcze długo po tym, gdy niemal jednocześnie osiągnęliśmy orgazm.

Po raz pierwszy leciałem tak małym samolotem. Śmigło wirowało za oknem, a mnie zapierały dech w piersiach widoki pod nami, bo lecieliśmy bardzo nisko. Mieliśmy szczęście unosić się w powietrzu w pełnym słońcu, którego tutaj było tak mało, i nawet Agata przełamała swoje lęki, chętnie wraz ze mną wyglądała za okno, ściskając moją dłoń i tuląc się z ufnością. Pokryte śniegiem wzgórza na wyspach sprawiały wrażenie majestatycznych i tworzyły pocztówkowy pejzaż. W trakcie niespełna czterdziestu minut lotu zrobiłem chyba setkę zdjęć. Ta przygoda, spontaniczny pomysł Agaty i zgoda jej znajomych na nasze przybycie, napełniały mnie wręcz dziecięcą ekscytacją.

Na miejscu zorientowałem się, że te małe, norweskie samolociki kursują po północy jak autobusy dalekobieżne. Nasz kurs miał dwa międzylądowania, zanim dane mu było dotrzeć do celu. W Alcie wysiedliśmy razem z trójką innych pasażerów, a Agata tłumaczyła, że zaraz dosiądą się kolejni ludzie i że komunikacja lotnicza zastępuje tu lądową bardzo często. Wiedziałem, że do tych rejonów Norwegii nie prowadzą już tory kolejowe, ale nie miałem pojęcia, jakie jest znaczenie regionalnych linii lotniczych.

Wzięliśmy taksówkę z lotniska do hotelu. Agata nie chciała narzucać się przyjaciołom. Wynajęliśmy pokój z widokiem na Katedrę Zorzy Polarnej. Resztki słońca, które już chowało się za horyzont, oświetlały jej surową wysmukłą sylwetkę. Nigdy w życiu nie widziałem takiego kościoła. Kolory tańczyły na metalu i budowla stawała się raz sinoszara, raz różowa i wpadająca w przepiękny błękit. Mieliśmy trochę czasu, żeby się odświeżyć i coś zjeść. Obok hotelu znaleźliśmy knajpkę z kuchnią wietnamską. Alta to małe miasteczko, które jednak ma wytyczone centrum, a w nim coś na kształt galerii handlowej. Zjedliśmy tam ze smakiem i czekaliśmy na telefon znajomych Agaty, którzy najpierw zapraszali do siebie na mały poczęstunek, a potem mieli nam pokazać najpiękniejszą zorzę polarną. Tuż przy hotelu znajdowała się wypożyczalnia samochodów i mieliśmy

w planie wziąć jeden dla siebie, by nie wydawać fortuny na taksówki. Chcieliśmy też drogę wyznaczoną przez jej znajomych przebyć tylko w swoim towarzystwie, drugim samochodem.

Agata mocno wczuła się w rolę przewodniczki i opiekunki. Opowiadała o wojennej historii zatoki, nad którą położona była Alta. O strategicznym dla hitlerowców położeniu tego miejsca. Leżeliśmy w łóżku, masowałem jej stopy, a ona opowiadała. Widać było, że bliskie są jej te rejony i to właśnie tu znalazła swoje miejsce na ziemi, choć przecież wspominała, że mieszkanie w Oslo było dla niej jak wytchnienie, tworzyło lepszy czas. Zbliżało nas to, że coraz więcej elementów wokół odbieraliśmy podobnie, czuliśmy magię tego niezwykłego kraju. To tam, w pokoju hotelowym, Agata po raz pierwszy zapytała, czy nie chciałbym się przenieść i zamieszkać z nią w Tromsø. Było w niej tyle ufności i nadziei. I wielka ekscytacja tym pomysłem. To tam byłem gotów rzucić wszystko i zostać przy niej na zawsze. Nie spodziewałem się, że już za kilka godzin coś w okrutny sposób naznaczy nasze deklaracje bycia razem.

Chyba trochę przysnęliśmy, bo obudził nas telefon Agaty, wygrywając irytującą mnie nieco melodyjkę. Sugerowałem, żeby ją zmieniła, ale bez skutku. Tym bardziej bolesne było wybudzenie się z drzemki. Oczywiście, na zewnątrz było ciemno. Powoli zaczynałem się do tego przyzwyczajać, choć wiedziałem, że na pewno nie polubię ciemności na stałe. Bardzo się potem zdziwiłem tym, co naprawdę lubię.

Kilkanaście minut później zmierzaliśmy już do wypożyczalni samochodów, gdzie Agata wybrała dla nas szare lśniące volvo. Zaoferowałem się, że tym razem ja poprowadzę, bo chciałem poznać trochę te północne bezdroża. Zgodziła się, ale pod warunkiem, że nie wykażę się brawurą za kierownicą, co oczywiście przyrzekłem, chociaż przyjemności z jazdy nie było wiele, gdyż po dziesięciu minutach byliśmy już pod domem naszych gospodarzy.

Bjorn i Toni byli małżeństwem, które od kilku lat mieszkało w klasycznym norweskim domku w kolorze żywej żółci. Towarzyszył im pulchny perski kot. Wyściskali Agatę, mnie podając tylko dłoń i obserwując z bezpiecznego dystansu.

Bjorn był jej przyjacielem ze studiów i od razu na wstępie dowiedziałem się, że latami dał mocno zarabiać liniom lotniczym, ściągając na północ połowę swoich znajomych z Oslo, którym z wypiekami na twarzy pokazywał zorze polarne. Niższy i będący nieco w cieniu męża Toni nie odzywał się za dużo, ale widać było, że ma bystre spojrzenie i dokładnie wszystko analizuje. Jego wypowiedzi cechowały się precyzją, w przeciwieństwie do wypowiedzi Bjorna, i widać było, że jest na zabój zakochany w swoim partnerze. Ich kot łąsił się do moich nóg, jednak Agatę cały czas omijał z daleka.

Chłopcy opowiedzieli nam o tym, że znają czwórkę Polaków w Norwegii. Dwóch budowało im dom, ucząc ich oczywiście najważniejszych polskich przekleństw, a dwójka mieszka w Tromsø i specjalizuje się w wyprawach na zorze, w których oni też są specami, ale nie zdecydowali się na otworzenie własnej działalności, bo bali się, że Kasia i Robert z dużo bardziej atrakcyjnego miasta na północy i tak podbieraliby im wszystkich klientów. My nie byliśmy klientami, mimo tego otrzymaliśmy garść informacji o tym, jak powstają zorze, jak je przewidywać i jakimi sposobami docierać do miejsc, w których są najlepiej widoczne. Toni wniósł na stół pizzę, do której panowie dołożyli jeszcze jakieś mało smaczne ciasto z cynamonem. Nasz koci towarzysz umknął zaraz po tym, gdy zaczęliśmy jeść. Pizza była rewelacyjna. Rozmawiali głównie Bjorn z Agatą, a ja i Toni przytakiwaliśmy, starając się uśmiechać. Agata czuła się tam bardzo swobodnie. Siedząc przy mnie, przytulała się mocno, trzymała moje ramię tak zaborczo, że po kwadransie mi zdrętwiało. Myślałem o tym, jak czułaby się tu moja rodzina, nieogarniająca tego, że w tym kraju rodzinę i małżeństwo może tworzyć dwóch mężczyzn. Moja matka padłaby na zawał. Bjorn tryskał humorem i nie mógł się doczekać naszej wyprawy. Mieliśmy poczekać jeszcze godzinę, a nasze auto miało się trzymać jak najbliżej samochodu chłopaków. To na wypadek, gdyby trzeba było stanąć w miejscu, które nie było przewidziane. Bo zorza to najbardziej kapryśna mieszkanka zimnej północy, jak zgodnie stwierdzili obaj przyjaciele Agaty. Pojawia się i znika, kiedy chce, można ją wyśledzić tylko z pewnym prawdopodobieństwem.

Gdy Agata wyszła do toalety, a w tym samym czasie Toni wyskoczył na papierosa na balkon, Bjorn nachylił się do mnie i porozumiewawczo uśmiechnął. Pamiętam, że mówił prawie szeptem, ale dał mi do zrozumienia, że Agata niesie w sobie sporo bolesnych doświadczeń, które zawsze mogą być między nami. Prosił, bym był dla niej wyrozumiały. By akceptować to, co w niej trudne. Że czasem nie jest sobą. Że coś ją w środku boli. Chyba tak dokładnie to ujął, ale nie zwróciłem wtedy na to uwagi. Wytrząsnął ze swojej gęstej brody w kolorze słomy okruszki ciasta i kiedy Toni wrócił z balkonu, przynosząc do pomieszczenia chłód wraz papierosowym smrodem, obwieścił, że czas najwyższy, by ruszać. Czekala na nas podobno zorza stulecia. Właśnie dziś dała się przewidzieć.

Agata usiadła w fotelu pasażera, włączyła ciepły nawiew i natychmiast zapięła pasy. Dwa razy powtórzyła mi to, co powiedział Bjorn, jakby nie docierało do mnie, że mamy się trzymać blisko naszych przewodników. Ciemność była gęsta i obezwładniająca. Temperatura spadła o kilka stopni, ale to był przyjemny mróz. Olbrzymi wóz Bjorna i Toniego z napędem na cztery koła zawarczał złowrogo, ale po chwili wyciszył się i płynnie wyjechał na pokrytą delikatną warstwą lodu i śniegu drogę. My za nim. Niebo było całkowicie czyste, księżyc doskonale widoczny, to były podobno najlepsze warunki do obserwacji zorzy.

Rzeczywiście zaparło nam dech. Jakby mroźnego powietrza nie dało się nabrać w płuca. Jakby wszystko – nawet funkcje życiowe naszych ciał – zatrzymało się w konfrontacji z pięknem na niebie. Nawet Agata, która oglądała to zjawisko już wiele razy, była pod wielkim wrażeniem. Drżała w moich ramionach i podskakiwała na mrozie, ale nie odrywała oczu od tego, co działo się nad nami. Tańczyły chyba cztery wąskie pasy światła, a jeden tworzył nad nimi oszałamiającą zieloną kopułę. I też się ruszał. Chłopcy mieli ze sobą profesjonalny zestaw do robienia zdjęć i kazali nam przyjąć jakieś atrakcyjne pozy, zrobili wówczas piękną sesję i wszystkie te fotografie nadal posiadam, wywołane na papierze, dwie zawisły w sypialni naszego domu w Tromsø. Zorza zmieniała kształty i kolory przez blisko dwa kwadransy. Wszystko było widoczne jak na dłoni. Obok nas zatrzymali się też jacyś Norwegowie, którzy chłonęli to piękno z niemym zachwytem. Po latach

miałem się przekonać, że wszyscy na północy traktowali nocne światła na niebie jako dobro narodowe, a właściwie regionalne. Nie spotkałem też ludzi, którzy tak bardzo adorowaliby i byliby dumni z czegoś, co mają na co dzień. Zatem tamten wieczór był magiczny, a Agata wyglądała na najszczęśliwszą z naszej czwórki.

Nie chcieliśmy wracać. Przepęłniało nas poczucie nasycenia pięknem natury, ale cieszyliśmy się przede wszystkim naszą miłością. Wciąż wydawało mi się, że ta miłość jest obustronna. Warto było poświęcić czas na lot i hotel, aby być razem w nocnym blasku właśnie w tamtym miejscu. Nadeszła jednak pora powrotu. I po kilku chwilach nic już nie przypominało tego, co mogliśmy sobie wyobrażać.

Na wiele długich lat wyparłem ze świadomości konsekwencje, które mogła przynieść tamta noc. Był czas, kiedy miałem wrażenie, jakby tamto nigdy się nie wydarzyło. Najłatwiej było zapomnieć.

Tymczasem Agata pamiętała wszystko doskonale.

Zaręczyliśmy się dwa dni po tym, co wydarzyło się w Alcie.

Mogłem spodziewać się wszystkiego, ale nie tego. Nie wracaliśmy do wydarzeń, które już na wstępie stworzyły niebezpieczny kształt naszego związku. Przestrzeń niepamiętania i zbierania w niej wszystkiego, co bolesne. Agata nagle okazała się pełną życia i zdecydowaną kobietą, więc uznaliśmy, że to najlepszy czas, żeby się zaręczyć. Przed nami rysowała się tylko wspaniała przyszłość, a ona wyszła z mrocznej mgły wspomnień o tym, co wydarzyło się w Alcie. A raczej dawała mi do zrozumienia, że tak właśnie jest.

Pamiętam jeszcze z pobytu w Tromsø czas, w którym spotkaliśmy się z Thomasem. Marit trafiła ponownie do szpitala i było z nią źle. Ten o głowę wyższy ode mnie potomek dzielnych wikingów płakał nad gorzkim piwem, kiedy próbował nam opisać swoją bezradność. Dłonie mu drżały i wciąż na nowo się otrząsał, jakby chciał z siebie zrzucić jakąś niewidzialną sieć. Siedzieliśmy w kultowym Full Steam, gdzie po raz pierwszy spróbowałem steku z wieloryba, a Thomas stał mi się tamtego wieczora bliższy niż Agata. Długo ścisnąłem go

w ramionach, gdy się żegnaliśmy. Kiedy wracaliśmy pieszo z tego spotkania, ona rumiana od wypitego wina, ja również niepewnym krokiem, choć świadomy, że wydaliśmy w tej knajpie fortunę, zaczęliśmy rozmawiać o tym, co by było, gdyby tragedia Thomasa i Marit wydarzyła się w naszym związku. Agata chciała ze szczegółami wiedzieć, jak bym reagował, co bym czuł. Wymuszała na mnie fantazje, których nie miałem ochoty tworzyć. Wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że lubi mroczne historie, chętnie wchodzi w jakieś paskudne narracje nawet wówczas, gdy są jedynie hipotetyczne. Nie kochaliśmy się tamtego wieczoru, ale trzymałem ją w ramionach mocno, życząc nam zdrowego życia i jak najdalszej od teraz śmierci. Thomas bardzo mnie wzruszył. Zadzwoiłem do niego następnego dnia i chciałem się spotkać sam na sam, ale powiedział, że jedzie do szpitala, chce być przy Marit, bardzo się cieszy, że mnie spotkał i życzy mi z Agatą wszystkiego najlepszego.

Wiedziałem, że zaraz lecę do Oslo, ale niebawem wrócę. Postanowiliśmy, że będziemy żyć razem w Tromsø. Obiecałem Agacie, że będę z nią zawsze, w najtrudniejszej chorobie, największym nieszczęściu. Nie wiem, co jeszcze mogłem jej obiecać. Chciałem, żebyśmy się razem zestarzelili. Oczekiwała ode mnie chyba każdej deklaracji po tym, jak trudna stała się dla nas noc w Alcie, a przede wszystkim milczenie po niej. Żegnaliśmy się tak, jakbyśmy mieli rozstać się na zawsze. Być może właśnie wtedy powinniśmy to zrobić. To wtedy po raz pierwszy widziałem, jak Agata płacze. Miałem okazję doświadczyć tego później wielokrotnie, jednak nie w tak stonowanej formie.

Nie przewidywaliśmy, że minie kolejnych siedem miesięcy, zanim całkowicie zamknę swoje sprawy w stolicy i wybiorę się na północ z takimi samymi dwiema walizkami, jakie wiozłem ze sobą z Polski. Czas przeprowadzki przedłużył się z kilku powodów. Dostałem dwa zlecenia, nad którymi musiałem naprawdę intensywnie popracować. Z Polski przyleciała w odwiedziny moja siostra. Zaskoczyła mnie tym. Chciała wybrać się sama, bez męża i dzieci. To dodawało jej skrzydeł. Była zmęczona swym codziennym życiem i zachwycona tym, co widziała na ulicach Oslo. Szczególnie przypadł jej do gustu budynek opery, ale

oprowadziłem ją po wszystkich ważnych turystycznie miejscach. Na wypadek gdyby miała tu być pierwszy i ostatni raz. Zrobiliśmy sobie sesję zabawnych zdjęć z rzeźbami w Ekebergparken. Moja siostra była jedyną osobą z mojej rodziny, która kiedykolwiek zobaczyła Agatę. Co prawda przez Internet, kiedy na chwilę dołączyła do naszej wideorozmowy, ale dziewczyny zdążyły wymienić kilka zdań. Zorientowałem się, że zupełnie odwykłem od mówionego języka polskiego, choć z tym pisanym wciąż miałem do czynienia, byłem w trakcie tłumaczenia na norweski pewnej polskiej powieści.

Siostra opowiedziała mi o tym, w jaki sposób rodzice się rozstali. Co z jednej strony bardzo mnie zaskoczyło, a z drugiej – wydawało się czymś oczywistym. Że ojciec pewnego dnia miał dość, wyszedł z domu w tym, w czym stał, i więcej nie wrócił. To wszystko poprzedzały jakieś mroczne wydarzenia, po których ojciec zrobił obdukcję i zagroził matce procesem sądowym, jeżeli nie da mu wreszcie spokoju. Siostra z przerażeniem przyglądała się temu, jak na jego policzku przez kilka dni powiększał się siniak. Podobno po odejściu ojciec ruszył jak szalony w nieznaną i okazało się po kilku tygodniach, że zakotwiczył w Wiśle. Siostra miała jego nowy numer telefonu. Zadzwoniliśmy wspólnie i powiedział, że wreszcie ma spokój. Zaczyna nowe życie. Nie jestem pewien, ale był chyba pod wpływem alkoholu. Cieszył się z mojego nowego życia i trzymał kciuki za przyznanie mi obywatelstwa, do czego miało dojść już niedługo. Kazał mi też obiecać, że nigdy nie wrócę do tego smutnego kraju. Obiecałem. Nie było wówczas powodu, dla którego miałbym tego nie zrobić. Zdziwił się moimi planami wyjazdu na tak daleką północ i doszedł do wniosku, że tam nigdy mnie nie odwiedzi. Nie odwiedził. Trzy lata później zmarł na marskość wątroby. Związał się z nową kobietą, która opiekowała się nim do ostatnich chwil jak Thomas Marit. Agata wyperswadowała mi podróż do Polski, by uczestniczyć w jego pogrzebie. Przez wiele lat żałowałem, że dałem się przekonać. Nigdy nie stanąłem przy jego grobie. Wiem, że kiedyś to zrobię, choćby miała to być ostatnia rzecz w życiu.

Moja siostra oczywiście nie przyjechała do Norwegii po raz drugi. Matka podobno żyła w swoim koszmarnym domu – pensjonacie i już nigdy nie dała mi do

zrozumienia, że chciałyby podtrzymać ze mną kontakt. Grzecznie, lecz stanowczo odmówiła przyjazdu na mój ślub z Agatą. Rozmawialiśmy jeszcze może ze dwa razy przez telefon, a potem uświadomiłem sobie w pełni, że dla mojej matki przestałem istnieć. Miałem wrażenie, że ona nie istniała już sama dla siebie.

Marcin był niepokieszony, że opuszczam Oslo. Starał się wrócić do naszej wspólnej nocy z Agatą i wyjaśnić mi wątpliwości, jakie wtedy zaczęły go dręczyć. Odniósł wrażenie, że coś jest nie tak w naszej relacji. Starał się mnie przekonać, że Agata patrzy na mnie w jakiś niepokojący go sposób. Jak na własność. Dostrzegł to ponoć kilka razy, choć ja z tamtej nocy pamiętam jedynie głośną muzykę, dobrą zabawę i to, co robiliśmy z Agatą po powrocie. Marcin doszedł do wniosku, że jestem zakochany w takim stopniu, że nie dotrą do mnie zapewne żadne krytyczne komunikaty, ale kazał mi obiecać, że będę uważał i w razie jakichś problemów do niego zadzwonię. Zadzwoniłem tylko raz, aby skłamać, że wszystko jest dobrze. To najmocniej uświadomiło mi, że w Tromsø miesiąc po miesiącu i rok po roku odcinałem się od wszystkich ludzi spoza tego miejsca. Jakby Agata miała mi wszystko rekompensować, także oddalenie od rodziny. Jakbym przede wszystkim wstydził się powiedzieć drugiemu, bliskiemu mi mężczyźnie, co ze mną robi moja kobieta.

O jej rodzinie wciąż nie dowiedziałem się wiele i nawet w chwili ślubu nie byłem do końca pewien, co przeżyła jeszcze jako nastolatka w Polsce. Milczała za każdym razem, gdy chciałem dopytać o szczegóły. Milczała nawet wówczas, gdy prosiłem, żeby się odsłoniła, bo jako małżeństwo powinniśmy wiedzieć o sobie wszystko. Jej życiorys kształtował się w mojej wyobraźni od późnych czasów szkolnych, kiedy mieszkała z wujem. Wiedziałem, że moja przyszła żona nosi w sobie wyjątkowo mroczne historie z przeszłości, ale nie chciałem na niej wymuszać, by mi je opowiadała. Zakładałem, że zrobi to wtedy, kiedy będzie gotowa. Była jednak w moim odczuciu jakaś niepełna.

Chciałem kochać ją z każdym jej bolesnym doświadczeniem. Całowałem każdą bliznę na jej ciele, a o przyczynach ich pojawienia się chciałem wiedzieć wszystko. Wrastałem w milczenie Agaty o sprawach, które według niej nie domagały się

wspominania, były przeszłością, która wyparowała. Nigdy nie dała mi do zrozumienia, że chciałaby, abym stał się świadom tego, czego doświadczyła. Była tylko terażniejszością, a najlepiej przyszłością. Projektowała mieszkania Norwegom i wspólne życie nam. Była wciąż o krok do przodu przed kolejnym dniem. Czasem za tym wszystkim nie nadążałem, ale kochałem ją, więc za nią podążałem. I wreszcie udało mi się osiąść w Tromsø. Dwa lata później uzyskałem to, na czym tak bardzo mi zależało. Oboje z norweskim obywatelstwem wzięliśmy ślub cywilny, na którym pojawili się znajomi Agaty, a najbardziej rozczulał się wszystkim Bjorn. Nie sądziłem, że to taki wrażliwy facet i tak do niej przywiązany. Thomas był już wtedy złamany, stracił na wadze, chodził pochylony i praktycznie codziennie odwiedzał grób Marit. Był cieniem człowieka i żadne z nas nie mogło zrobić nic, by to zmienić. Ale na naszym ślubie starał się dodać nam otuchy i autentycznie cieszył się z naszego szczęścia. Miałem jednak wrażenie, że w jego oczach tkwi jakaś niepewność. Że to nie jest niepokojące spojrzenie po śmierci najbliższej mu osoby. Że Thomas wie i przewiduje, co będzie ze mną. I że się o mnie boi.

Nie pamiętam, kiedy padły pierwsze ciosy z jej strony.

Pamiętam, kiedy pierwszy raz zaboląło.

Tego wieczoru mieliśmy wybrać się do teatru. Agacie bardzo zależało na obejrzeniu tego przedstawienia, a na miejscu mieliśmy spotkać się z jej szefem i jego żoną, których chciała mi przedstawić. Między powrotem z pracy a wyjściem do teatru zachowywała się bardzo niepokojąco. Ta jej nerwowość była czymś mi obcym. Najpierw milczała, jedząc późny obiad i nie odpowiadając na moje pytania o to, jak jej minął dzień, a potem odzywała się zaczepnie, ta kąśliwość dotyczyła drobiazgów. Drobiazgiem jednak nie było to, w jakich strojach pójdziemy na spektakl.

Agata wybrała długą, seledynową suknię z eleganckim wycięciem na plecach. Dobrała do tego kolczyki i bransoletki, choć na co dzień nie była zwolenniczką

biżuterii. Robiąc makijaż, jakby złagodniała i dała mi do zrozumienia, że cieszy się na ten wieczór. Jej muśnięcie ustami mojego policzka było jednak jak dotknięcie kostki lodu. Uśmiechała się mimo to, wróciła do malowania ust i poprosiła mnie o włożenie wskazanej przez siebie koszuli, która będzie się ładnie komponowała z jej strojem. W szafie miałem do wyboru wiele koszul. Nie miałem jakiejś ulubionej, ale sięgnąłem po tę, która w moim odczuciu była najwygodniejsza. Naprawdę nie miało znaczenia, co mam na sobie. Przecież musiałem jeszcze włożyć na nią marynarkę, której nie znosiłem.

Stałem za nią ubrany w łazience, gdzie wspólnie przyglądaliśmy się sobie w lustrze, a ja delikatnie objąłem jej biodra. Agata kończyła pracę nad brwiami. Wpatrywała się w moje odbicie ze wzrokiem pełnym pretensji. Odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy. Wypowiadała się krótkimi zdaniami, po polsku, zawsze mówiła po polsku w chwili zdenerwowania. Potem uszczypnęła mnie w prawy policzek, mówiąc, żebym wrócił do sypialni i włożył dokładnie tę koszulę, o której wspomniała. Natychmiast.

Ból promieniował. Agata zrzuciła moje dłonie z bioder i jakby nic się nie wydarzyło, wróciła do upiększania swojej twarzy. Nie wiem, kto pierwszy pojawił mi się wtedy przed oczami. Sonia ze swoimi mocno zaciśniętymi wargami, kiedy zegnała mnie wówczas tym podwójnym uszczypnięciem, czy ojciec mówiący, że takie rzeczy robi zła kobieta. Agata była niewzruszona. Ignorowała mnie. Zrobiłem to, czego sobie życzyła. Wróciłem do sypialni i ubrałem się tak, jak tego chciała.

Przez cały wieczór siedziałem najpierw wysztywniony, a potem zrezygnowany i bierny, nie odczuwając żadnej przyjemności ze spektaklu, choć bardzo dobrze grali Ibsena, można się było tym zachwycić. Przy szefie Agata odgrywała rolę odpowiedzialnej za swojego mężczyznę kobiety. Jakbym potrzebował wzmocnień i kierunkowania choćby po to, by pójść z nią do teatru. Peter, pracodawca Agaty, był wysokim i smukłym mężczyzną, któremu siwizna dodawała autorytetu. Bogaty Norweg, który miał wszystko, co chciał, łącznie ze szczęśliwym małżeństwem. Wraz ze swoją ubraną w czarny żakiet żoną byli po norwesku dyskretni, lecz jednocześnie bardzo władczy. Mierzyli mnie oceniającymi spojrzeniami. Starali się

być zwyczajnie mili, ale odnosiłem wrażenie, że jestem w teatrze kimś gorszym. To rzadko spotykane w relacjach z mieszkańcami tego kraju, a jednak dotknęło mnie bardzo silnie. Policzek piekł do pierwszego antraktu. Nie schłodziło go nawet powietrze, kiedy przemieszczaliśmy się z domu do teatru. Miałem wrażenie, że przesadzam, nie wydarzyło się tak naprawdę nic złego. Cały wieczór był dyskomfortowy tylko dlatego, że sam sobie na ten dyskomfort pozwoliłem.

Drugi raz zaboląło, kiedy otrzymałem pozornie zabawnego kuksańca w bok, gdy dwa tygodnie później wspólnie gotowaliśmy obiad. Rzadko to robiliśmy, na co dzień jedliśmy w mieście razem, choć było to dość drogie, albo osobno lub też zamawialiśmy do domu to, co akurat mogło przyjechać w miarę szybko. Kroilem ogórki do sałatki. Agata podśpiewywała sobie nad garnkiem, w którym bulgoczący wywar robił nam trochę duchoty, przez co otworzyliśmy okna mimo sporego chłodu na zewnątrz. Nie wiem, co jej dokładnie nie pasowało – grubość plasterków czy to, że kroilem w jej mniemaniu zbyt wolno. Starąłem się zrobić to dokładnie i rzeczywiście się guzdrałem. Ale przecież nigdzie się nie spieszyliśmy, to była leniwa sobota, posiłek mogliśmy przygotować na dowolną godzinę.

I wtedy dostałem z łokcia. Bardzo mocno i bardzo precyzyjnie – w czułe miejsce. To naprawdę miał być gest, który pojawił się jakby przypadkiem, takie niewerbalne pouczenie, Agata zrobiła to z uśmiechem na twarzy, jakby się ze mną dowcipnie droczyła. Ale cios był naprawdę precyzyjny, a ona była gotowa na moją reakcję. Zastygliśmy oboje na moment. Ciemne oczy Agaty stały się jak jakaś głęboka i pusta studnia. Czekwała na moją reakcję. Kiedy zwróciłem uwagę na to, że mnie zaboląło, powiedziała, że bym nie przesadzał i że tak się ogórków nie kroi. Jak, do cholery, kroi się ogórki? Jej oczy znowu nabrały blasku i życia. Nie chciała pokazać, jak mam to robić, delikatnie pogłaskała mnie po ramieniu i zasugerowała, że bym zostawił jej kuchnię oraz cały ten obiad, poradzi sobie, mogę odejść.

Nie wiem, co w tym było najbardziej upokarzające: zadany mi ból czy protekcyjnalne traktowanie. Agata nie przeprosiła. Poszedłem do salonu i zajrzałem do wczorajszej gazety. Nie rozumiałem żadnego ze zdań, które przeczytałem. Potem udałem się do sypialni i tam analizowałem, co powiedzieć Agacie za chwilę.

Nic nie powiedziałem. Obiad przyrządziła sama, ogórki w sałatce prezentowały się doskonale, a ona opowiadała o jakimś bardzo ważnym projekcie, który właśnie finalizowała z klientami. Jedliśmy ze smakiem, choć ja bardziej udawałem, że mi smakuje, niż miałem jakkolwiek satysfakcję z tego posiłku. Sałatka stawała mi w gardle. Piłem dużo wody i dopiero po godzinie poczułem, że naprawdę jestem głodny, bo niewiele z tego posiłku skorzystałem. Agata zjadła dużo i ze smakiem. Widać, że była bardzo zrelaksowana i dumna z przygotowanych przez siebie dań.

Za każdym razem, kiedy działy się takie rzeczy, Agata przez chwilę zachowywała się jak nieobecna i całkowicie mi obca, a po kilku minutach wracaliśmy do normalnej relacji czy przerwanej rozmowy. Jakby ktoś ją wyłączał na moment agresji, jakby ktoś inny za to odpowiadał. Nigdy nie mogłem zrozumieć tych stanów i do dziś ich nie pojmuję. To było jednocześnie przerażające i na swój sposób przyciągające: widząc ją taką, konfrontacyjną i za chwilę uległą, tak inną od siebie i jednocześnie tak intensywną przez zmiany w moich późniejszych wspomnieniach. Ale wówczas to wszystko powodowało, że się jej po prostu bałem. Przypomni mi się nauczyciel fizyki z mojej podstawówki. Wszyscy się lękaliśmy jego nieprzewidywalności. W jednej chwili opowiadał nam jakieś dowcipy, a za moment wpisywał uwagi za złe zachowanie na lekcji, gdy śmialiśmy się z jego opowieści i siłą rzeczy rozluźnialiśmy na zajęciach. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy żartuje, a kiedy jest poważny. Agata zachowywała się czasami jak tamten psychopata.

Kiedy zaczęła przeproszać? Gdy takie zachowania stały się częstsze i zdała sobie sprawę z tego, że nie można ich zostawiać bez komentarza. Że zwyczajne udawanie, iż nic się nie stało, już przestaje działać, bo ja pęcnieję od żalu i potrafię mówić o tym, co jest dla mnie dyskomfortowe. Za każdym razem starałem się wytłumaczyć Agatę: była przemęczona, zapracowana, zapomniała się, pomyliła albo zwyczajnie wyszła z niej jakaś tłumiona na co dzień zła energia. Przeprosiny formułowała na przemian po polsku i norwesku. A potem okazało się, że jej zachowania są kompletnie nieprzewidywalne.

Poszukiwania domu zaczęliśmy w bardzo niekonwencjonalny sposób, bo interesowały nas nieruchomości na wyspach, które kosztowały dużo mniej. Odwiedziliśmy trzy. Każda kusił położeniem, niesamowitą atmosferą spokoju i norweską naturą, która wkradała się do okien domu dzięki gałęziom okolicznych drzew czy wyrosniętych krzewów pozwalających sobie na wiele, rosnących dziko i rozwijających się wedle swoich naturalnych praw. Sporo nas wtedy poróżniło. Nie tylko stosunek do cen domów, ale również fantazje o tym, czy oddalenie od cywilizacji wyjdzie nam na dobre. Najpierw usiłowałem wytłumaczyć Agacie, że nawet ze sprawnym środkiem transportu przez morze wielkim problemem będzie komunikacja z lądem na przykład podczas nocy polarnych. Pływanie w ciemności nie jest bezpieczne. Ona była przekonana, że żadnych problemów nie będzie, jakby w każdej chwili mogła sobie zamówić taksówkę wodną i dotrzeć do wszystkich miejsc, Tromsøya była przecież tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Nie wiem, czy wtedy marzyła o tym, by zamknąć mnie w swoistym więzieniu takiego domu, ale udało mi się wyperswadować jej, że pomysł jest jak najbardziej romantyczny, jednak zupełnie niepraktyczny. Podobno radziła się też Thomasa i on mnie poparł, choć nie konsultowaliśmy się ze sobą. Dopiero potem zakochałem się w jednym domu. Był naprawdę piękny. Niewielki, wszystko funkcjonowało w nim sprawnie, łącznie z Internetem, oddalony od wyspy dwa kilometry przez wodę, byłem bliski przekonania się do tego szalonego pomysłu, abyśmy oderwali się od miasta i mieli swoją prywatną przestrzeń. Dopiero później dowiedziałem się, że to wszystko miały być żarty, a ja wziąłem je całkiem serio. Agata nigdy nie zamieszkałaby w miejscu, do którego nie prowadzi droga lądowa. Czułem się jak głupek. Była doskonałą aktorką, która mogła przez kilka dni udawać, a ja dawałem się nabierać. Po co traciliśmy czas i oglądaliśmy te miejsca? W jakim celu ona zadała sobie tyle trudu? By potem ze mnie drwić?

Spięcia między nami nasilały się nie tylko z powodu braku wspólnego zdania o tym, jak chcemy dalej żyć. Miałem wrażenie, że za każdym razem, gdy jesteśmy w kolejnym domu na wyspie, Agata gra projektantkę miejsca, w którym będę wyizolowany, tylko dla niej. Chodziła na przemian naburmuszona w trochę

komiczny sposób i kipiąca entuzjazmem, gdy ważne było to, że mamy po prostu kapitał na kupno domu i nie musimy decydować się na tani. Dobrze się bawiła moim kosztem. Nie wnikałem, dlaczego to robiła.

Co spowodowało, że zakupiliśmy nieruchomość akurat przy Norselvegen? Prawdopodobnie to, że nadal mieszkaliśmy w mieście, ale nie na wyspie, na której znajdowało się jego centrum. To, że mieliśmy przestrzeń i byliśmy bardzo oddaleni od sąsiadów. Także to, że układ tego domu otworzył przed Agatą nowe możliwości i blisko trzy tygodnie bawiła się w projektantkę własnej przestrzeni, niezbyt mnie do tego dopuszczając albo ignorując sugestie, jak mogłoby moim zdaniem wyglądać jedno pomieszczenie. Przez to wszystko chwilami myślałem, że wprowadziłem się do muzeum.

Cały czas miałem wrażenie, że w podejmowaniu najważniejszych życiowych decyzji wciąż stoję gdzieś za Agatą, nie obok niej. W pierwszych dniach po przeprowadzce byłem przesuwany z kąta w kąt jak jeden z wielu kartonów, których potem jeszcze długo nie rozpakowaliśmy. Agata przez dłuższy czas nie chciała nikogo do nas zapraszać. Kiedy pewnego dnia wpadł z wizytą Thomas, przywitała go w drzwiach z ukrywaną złością. Mieli się nie zobaczyć, bo Agata zapowiadała, że wróci z pracy wcześniej, Thomas miał wolne przedpołudnie, a ja akurat przerwę między kolejnymi zleceniami. Bardzo się cieszyłem z tego spotkania, on powoli odzyskiwał życiowe siły, choć widać było, że śmierć Marit to doświadczenie, które zmieniło go na zawsze. To on był świadkiem tego, jak Agata nie wytrzymała napięcia i podczas naszej krótkiej wymiany zdań mocno, choć niby mimochodem, pchnęła mnie na szafę, która zachwiała się i złowieszczo zgrzytnęła. To działo się w bibliotece, ale Thomas widział nas przez niedomknięte drzwi. Dopijał w kuchni smoothie. Wtedy Agata wyłoniła się z promiennym uśmiechem na twarzy i powiedziała, że skoro już tu jest, powinien obejrzeć cały dom i zostać na kolacji. Zamówi pizzę, a teraz chętnie napije się wina.

Kilka tygodni po tym feralnym spotkaniu we troje Thomas mówił, że czuł się bardzo niekomfortowo, patrząc, jak Agata z jednej strony stara się być doskonałą gospodynią, a z drugiej zachowuje się, jakby byli tam tylko we dwójkę. Patrzyła

przeze mnie i obok mnie. Wieczorem, po wyjściu Thomasa, długo paliła na balkonie i nie chciała przyjść do łóżka. Wróciła do papierosów po wielu latach przerwy, i potem już z nimi została. Doskonale je wykorzystywała – kiedy kładła się wieczorem do łóżka, nie chciała oddać mi pocałunku, nie myła zębów, śmierdziała jak popielniczka, świadomie właśnie wtedy szła do sypialni, bo wiedziała, że to mnie powstrzyma przed czułościami.

A jednak – gdy leżeliśmy razem w łóżku po tym, jak wspaniale ugościła Thomasa – wtuliła się we mnie i przeprosiła za swoje zachowanie. Nie tłumaczyła tych wszystkich dziwnych zagrań, nie była w stanie sobie po dwóch czy trzech dniach przypomnieć, w jaki sposób mnie skrzywdziła i co mi powiedziała. Doskonale odgrywała amnezję albo rzeczywiście zapominała. Nauczyła się, że można ranić dużo skuteczniej za pomocą słów. Za większość z nich brała odpowiedzialność. Ale też bardzo często prosiła o wybaczenie. Stawała się na moment małą i zagubioną dziewczynką, która prosiła o to, by głaskać ją po włosach i zapomnieć o wszystkim, co zrobiła złego. Coraz trudniej znosiłem te ciągłe zmiany nastroju, ale byłem wobec nich bezradny.

Wybaczałem i rozstawałem się z moim rozgoryczeniem oraz smutkiem. Podczas jednego z pojednawczych wieczorów zdradziła mi historię blizny na czole. Miałem wrażenie, że zaczyna się otwierać i jest gotowa opowiedzieć mi dużo więcej o tej części swojego życia, która wciąż była dla mnie tajemnicą. Dlatego znosiłem poszturchiwania, prztyczki w nos, a nawet to, jak kiedyś rano wcisnęła mi twarz w talerz z płatkami i mlekiem, bo chciała zobaczyć, jak będzie potem wyglądać i zrobić mi śmieszne zdjęcie. Wywołała je kilka dni później i zaczęła przy lustrze w łazience. Zanim zorganizowaliśmy pierwszą większą imprezę w naszym domu, zdążyłem to zdjęcie usunąć, dałem metodycznie na coraz mniejsze kawałki, potem spaliłem resztki w popielniczce. A później się rozplakałem.

Dwukrotnie musiałem maskować siniaki.

Za pierwszym razem byłem tak zaskoczony jej furią i siłą uderzeń pięści, że w ogóle nie reagowałem, byłem jak worek treningowy, używała sobie na mnie do momentu, w którym nie opadła z sił i dopiero wówczas wziąłem ją w ramiona, długo tuląc, by się uspokoiła. To ja czułem się wszystkiemu winny, a przecież ona zadawała ciosy.

Temat dziecka w naszym związku został od razu przez Agatę uznany za zamknięty. Nie będziemy mieć żadnych dzieci. Przez wiele lat się z nią zgadzałem. Czułem, że dziecko zniszczy wiele w naszej relacji. Byliśmy tylko my i to chłodne miasteczko na północy, które coraz bardziej uwielbiałem za przytulność i fakt, że niejako zatrzymywało czas, zwłaszcza podczas nocy polarnych. Miałem wrażenie, że macierzyństwo oddala kobietę od swojego mężczyzny. I miałem w pamięci szantaż Soni.

Zdecydowanie lepiej było nam bez dziecka. Gdy żyliśmy jeszcze w mieszkaniu Agaty, opcja bezdzietności była jak najbardziej wskazana. Stosunkowo mały metraż, moje oczekiwania w kwestii warunków do pracy – powinno być cicho – te dwa skromne pomieszczenia były w sam raz dla nas. Kupno domu zmieniło nieco moją optykę. Salon z dwiema sypialniami na dole i dwa spore pokoje na górze – to z pewnością była przestrzeń dla młodego małżeństwa z potomkiem. Bardzo długo uznawałem nas za młode małżeństwo, a brak dziecka pojawiał mi się gdzieś w głowie jak wyrzut sumienia. Kiedy Agata zaczęła okazywać wobec mnie niechęć, pomyślałem, że może właśnie dzięki temu, że będzie matką, zmieni się – dla mnie i dla naszej córki. Bo zawsze byłem przekonany, że jeśli coś miałoby się zmienić, będę ojcem ślicznej dziewczynki.

Agata pilnowała obecności prezerwatyw przy każdym naszym stosunku, ale potem przestała być tak na ich punkcie wyczulona, gdyż sama zaczęła się zabezpieczać. Jakby mi nie ufała. Jakby panicznie bała się nawet cienia szansy, że zajdzie w ciążę. I pewnego dnia przekonałem się o tym, jakie oblicze ma jej panika.

To był poranny impuls. Ja obudziłem się ze wzrodem, ona wilgotna i gotowa. Leżeliśmy przez chwilę nago obok siebie, zrzuciliśmy pościel, wpatrując się łakomie w nasze małe atrakcyjne o poranku oblicza. Agata przejęła inicjatywę.

W zasadzie robiła to zawsze, ale tego ranka była w niej specyficzna władczość, a we mnie pełna uległość, byle tylko jak najszybciej znaleźć się w niej. Pamiętam, że był to najlepszy seks, jaki mieliśmy od wielu miesięcy. Dzikość i swoboda Agaty dawały mi dodatkową frajdę: czułem się, jakbym seksualnie na nowo ją poznawał, a rozpoznawanie tych nowych potrzeb było ekscytujące i miałem wrażenie, że istniejemy dla siebie najbardziej intensywnie od lat. To był też czas, w którym zdarzały nam się nieporozumienia, kilka kłótni przeprowadzanych zawsze w języku polskim, w tamtej chwili byłem spragniony harmonii z moją żoną i po prostu wyjątkowo napalony. Szaleliśmy tak, że w końcu spadliśmy z łóżka. Ale wtedy było już po wszystkim, więc z radością chłoniliśmy chłód podłogi, a Agata jak zawsze w skupieniu, szykowała się do tego, by zdjąć ze mnie prezerwatywę. Tyle że jej wtedy nie założyłem. A ona nie brała żadnych środków antykoncepcyjnych. Kiedy sobie to uświadomiła, jej nastrój zmienił się natychmiast. Cała się usztywniła, w sekundę stała się obca. Patrzyła z przerażeniem na mój członek bez gumki. W jej oczach płonął ogień, zrzuciła z siebie moje ciało i pobiegła do łazienki. Po kwadransie zorientowałem się, że wrzeszczy. Była w tym dzikość, a dźwięk niósł się po całym domu i pozostał potem ze mną na dłużej. Dużo później paliła na balkonie i nie chciała ze mną zjeść śniadania. To był jeden z tych momentów, w których wiedziałem, że nie wolno mi się do niej zbliżać, a wszelkie próby łagodzenia napięcia mogły się skończyć jeszcze większą katastrofą. Była jednocześnie jak chodząca furia i zaszczuta w lesie zwierzyna. Skończyła palić i wyszła do apteki, potem znalazłem w koszu na śmieci żółte pudełko z napisem Norlevo. Antykoncepcja awaryjna. Zrozumiałem.

Przez kolejne dni stała się dla mnie niedostępna. Jakbym mieszkał sam, a obok mnie przesuwał się od czasu do czasu jakiś cień. Nie miałem prawa dotknąć jej ciała. Na każdy czuły gest reagowała napięciem mięśni, więc siłą rzeczy odpuszczałem, cofałem rękę. Bałem się do niej zbliżyć. Jedną z nocy spędziła w salonie pod pretekstem pracy nad projektem, druga noc była lodowata nie tylko z powodu temperatury na zewnątrz. Ale potem chłód przeszedł w ogień.

Nie wiem, który cios bolał najbardziej. Najpierw zaczęła okładać mnie po głowie otwartymi dłońmi, potem zacisnęła je w pięść i uderzyła w brzuch. Zgiąłem się wpół, a ona atakowała plecy i ramiona. To tam później nabrzmiewały fioletowe plamy. Krzyczała, że na szczęście jesteśmy w Norwegii i można się szybko uporać z problemem. Czułem kropelki jej śliny na twarzy, kiedy darła się, że narażam ją na gmeranie w cipie, że może sam bym sobie poszedł do lekarza zagląającego mi w tyłek i wtedy zrozumiał, jakie to upokarzające. Jej furia była nieadekwatna do stanu, w jakim się znajdowała. Wiedziałem, że zrobiłem źle. Że się zapomniałem. Ale przecież oboje się zapomnieliśmy, a teraz cała wina spadła na mnie. Wraz z jej krzykiem i trzęsącym się w złości ciałem.

Nie miałem szans opanować jej furii, na szczęście trwała nie dłużej niż dziesięć minut. Ostatecznie opadliśmy na kolana i usiłowałem ją przytulić. Warczała niczym zwierzę, a potem zaniosła się donośnym płaczem. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie jak wtedy. To wówczas naprawdę zrozumiałem, jak bardzo nie chce mieć dzieci, chociaż wciąż nie byłem w stanie pojąć, dlaczego tak gwałtownie się przed tym broni.

Nigdy więcej nie zapomniałem o prezerwatywie. Tkwiło ich wiele karnie w szufladzie stolika nocnego. Na wszelki wypadek umieściłem też kilka w salonie i w łazience. Agata kupiła mi maść na uszkodzenia skóry i wsmarowała ją czule w moje sińce. W tamtej chwili nie żałowałem tego, że jestem posiniaczony, kiedy z taką delikatnością zajmowała się moim ciałem. Byłem gotów jej wszystko wybaczyć i wybaczyłem, bo zdobyła się na słowa przeprosin. Dopiero jednak wtedy, gdy zobaczyła, że siniaki są naprawdę duże. A ja wówczas myślałem, że najbardziej koszmarną granicę właśnie przekroczyła, że nie spotka mnie z jej strony nic gorszego.

Za drugim razem, parę lat później, mocno obita mi twarz i to było już trochę bardziej problematyczne, ale udało mi się przez ponad tydzień nie widzieć z ludźmi, nie pokazywać tych wstydliwych śladów, po prostu uznałem, że nic tak naprawdę się nie stało. Thomas, który kategorycznie kazał mi włączyć kamerę, gdy rozmawialiśmy o scysji przez Messengera, orzekł, że stało się jednak bardzo dużo

i że powinienem udać się do lekarza na obdukcję. Znowu go oczywiście nie posłuchałem.

W jednym worku gromadziło się coraz więcej śmieci. Zwykle to Agata zabierała je ze sobą, gdy wychodziła do pracy i wyrzucała do kontenera oddalonego od naszego domu o jakieś dwieście metrów. Rzeczywiście zwlekaliśmy z pozbywaniem się śmieci, zwłaszcza wówczas, gdy było zimno i wiało.

To było chyba po powrocie z naszych wakacji w Irlandii. Worek z plastikiem rozpadł mi się w rękach, kiedy wynosiłem go w sporej wichurze i dziesiątki butelek rozsypały się po podjeździe, a potem ruszyły dalej. Zanim je wszystkie zebrałem, a wyszedłem w samej koszulce, bo przecież tylko na chwilę, byłem mokry z wysiłku i jednocześnie sponiewierany przez silny wiatr. Zachorowałem wtedy i było to dość poważne przeziębienie, Agata też się zaraziła, a mnie potem dopadło jeszcze zapalenie oskrzeli, ale z perspektywy czasu myślałem o tym, że warto było się poświęcić, bo Agata w tamtym czasie była dla mnie wspaniałą pielęgniarką. Jej dłonie miały w sobie tę subtelność, którą zawsze kochałem, a czułe spojrzenie dawało mi poczucie bezpieczeństwa. To absurdalne, kiedy teraz zdaję sobie z tego sprawę, jednak tak się to odbywało. Jej szaleństwo, moje zagubienie, a potem naiwna wiara, że odrobina serdeczności i wsparcia wyciera z pamięci najbardziej nawet przykre zdarzenia.

Ale odpady bio nie rozsypały mi się na ulicy. Faktycznie dwukrotnie prosiła o ich wyniesienie i rzeczywiście zapomniałem. W końcu zaczęły cuchnąć. Tamtego dnia, zajęty pracą w pokoju na piętrze, nie zorientowałem się, że cały dół domu po prostu śmierdzi. Agata weszła właśnie w centrum tego odoru. Wołając mnie na dół, była przepelniona złością, a jeśli złością, to znowu mieszała język norweski z polskim. Zbiegłem po schodach i poczułem obrzydliwą woń. Lecz bardziej obrzydliwie zrobiło się za chwilę, kiedy szalejąca Agata wyjęła worek, rozsypała cały ten syf po salonie i wrzeszczała, że teraz może wreszcie zobaczę, co mamy w domu, i się tym zajmę. Kiedy do mnie podeszła, kropelki śliny z jej ust uderzyły w moją brodę. Dyszała gniewem. Wycedziła przez zęby, że mam godzinę, aby to wszystko posprzątać, a ona wtedy wróci i ma nadzieję, że nie pozostanie po tych

śmieciach żaden ślad. Wówczas poczułem uderzenie. Mocne i zdecydowane. Nie było szans, by jej pięść nie pozostawiła śladu na mojej twarzy.

Trzasnęła drzwiami i wybiegła z domu. Przez chwilę stałem, trzęsąc się ze zdenerwowania, i uświadomiłem sobie, że czekam na kolejny cios. Byłem pewny, że zaraz ponownie dostanę w twarz, choć Agaty już nie było. Tymczasem pustka wokół mnie wypełniła się smrodem nie do wytrzymania. Otworzyłem okna i zacząłem sprzątać. Po kwadransie poszedłem zwymiotować, a po godzinie faktycznie nie było już po niczym śladu, a wiatr szalejący po salonie, który wpadał z otwartych okien, wywiał wszystkie nieprzyjemne zapachy. Wziąłem prysznic, żeby i z siebie zmyć odór. Delikatnie masowałem opuchliznę na twarzy, a woda obmywała ją kojąco.

Jednak Agata nie wróciła po godzinie. Pojawiła się naprawdę późnym wieczorem. Przez te godziny usiłowałem pracować, ale widziałem na ekranie jedynie znaczki w jakimś obcym języku, nie w norweskim, który znałem już przecież perfekcyjnie. A potem sobie uświadomiłem, że się boję. Umieram ze strachu. Przed zaśnięciem zrobiła sobie jeszcze drinka i padła w ubraniu na sofę. Rano zobaczyłem kieliszek, zrzucone od niechcienia buty i kurtkę, która leżała na podłodze. Miałem wrażenie, jakby wróciła nawalona z jakiejś imprezy i z trudem wycelowała pijanym ciałem w miejsce do spania. Ale nie wróciła pijana. To ja tkwiłem w stanie zaburzenia świadomości, zastanawiając się nad tym, co dzieje się w jej głowie. Zwłaszcza gdy kolejnego dnia znowu była nadzwyczaj serdeczna. Zaczynałem się gubić w jej nastrojach. Byłem w tym związku coraz bardziej samotny, a jedyną osobą, której miałem śmiałość o tym opowiadać, był Thomas. Tylko że nigdy śmiało nie poszedłem za żadną jego radą. A on martwił się o mnie pewnie jako jedyny w całej Norwegii.

Kiedy kilka tygodni później wspólnie z Agatą paliliśmy na balkonie, bo decydowałem się jednak towarzyszyć jej w tym paskudnym nałogu, powiedziała bardzo spokojnie i spoglądając na fiord przed nami, że żałuje, iż nie rozsypała tych odpadów po całym mieszkaniu. Miałem wrażenie, że jej słowa tną mnie po twarzy jak żyłki, a chłodny wiatr od zatoki dodatkowo wzmacniał to przekonanie.

Chciałem, żeby na mnie spojrzała. Nie zrobiła tego. Wówczas przeprosiłem i pozwoliłem sobie stwierdzić, że przesadziła. Siniak schodził z mojej twarzy naprawdę długo, a ona zachowywała się tak, jakbym sam był winien, że go mam. Gdy wtedy nie miałem już tego śladu, ona spojrzała na mnie i powiedziała, że przecież nie podniosła na mnie ręki. Coś mi się uroiło. Zgasła papierosa i zniknęła w mieszkaniu. Potem siedziała w łazience ponad kwadrans, a ja wpatrywałem się w krajobraz, siedząc na balkonie i nie mogąc się stamtąd ruszyć. Miałem wrażenie, że jestem aktorem w jakimś filmie grozy. Później długo nie mogłem usnąć. I wrócił ten wielki strach, który towarzyszył mi po raz pierwszy tamtego wieczora po wysprzątaniu mieszkania i powrocie do domu mojej żony.

Mijały kolejne lata. Wrastałem w surowość północnej Norwegii i miałem pewność tego, że jestem u siebie. Jak bardzo się myliłem, stwierdziłem po tym, co wydarzyło się podczas czterdziestych urodzin Agaty...

Moje trudne do wymówienia dla Norwegów imię zastąpiłem imieniem Miki. A dla Agaty byłem nim tylko wówczas, gdy się kłóciliśmy. Według niej Miki to dziwny twór językowy, gorszy od imienia Michał, więc posługiwała się nim jako dodatkowym orężem w naszych domowych potyczkach. Spośród wszystkich znajomych tylko Thomas nazywał mnie tak, jak naprawdę miałem na imię. Dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że jest blisko mojej tożsamości. Często chodziliśmy razem na grób Marit, gdzie rozmawialiśmy o tym, że Thomas ma w sobie całkowitą blokadę na nowy związek i pewnie będzie zawsze żył samotnie, a raz na kilka miesięcy braliśmy jego samochód i jeździliśmy po okolicach. Wciąż na nowo zachwycało mnie to, jak tutaj w ciągu kilku minut można się było znaleźć w tak pięknym i bezludnym miejscu, że to wszystko aż bolało, zdawało się wprost nierealne, a przecież było tak wspaniałe. Planowaliśmy też wspólną wyprawę na najdalszą północ Finnmarku. Tylko my dwaj i dobre wino. Na pohybel zimnu i pustce, których tak naprawdę bardzo pragnęliśmy.

Byłem zatem Mikim i unikałem w Tromsø Polaków. Dopiero wówczas zorientowałem się, że jest ich tutaj naprawdę sporo. Pewnego lata czterech krzepkich chłopów zaciągających góralską gwarą wymieniało dach domu sąsiadów. Byłem prawie pewien, że dwóch z nich pochodzi z Podhala. Udając Norwega, nasłuchiwałem się na balkonie wielokrotnie, ile to ludzie mają tutaj hajsu, że im się w dupach przewraca, że oni nie cierpią tej wszechobecnej drożyzny, elgiebetów na ulicach i tego, że ni cholery nie mogą się porozumieć z Norwegami. Nie wiem, kogo oni wypatrzyli na ulicach i jak określili upodobania seksualne, bo tutaj, jak i w całym kraju, nikt nie obnosił się ze swoimi uczuciami i bardzo rzadko się zdarzało, aby pary chodziły razem ulicami, trzymając się za ręce. Łamaliśmy z Agatą ten niepisany zwyczaj, jednak po pewnym czasie stwierdziliśmy, że się dostosujemy. A trzymanie się za ręce przestało nas cieszyć. Cały czas okopywaliśmy się w jakichś bezpiecznych szańcach z dala od siebie, a ja nie dopuszczałem do siebie świadomości, że Agata nie chce ze mną być.

Była. Bardzo intensywnie, zwłaszcza w momentach najbardziej dramatycznych starć. Gdy robiła problem z tego, co zostawiam po sobie na stole w salonie, czego słucham i w jakich niebezpiecznych według niej rejestrach tonacji się do niej zwracam. Ale bardzo często było tak, że każde nieporozumienie rekompensowała mi licznymi chwilami czułości. Była wówczas inną kobietą i próbowałem policzyć jej rozmaite oblicza. Powtarzała jak zakłęcie swoje kłamstwo, że mnie kocha i że po prostu ją poniosło. Ponosiło ją czasem również wtedy, gdy byliśmy w towarzystwie, ale trzeba było patrzeć na nas wyjątkowo czujnie, by dostrzec napięcia. Okazało się, że wielu norweskich znajomych było czujnych. Był nawet czas, kiedy niektórzy przestali nas zapraszać, bo nie bardzo wiedzieli, jak się zachowywać przy naburmuszonej Agacie, a jej ciągle zmienianie min z radosnej na ponurą w stosunku do mnie wydawało im się komiczne i tragiczne jednocześnie.

Otrzymałem kilka wieści z Polski. Moja siostra urodziła drugie dziecko, matka wciąż tkwiła w jakiejś mentalnej jaskini, samodzielnie prowadziła swój pensjonat, podobno razem z siostrą wybrały się kiedyś na grób ojca. Myślałem parę razy, żeby zabrać Agatę do Polski. Pokazać Kraków, którego nigdy nie widziała, i spróbować

poznać ją z matką, jakkolwiek miałyby wyglądać ta konfrontacja. Na wszelkie sugestie związane z pobytem w Polsce Agata reagowała niepokojem i za każdym razem powtarzała, że wraca do tego kraju tylko wtedy, kiedy musi, zbyt wiele mrocznych wspomnień wiąże ją z Polską. W końcu, pewnego wieczoru opowiedziała mi ze szczegółami, dlaczego musiała opuścić „ten kraj”. Nie mogłem zrobić nic innego, niż tulić ją godzinami, a wówczas opuściła gardę, długo płakała i to było dla niej oczyszczające.

Tamte chwile wiele zmieniły w naszych relacjach. Liczyłem na to, że zacznie mi opowiadać więcej, będzie jakiś ciąg dalszy. Agata broniła swojej przeszłości jak mrocznej fortecy. Po blisko dekadzie związku małżeńskiego wiedziałem o niej naprawdę niewiele. I wciąż na nowo zastanawiałem się, dlaczego ze mną jest. Przecież tak często dawała mi do zrozumienia, że jej w codziennym życiu wadzę, że może lepiej radziłaby sobie beze mnie, byłaby szczęśliwsza. Bo w to, że mnie kocha, powoli przestawałem już wierzyć, ale jeszcze nie w pełni docierało do mnie, że kłamie. Pewien byłem tylko swojej bezwarunkowej miłości. Była tym silniejsza, im częściej czułem się przez Agatę odrzucany. Ale nie spodziewałem się, że szykuje na mnie naprawdę frontalny atak. Nie byłem pewien, czy z jej strony to desperacja czy okrutne wyrachowanie. Nigdy właściwie logicznie nie poukładałem sobie w głowie tego, co się wydarzyło, jej motywacji, gotowości do takiego czynu. Nauczyłem się jej jednak bać. Trwale. Podskórnie.

Kilka dni z rzędu obijała się o mnie, przeszkadzałem jej dosłownie wszędzie. To wtedy dostałem od niej kilka razy pięściami w nocy, ale wykrzykiwała jakieś imię, coś okropnego jej się śniło, przepraszała za swoje ciosy, a ja byłem coraz bardziej zdeterminowany, aby wydobyć z niej wszystkie te paskudztwa z przeszłości, które najwidoczniej nie pozwalały jej spokojnie spać. Potem zaplanowaliśmy, że czterdzieste urodziny Agaty uczymy imprezą w domu, że zaprosimy ludzi, z którymi dawno się nie widzieliśmy. Uświadomiłem sobie wówczas, że przez wiele lat nie nawiązałem tu żadnych znajomości. Specyfika mojej pracy czyniła mnie odludkiem, tu zresztą każdy cenił sobie samotność, bycie z sobą samym, które nie wywoływało zdziwienia i nie prowokowało do pytań. Tak

więc wiedliśmy życie małżeńskie, w którym znajomi mojej żony byli moimi znajomymi. Nasi znajomi to znajomi Agaty. Thomas z miesiąca na miesiąc zbliżał się do mnie coraz bardziej i stawał mocno krytyczny w stosunku do mojej żony. Dlatego niezauważalnie, ale stanowczo został wykluczony z grona jej najbliższych znajomych. I był jedyną bliską mi osobą podczas tamtego feralnego wieczoru. Być może to jego trzeźwym reakcją zawdzięczam życie. Czyżby Agata straciła już wszelkie hamulce i z okazji okrągłych urodzin chciała sobie sprawić prezent w postaci usunięcia mnie ze swojego życia? W taki sposób?

Był bardzo ciepły jak na Tromsø wieczór, lipcowe dwadzieścia stopni, nie przepadałem za tutejszym latem, a i Agata była bardziej nerwowa, gdy na okrągło trwał dzień. Nigdy nie zasypiała bez opaski na oczach, którą tak dobrze pamiętałem z czasu, gdy lecieliśmy wspólnie do Oslo. Gotowaliśmy dla gości od samego rana. Tym razem wszystko szło niezwykle sprawnie i czułem, że jesteśmy zgranym duetem, razem celebруем przyjemność tego dnia, wspólnie też będziemy się dobrze bawić w towarzystwie. Agata zakładała za ucho niesforne loki, w których pojawiały się już liczne srebrne nitki, ale nie wstydziła się ich, nie kolorowała, nosiła z dumą i godnością. Miała świadomość, że przed nią jeszcze druga połowa życia. Oboje byliśmy zdrowi, wyniki wszystkich badań okresowych mieliśmy w normie. Razem czy osobno, mogliśmy hipotetycznie przeżyć drugie życie.

W sumie miały się pojawić trzy pary oraz Thomas. Najmniej chętnie widziany przez Agatę, która jednak nie śmiała zasugerować, że może nie warto go zapraszać. Doskonale widziała, że się do siebie zbliżyliśmy. Jednak nie sądzę, że była wobec Thomasa taka tolerancyjna tylko ze względu na naszą przyjaźń. Miał się więc pojawić. Zastanawialiśmy się przez chwilę, czy powierzchnia naszego salonu będzie wystarczająca dla tak wielu osób. Najwcześniej przylecieli z Alty Bjorn z Tonim. Przygotowaliśmy dla nich pokój na górze, aby mogli spokojnie wrócić do siebie nazajutrz. My sprzątaliśmy pomieszczenia, oni kończyli gotować. Przywieźli cztery butelki dobrego czerwonego wina. Co jak co, ale miłość do tego trunku łączyła mnie z Agatą od zawsze.

Goście zeszli się w ciągu kwadransa, choć Agata nie ustalała konkretnej godziny rozpoczęcia imprezy. Od początku wyczuwałem jakieś napięcie, kiedy obserwowałem jej twarz. Jakby się do czegoś przygotowywała, coś planowała. Potem stała się już tą uwielbianą przeze mnie Agatą, która była również duszą towarzystwa. Tego wieczoru chciała wszystkim udowodnić, że ta czterdziestka jest tylko metrykalna, ale w zasadzie nie musiała udowadniać niczego nikomu z nas, bo każdy miał to jeszcze przed sobą, wmawiając sobie, że taki wiek to jakaś abstrakcja, stan nie do osiągnięcia. Jednakże Agata miała te czterdzieści lat. Wyglądała pięknie i miałem wrażenie, że jest bardzo dumna ze swojego wieku. Chciałem, żeby ta impreza była wyjątkowa. Nie sądziłem, że jubilatka sama ją taką uczyni, i to w znaczeniu, którego nigdy bym nie wymyślił.

Wieczór przebiegał w znakomitej atmosferze. Mnożyły się tematy do rozmowy, apetyt wszystkim dopisywał. Liczne świece, na które się zdecydowaliśmy w ostatniej chwili, dodawały salonowi wyjątkowego blasku, choć efekt nie był może tak widoczny, bo przecież wciąż panował dzień i w lipcu nie zamierzał się kończyć. Przyciemniliśmy pomieszczenie zasłonami i było prawie tak, jakby zastał nas w tym towarzystwie prawdziwy wieczór. Nie pamiętam, kiedy tak szczerze się śmiałem. Zawsze z podziwem obserwowałem przemiany Norwegów, którzy po wlaniu w siebie alkoholu zachowywali się jak rozszalałe dzieci albo polscy studenci podczas najbardziej dzikich imprez w akademikach.

Jedzenie było pyszne, wino lało się strumieniami. Goście przywieźli zapas, bo każdy miał świadomość, że nie ma nic bardziej obciachowego niż norweska impreza, na której kończy się alkohol, którego nie można wieczorem nigdzie dostać. W ruch poszły papierosy. To, że Toni kopci jak smok, wiedziałem od dawna, Agata starała się ograniczać palenie, a najbardziej komicznie wyglądał Thomas, który po pięciu lampkach wina stwierdził, że dotrzyma towarzystwa Toniemu i wciągnie w płuca tyle samo świństwa co tamten. Biedaczek wyrzygał całe pyszne jedzenie, które wcześniej wchłonął i może dzięki temu zachował czujność, działał sprawnie i szybko, dzięki niemu po prostu przeżyłem.

To chyba Bjorn wpadł na pomysł, abyśmy zrobili głupi challenge. Wymyślił zawody w tym, kto przełknie jak najwięcej bez gryzienia tego, co miał w ustach. Znalazło się tylko dwóch chętnych, a ja uśmiechałem się do Agaty, która zaczęła mnie zachęcać do wzięcia udziału w grze. Bjorn stwierdził, że jako pierwszy połknie mandarynkę, którą zaczął sobie obierać. Agata zaproponowała, że przebiję go dużą porcją purée z talerza, której nie zjadłem, a która będzie większym kalibrem w konkurencji. Podczas gdy poszła do kuchni je podgrzać, trzeci uczestnik zabawy zastanawiał się nad tym, co ze stołu można połknąć i potem się nie porzygać, bo nie chciał tracić tej pysznej kolacji, tak jak Thomas. Po chwili zrezygnował z tego idiotyzmu. Agata wróciła po chwili, nałożyła mi purée na dużą łyżkę w takiej ilości, żeby była większa niż mandarynka Bjorna, i kazała przełknąć. Ziemniaczana masa zapełniła mi usta. Nie miałem wyjścia. Bjorn właśnie połknął mandarynkę, wybrał prawdopodobnie najbardziej miękką i naprawdę niewielką. Moje purée też szybko dostało się do przełyku. Trzeci potencjalny gracz popukał się tylko znacząco w czoło. Śmialiśmy się ze swej głupoty. Bjorn uznał moje zwycięstwo i z tej okazji otworzyliśmy kolejną butelkę wina. Panie przyglądały się nam sceptycznie. Nie widać było, że nasza durna gra je bawi. Były przerażone, kiedy pół godziny później zwijałem się na podłodze z bólu. I wtedy Thomas zadziałał tak, jak powinien zadziałać ktoś z zimną krwią. Dzięki temu dwadzieścia minut później lekarze walczyli o moje życie w szpitalu.

Nie wiem, co było bardziej straszne – uczucie duszenia się, kiedy intubowali mi przełyk i dostawali się do treści żołądkowych, czy ból, jaki sprawiał mi ten gwóźdź. Bo Agata włożyła mi do purée gwóźdź, kiedy rzekomo szła je podgrzać. Był mały i ostry. Nic nie poczułem przy przełykaniu. Koszmar zaczął się po niedługim czasie i nasza impreza zakończyła się przybyciem norweskich służb ratunkowych.

Lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy, i uratowali mnie. Agata pojechała ze mną w karetce do szpitala. Namawiano mnie, bym złożył przeciwko niej akt

oskarżenia. To była oczywista próba morderstwa, wszystko mogło skończyć się naprawdę tragicznie. Nie wiem, ile miała w sobie tupetu, by być ze mną wtedy w szpitalu. I nie wiem, jak to się stało, co im powiedziała, jak się zachowała, że nikt nie zgłosił tego policji, a przecież szpital powinien poinformować o próbie zabójstwa. Przez dwa dni nie odezwaliśmy się do siebie słowem, zresztą ja nie za bardzo mogłem mówić. A ona była przy mnie, spała na fotelu, nie odstępowała mnie na krok. Nie chciała też rozmawiać z lekarzami, po prostu warowała przy mnie jak pies.

Thomas powiedział mi potem, że stał już przy komisariacie i chciał złożyć doniesienie o próbie zabójstwa, jednak powstrzymał się przed tym, bo pomyślał, że powinienem zrobić to sam. Po wszystkim zerwał kontakty z Agatą i zapowiedział, że nie zamierza tolerować jej obecności. Że nigdy więcej jego noga nie postanie w naszym domu, jeśli będzie tam Agata. Że mam się od niej wyprowadzić i zamieszkać u niego. Bjorn i Toni, którzy zostali w domu po imprezie, uprzątnęli go i przywieźli nam różne rzeczy do szpitala, byli bladzi i udało im się tylko kierować w moją stronę uśmiechy. Na Agatę nie patrzyli. Nikt z nas nie umiał się odnaleźć po tym, co zaszło. Ale to ja najbardziej cierpiałem, wciąż na nowo analizując zdarzenia.

Nie zdecydowałem się na żaden ruch przeciwko niej. Na absolutnie żaden gest sprzeciwu wobec tego, że chciała mnie zabić. Długo nie byłem w stanie uwierzyć w to, co się stało, ale nie miałem zamiaru jej krzywdzić. Po tym, gdy ona była gotowa w wyrachowany sposób się mnie pozbyć. Kiedy w końcu zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, wyjaśniała, że to nie tak, jak myślę. Zrobiła to odruchowo, wbrew sobie. Sądziła, że to mi zada tylko trochę bólu. To był rzekomo jakiś szatański impuls. Nigdy w to nie uwierzyłem. Byłem przekonany, że ten gwóźdź leżał sobie i czekał na taki moment, jaki zdarzył się podczas imprezy. Z jednej strony byłem przerażony i długo nie mogłem dojść do siebie. Z drugiej jednak – wciąż fascynowało mnie to, dlaczego ona to zrobiła, co w nią wstąpiło, czy naprawdę przeanalizowała konsekwencje tego, co się stało.

Thomas ustawicznie namawiał mnie na rozwód. Właśnie wtedy po raz pierwszy głośno wybrzmiało to słowo. Mówił, że żyję z nieprzewidywalną wariatką, że to się musi wreszcie skończyć, jestem ofiarą przemocy od wielu lat i nigdzie tego nie zgłaszam. Że jeśli to będzie trwało nadal, on w końcu zbierze się na odwagę i opowie wszystko tutejszym policjantom. Że nie mogę tak dalej żyć, nie zasługuję na takie piekło, żaden mężczyzna nie zasługuje. Przyznawałem mu rację, ale nie odsuwałem się od Agaty. Wciąż oczekiwałem wyjaśnień. Wciąż niczego nie rozumiałem. Nigdy jej nie skrzywdziłem, oddałbym za nią życie i nawet po tym, co zrobiła, byłem gotowy zacząć od nowa, bo nie wyobrażałem sobie, że się rozstajemy, że w moim życiu nie ma Agaty. Paradoksalnie zaczął znikać strach przed nią. Bo miałem wrażenie, że pokazała już wszystko, co potrafi. Że od teraz będzie tylko lepiej, wyliżę swoje rany, ona się zmieni i spróbujemy żyć razem na nowych warunkach.

Wieczór pojednania przyniósł mi zaskakującą wiedzę o naszym związku. Opowiadała o tym, jak bardzo chciała mnie ukarać. Za to, co przed laty zrobiłem, co rezonowało w jej pamięci i przypominało kogoś, kto dużo wcześniej zrobił to samo. Wrastała w jakąś chorą nienawiść, jednocześnie wciąż się do mnie przywiązuje. To wtedy otworzyła się i opowiedziała mi absolutnie wszystko o swojej przeszłości. Płakaliśmy oboje, tak jak wtedy, gdy zwierzyła mi się, nie ujawniając jeszcze tych bolesnych szczegółów, ale ja chyba bardziej nad sobą. Nie chciałem rozwodu. Nie chciałem rozstania. Byłem gotowy wszystko jej wybaczyć. Nie mogłem jej zostawić po tym, co przeszła.

Tymczasem zaczęła się pandemia koronawirusa i staliśmy się niejako skazani na siebie. Norwegia najpierw była dumna z tego, że liczba zakażeń i śmierci z powodu tego azjatyckiego świństwa jest w naszym kraju tak niska, a potem władze chyba poddały się globalnej paranoi i nasz świat się zatrzymał. Choć tu, na północy, trudno było mówić o jakimś spektakularnym zatrzymaniu, zawsze żyliśmy sobie na norweskim marginesie, w ciszy i czasie płynącym inaczej. Ale nigdy nie zdarzyło się, abym spędzał z Agatą całą dobę w domu dłużej niż przez kilka dni.

Ona straciła większość zleceń, ja tylko kilka, bo mimo wszystko ludzie w tych szalonych czasach nadal chcieli czytać książki. Opresyjne stało się nie to, że byliśmy ze sobą bardzo intensywnie, ale to, że tak naprawdę niczego nie można było zaplanować. Nikt nie miał pojęcia, jak ta pandemia się rozwinie. I zrozumieliśmy, że wirus nie jest czymś błahym po tym, jak zachorował szef Agaty, a potem tygodniami walczył o życie w szpitalu. My walczyliśmy o nasz związek, o jakąś sensowną przyszłość, o kompromis, którego wciąż nie mogliśmy wypracować.

Była oddana, czuła i wyjątkowo uległa. Przez pewien czas odnosiłem wrażenie, że to ja zarządzam naszym życiem, ja muszę zaprojektować najbliższą przyszłość. Kochaliśmy się pierwszy raz dopiero trzy miesiące po tym, jak wyszedłem ze szpitala. Postępowała ze mną bardzo delikatnie, jakbym nadal był wiotkim i niepewnym swojego ciała mężczyzną, przy którym tkwiła w szpitalnej sali. Nie miałem z tego seksu żadnej satysfakcji. Wciąż tworzyłem dystans, w którym było mi bezpiecznie, a ona pokornie zgadzała się na jego istnienie. Miałem wrażenie, że przeżywała wtedy coś, co dopadło ją z najdalszych zakątków przeszłości. Bywała milcząca, czasami nic do niej nie docierało, siedziała godzinami wpatrzona w jeden punkt, nie reagowała na moje próby nawiązania kontaktu.

Nie wiem, czym była dla mnie nasza bliskość potem, ale wiedziałem, że tamtego wieczoru coś jednak skończyło się bezpowrotnie. Agata stała się inną osobą. Jej momenty, a później długie dni podczas pandemii, kiedy zamykała się w sobie i nie dawała szansy na to, by do niej dotrzeć, były dla mnie przejmujące, bo nie wiedziałem, jakie decyzje podjąć. Za wszelką cenę powinniśmy być razem – to słyszałem wciąż gdzieś w głowie, ale słuchałem również Thomasa, który często do mnie dzwonił i wciąż na nowo dziwił się temu, jak się zachowuję. Tymczasem wspólnie walczyliśmy z epidemią, razem poszliśmy się zaszczepić, tworzyliśmy wspólny front, jednak perspektyw na dalsze dobre życie było coraz mniej.

Po jakimś czasie mój przyjaciel zaproponował mi dobrego terapeutę, który przed laty pomógł mu z pogodzeniem się z odejściem Marit. Uświadomił, że wreszcie powinien pozwolić jej odejść, zaakceptować śmierć. Thomas bardzo sobie

chwalił tego człowieka i był przekonany, że spotkania z nim dadzą mi wgląd w emocje, których się bałem, bo nie chciałem ich nazywać. Mimo wszystko byłem ciekawy. Nigdy nie pojawiłem się w żadnym gabinecie psychologa, zawsze sam doskonale dawałem sobie radę z tym, co myślę i czuję. Nasze sesje terapeutyczne miały się odbywać za pomocą Zooma z dwóch powodów: pandemii i tego, że ten człowiek ponoć mieszkał w innym mieście, choć Thomas wspominał, że jakiś czas temu miał swój prywatny gabinet w Tromsø.

Cały czas byłem bardziej przekonany o tym, że to Agacie potrzebna jest taka pomoc, nie mnie. Zastanawiałem się, co by było, gdybym to ją posadził przed komputerem i to ona mogłaby porozmawiać z terapeutą przeznaczonym dla mnie i moich problemów. Miałem w sobie sporo sceptycyzmu, jednak podjąłem wyzwanie. Agata w tym nie uczestniczyła. Zawsze zamykałem się w pokoju na piętrze i starałem z pełną szczerością opowiadać obcemu mężczyźnie, co czuję albo co czułem w konkretnych momentach, o które mnie wypytywał. Było to dla mnie nowe i bardzo dziwne doświadczenie.

Miał bardzo kojący, wręcz radiowy głos. Wnikliwe, ciemne oczy, których ze mnie nie spuszczał. Odnosiłem wrażenie, że w jego norweskim słyszę taki akcent, jakby był Polakiem z pochodzenia, ale po pewnym czasie przestałem na to zwracać uwagę i nie zdecydowałem się odezwać po polsku, by to sprawdzić. Wyrażanie emocji w języku norweskim nie było dla mnie łatwe. Ale on łatwo zyskał moje zaufanie. Bardzo mu zależało, abyśmy podczas sesji byli w kontakcie wzrokowym. Właściwie uwalniał ze mnie te odczucia, których nigdy nie umiałem dobrze określić. To naprawdę było oczyszczające. Nie starał się udowodnić, jak mój przyjaciel, że jestem ofiarą przemocy domowej. Starał się z moich relacji rozpoznać jej strukturę. Wejść w umysł tej, która była w moich opowieściach najważniejsza. Ale dać mi także komfort przeżywania smutku i rozczarowania, o których opowiadałem mu bardzo dużo.

Kiedy świat powoli zaczął się otwierać, byliśmy z Agatą gotowi na nowy początek. Wybaczyłem jej to, co zrobiła, i zauważyłem, że powraca do dawnej siebie. Najwidoczniej jej nie była potrzebna żadna terapia, dała sobie sama radę

z demonami. Pozostał między nami dystans, którego nie umieliśmy skrócić. Zabrakło już tej czułości w łóżku pozwalającej niegdyś zapomnieć o każdej krzywdzie, bliskości rekompensującej każdy cios od Agaty. Trwaliśmy obok siebie, gotowi do naprawy wszystkiego, co tylko udało się naprawić. Agata cieszyła się z moich sesji terapeutycznych, jednak nigdy nie wykazała nimi większego zainteresowania. A mój terapeuta drażył. Sięgałem do dalekiej przeszłości i do pierwszych ważnych chwil z moją żoną. Odtworzyłem mu całą historię naszego niepokojącego małżeństwa. Więcej pytał, niż udzielał rad, zresztą bardzo mu zależało na tym, abym to ja podczas sesji próbował rozwiewać wszelkie wątpliwości, jakie wyrażę. Ta konfrontacja była bardzo trudna. Ale przy moim zbawcy duszy z Zooma czułem się i odsłonięty, i jednocześnie pewny tego, że wszystko zostaje między nami, o żadnej mojej słabości nikt się nie dowie. Kto wie, czy nie była to pierwsza w moim życiu osoba dająca mi tak duże poczucie bezpieczeństwa.

Kiedyś Agata wyjechała na tydzień w sprawach służbowych, a terapeuta podczas ostatniego spotkania powiedział, że będzie za kilka dni w Tromsø, że może chciałbym odbyć jedną sesję twarzą w twarz, to mogłoby mi pomóc i byłoby próbą przekonania się do tego, że za jakiś czas mógłbym przylatywać do niego, by kontynuować terapię w gabinecie. Bardzo byłem ciekaw tego człowieka, imponowały mi pokłady empatii, które w nim wzbudziłem, a jednocześnie pewien surowy, lecz konieczny dystans, który zawsze zachowywał – nawet w chwilach, gdy płakałem przed monitorem.

Odwiedził mnie w naszym domu. Rozglądał się z zainteresowaniem, robota mojej żony zrobiła na nim wrażenie. Potem zorientował się, w jakim celu tu przybył, i koncentrował na mnie. Obiecaliśmy sobie, że to będzie tylko godzina sesji, żaden z nas nie będzie ingerować jakoś bardziej w prywatność drugiego, po prostu zamienimy sobie planowe spotkanie na Zoomie i porozmawiamy o mnie, może z innej, domowej perspektywy. Nie za bardzo wiem, co się wtedy stało, ale ten człowiek nie przypominał siebie sprzed ekranu komputera. Jakby doświadczył jakiejś skrajnie silnej emocji, którą usiłował przede mną ukryć. Co prawda sesja się

odbyła i za nią zapłaciłem, lecz miałem wrażenie, że mój terapeuta kręci się niespokojnie w fotelu i czeka tylko, aby wyjść z mojego domu. Nie wiem, czy docierało do niego to, co chciałem powiedzieć i potem miałem wrażenie, że ta domowa sesja to nie był dobry pomysł. Nie widziałem jeszcze nigdy, aby ktokolwiek tak diametralnie się zmienił dosłownie z minuty na minutę.

Tym bardziej byłem w szoku, że po kilku dniach znawca mojej obolałej duszy oznajmił mi coś, co całkowicie mnie zaskoczyło. Stwierdził, że nie jest gotowy na to, by dalej prowadzić moją terapię, chciał mi polecić swojego znajomego, w tej samej cenie, miało być tak samo profesjonalnie. W jego słowach wyczuwałem pewną panikę, ale też jakby skrywany gniew. Coś było bardzo nie tak. To już nie był ten kojący głos jak z radia. Czy czymś zawiniłem? Od czasu tamtej domowej sesji zostałem sam ze sobą, bo nie zgodziłem się na żadną wymianę terapeuty, a jego rolę przejęła trochę Agata. Stała się uważną słuchaczką, a jednocześnie wracała powoli do tego, kim była. Znow w mniejszym lub większym stopniu odczuwałem, co miałem zrobić, co jest konieczne, co jej się nie podoba i co mam zmienić. Miałem wrażenie, że powracamy do życia, które wiedliśmy dawno temu, a moja psychoterapia stała się jakimś dziwnym wspomnieniem. Nie sądziłem, że otworzenie się przed kimś i rozgrzebanie swoich emocji, a potem porzucenie przez terapeutę będzie boleśniejsze, niż samo rozpoczęcie terapii. Agata znowu zaczęła nade mną dominować. Znowu sterowała naszym życiem, choć już nigdy więcej nie podniosła na mnie ręki.

A jakiś czas później zniknęła. Nie wiem, czy więcej było we mnie rozpacz czy bezsilności. Jeszcze nie doświadczyłem stanu takiego zawieszenia, jakbym przestał istnieć, a jednak żyłem, nadal oddychałem, usiłowałem normalnie funkcjonować. Policja przyjęła zgłoszenie o zaginięciu i zaczęli działać, ale nic z tego nie wynikało. Zniknięcie doskonałe. Żadnych śladów. Kiedy ostatni raz wychodziła z domu, miała wyłączony telefon. Jej karta SIM przestała wysyłać sygnał kilka

godzin później. Samochód znaleziono parę przecznic przed budynkiem, w którym pracowała. Ślad się urwał. Po prostu jej nie było.

Nie wiem, czy bardziej irytowała mnie myśl o nieudolności norweskiej policji, której wciąż niczego konkretnego nie udało się ustalić, czy bezgranicznie smuciła świadomość, że już jej więcej nie zobaczę. Że być może podjęła tę decyzję świadomie, tak właśnie chciała skończyć nasz związek: salwować się ucieczką. Z drugiej strony wszystko było enigmatyczne. Nie zabrała ze sobą żadnych ubrań, a z rzeczy niczego więcej niż to, z czym wychodziła na co dzień do pracy. Kamery monitoringu w rejonie, w którym zaparkowała, pokazywały tylko, że wyszła z samochodu i skręciła tam, gdzie tych kamer nie było. Po kilku minutach nie widać było Agaty w miejscu, w którym ponownie pojawiał się monitoring. Jakby zapadła się pod ziemię. Nie dawało mi to spokoju i nigdy nie uwierzyłem w to, że wszystko zaplanowała, aby w ten sposób mnie porzucić.

Thomas wprowadził się do mnie na kilka dni, kiedy sam nie dawałem sobie rady i byłem bliski szaleństwa. To wtedy staliśmy się braćmi w utracie. Jeździłem po całym mieście, rozglądając się na wszystkie strony i raz o mało nie spowodowałem wypadku. Robiłem to każdego dnia, jakby miała się po prostu skądś wyłonić, wsiąść do mojego auta i przeprosić za mało zabawny żart. Taki jak z tym domkiem na wyspie. Wiedziałem, że mogłaby się ze mną znowu tak pobawić. Policja brała pod uwagę porwanie, jednak nikomu nie postawiono zarzutu. Przez kolejne dwa miesiące nie znaleziono również ciała. Sprawa utkwiała w miejscu. Wtedy Thomas poradził mi, żebym próbował po prostu zapomnieć. Cokolwiek się stanie, ona nie wróci.

Jak mógłbym zapomnieć moją ukochaną? Kobieta, która była treścią mojego życia? Miłość do Agaty pozwalała mi czuć się potrzebnym, byłem we właściwym miejscu. Nikt inny nie dał mi tyle czułości, choć wielokrotnie była pod nią skryta agresja, rozumiałem teraz tę dziwną grę, starałem się przypominać jak najgorsze okresy z naszego życia razem, żeby znieść pustkę, wmówić sobie, że lepiej, iż jej nie ma.

Nie było lepiej. Mijały kolejne miesiące. Próbowałem pracować i funkcjonować normalnie. Przestałem jeździć po całym Tromsø. Wybraliśmy się z Thomasem w podróż, którą kiedyś planowaliśmy. Nie sądziłem, że Norwegia może być jeszcze bardziej dzika i jeszcze piękniejsza niż to, co mieliśmy tu na co dzień. A jednak to, co ujrzałem, zapierało mi dech w piersiach i pozwalało na chwilę zapomnieć o wewnętrznej pustce. Pustka była wokół, tak wspaniale było sycić nią oczy. I mam wrażenie, że wielu Norwegów nigdy nie zobaczyło tych wszystkich chwytających za serce obliczy swego pięknego kraju. Thomas tak zaplanował trasę, że zwiedziliśmy praktycznie cały Finnmark i nawet udaliśmy się na kilkugodzinną wycieczkę do Rosji, choć tam już nie czuliśmy się tak pewnie ze względu na narastające geopolityczne napięcia i wizerunek tego kraju jako wojennego najeźdźcy. Agatę widziałem w prawie każdym krajobrazie. Tym mijanym i tym, przy którym trwaliśmy niemi w zachwycie. Szum lodowatych fal zagłuszał moje mroczne myśli, podczas tej wyprawy byłem przekonany, że stało się coś strasznego, że ona nie żyje. Że albo odnajdę ją w tym najdzikszym z rejonów Norwegii, albo nie odnajdę wcale. Ale to przecież absurdalne, że chciałaby się ukryć przed światem i przede mną właśnie tutaj.

Wróciliśmy z pewnym niedosytem: Thomas rozumiał, że ta wyprawa nie dała mi wytchnienia, a mnie było głupio, że nie skupiłem się na uprzejmości przyjaciela i nie dałem mu do zrozumienia, że zabrał mnie w najpiękniejszą podróż, bo taka też była w istocie. Nie dałem Thomasowi odczuć, jak jestem mu wdzięczny za to, że ratował mnie wtedy przede mną samym, chcącym się pogrążyć w rozpacz.

Wytrzymałem mieszkanie samemu przez rok. Dłużej nie mogłem tego znieść. Choć Agaty nie było ze mną fizycznie, bardzo często wracała w snach. Na przemian łagodna i groźna. Gonila mnie w jakimś mrocznym lesie, kłóciliśmy się i uderzała moją głową o blat w kuchni, wciąż na nowo w każdej wizji niepokoiła. Była tam tak intensywnie, że budząc się, czułem jej obecność obok siebie. Ale Agaty nie było i nikt jej nigdzie nie odnalazł. Tromsø stało się dla mnie obcym miejscem, choć przecież było dla nas dwojga idealne, chcieliśmy się tu zestarzeć i umrzeć. Uwierał mnie każdy kolejny dzień samotności. Coraz częściej

przekonywałem się do tego, że ktoś pozbawił Agatę życia. Gdzie zatem znajdowało się jej ciało? Czy naprawdę nie zasługiwałem na to, by wiedzieć, czy żyje, a jeśli tak, to czy beze mnie ma się dobrze?

Dojrzywałem do decyzji o sprzedaży domu i powrocie do Polski. Tak, brałem pod uwagę tę opcję, choć pamiętałem o danej ojcu obietnicy. Nie było mi łatwo. Tam właściwie nie miałem na co liczyć poza powitaniem kostycznej matki. Tutaj każdy kąt krzyczał o mojej samotności, a Agata była wszechobecna. Nawet trudno było mi czasem oddychać tym świeżym powietrzem, dusiłem się z bezsilności, nie dawałem rady być w pojedynkę w miejscu, które wymarzyliśmy sobie dla nas obojga. Dopiero teraz zrozumiałem w pełni, że bycie samotnym w północnej Norwegii może wywoływać wręcz fizyczny ból. Najboleśniej doskwierała niszcząca mnie niepewność. Wolałbym wiedzieć, że nie żyje, pochować ją, przejść żałobę i próbować żyć normalnie jak Thomas.

Tymczasem nie miałem nic: nabrzmiała od różnych wspomnień pamięć i widok policjantów bezradnie rozkładających przede mną ręce za każdym razem, kiedy odwiedzałem komisariat. Obezwładniła mnie pustka i wtedy bardziej niż kiedykolwiek chciałem porozmawiać z tym terapeutą, który przecież też mnie porzucił. Nie odpisał na mojego maila. Miałem wrażenie, że zniknął tak jak Agata. Moje życie musiało się zmienić. Musiałem opuścić to miasto i poszukać gdzieś spokoju. W innym rejonie Norwegii? W Polsce? Nie byłem już Mikim, nie byłem Michałem. Towarzyszyło mi poczucie, że oto właśnie, tuż po czterdziestce, nie wiem, kim jestem i nie mam pojęcia, czego pragnę. Wiedziałem tylko jedno: jestem nieukojoną tęsknotą. Aż pewnego dnia spakowałem walizkę i po raz ostatni zamknąłem drzwi naszego domu w Tromsø.

CZĘŚĆ DRUGA

ONA

Agata ma dwanaście lat i cała jest buntem. Nie chce jechać po południu do Warszawy. Nie ma ochoty siadać w fotelu u ortodonta. Nie chce mieć w ustach tego, co nosi Zośka z jej klasy, i z czego potajemnie śmieją się chłopcy, choć robią to tak, że nikt nie zauważa, a Zośka mówi, że im przejdzie, aparat sprawi, że będzie miała piękne, proste zęby. Agata ma gdzieś kształt swoich zębów. Nie widzi w nich niczego odstającego od normy. To rodzice bardzo chcą, żeby nosiła w ustach coś, co przypomina jej takie jedno narzędzie tortur, które kiedyś widziała w podręczniku od historii. Jak w ogóle można robić coś takiego swojemu dziecku, wkładać do ust wędzidło jak jakiejś klaczy?

Dlatego od rana marudzi, że nie chce jechać do stolicy. Chodzi naburmuszona i całą sobą manifestuje niezgodę na najbliższą przyszłość. Na niewiele się to zdaje. Mama, jak zawsze zdecydowana i konsekwentna, projektuje każdy poranek w rytm mycia się, jedzenia posiłku, wyprawiania Agaty do szkoły, taty do pracy i zamykania za nimi drzwi z czułym uśmiechem i życzeniem dobrego dnia. Wszystko odbywa się według codziennego rytuału, który mama stworzyła z miłości i determinacji. Być może wsparłaby ją w dziewczęcym oporze, bo widzi cierpienie córki, jednak tata jest nieugięty. A mama nie lubi konfliktów i jest po cichu przekonana, że mąż ma rację. Znają się z tym niemiłym ortodontą, który za każdym razem traktował ją jak gówniarę, którą trzeba czymś zabawić, by nie myślała o tym, że gmera jej w ustach i nie jest to przyjemne. Wymyślił sobie aparat, też coś.

Agata wychodzi z domu, unikając dziś uścisku mamy. Odsuwa się na bok, kiedy mama wyciąga swe czułe ramiona. Całe życie będzie żałować tego, że się

wtedy nie przytuliła. Mocno. Tata całuje ją w czubek głowy. Ona ma tego dość. Nie jest już małym dzieckiem i nie rozstaje się z nimi na dłużej niż na kilka godzin. Po co te wszystkie powtarzalne zachowania? Zwłaszcza dzisiaj chcą za wszelką cenę być mili dla Agaty, bo wiedzą, że z godziny na godzinę napięcie rośnie i nie mają w końcu pojęcia, jak córka zachowa się na fotelu dentystycznym.

Dzień w szkole mija szybko i jest kolejnym nudnym dniem, w którym Agata przez pięć godzin wykonuje polecenia dorosłych albo udaje, że je wykonuje, a przez kolejne cztery przerwy robi dokładnie to, czego oczekują od niej koleżanki. Je drugie śniadanie, które dzisiaj w ogóle jej nie smakuje, choć mama włożyła jej do plecaka ulubiony przysmak, kanapkę z serem i jajkiem. Agata bardzo chce mieć wiele koleżanek, chce być częścią grupy, stara się z nonszalancją traktować to, że ma najlepsze oceny w klasie, i nie sprawiać wrażenia odizolowanej od reszty kujonki. Nie jest kujonką, ale będzie wyglądała koszmarnie, kiedy wsadzą jej te druty do ust. Zośka pociesza ją, jak może, ale w Agacie coraz bardziej wzrasta złość. Po skończonych zajęciach wybiera jak najdłuższą drogę do domu, bo celowo chce się spóźnić i być może dzięki temu uniemożliwić rodzicom wyjazd.

Miasteczko jest małe, więc nie za bardzo ma dokąd pójść, prosta droga do domu to raptem dziesięć minut marszu. Atmosfera przy wspólnym obiedzie pęcznieje już od napięcia, tata za wszelką cenę stara się przekonać córkę, że to, co właśnie robią, jest absolutnie konieczne i potem będzie wyglądała pięknie, a Agata myśli, że skoro teraz tak mówi, to wcale nie jest piękna i chcą ją oboje naprawić jak zepsutą lalkę. Do ślicznie się prezentującego świadectwa z paskiem dołożymy za pół roku równie śliczną dziewczynkę, która będzie się uśmiechać od ucha do ucha, pokazując prościutkie uzębienie.

Jadą zatem. Agata na tylnym siedzeniu, zła na cały świat, założyła ręce na piersi, nie ma już dokąd przed tym wszystkim uciec, jest gotowa na upokorzenie. Mama upomina ją, żeby zapięła pas, choć Agata widzi, że sama tego nie robi, zajęta sprawdzaniem czegoś w tej rozkładanej ulotce reklamowej kliniki dentystycznej, do której się wybierają. Pola i rozmaite budynki zaczynają mijać w oknie w coraz szybszym tempie. Obiad staje jej w gardle, po kilku kilometrach

jazdy czuje, że zaraz puści pawia, prosi tatę o zatrzymanie się, wysiada i bierze kilka głębokich oddechów.

Nie jest tak naprawdę zła na rodziców. Wie, że chcą dla niej jak najlepiej. Kocha ich bardzo, choć uważa, że w tym wieku nie powinno się przesadzać z okazywaniem miłości. Nie nazywa ich jednak „starymi”, jak robi to większość jej rówieśników, często mocno skonfliktowanych ze swoimi rodzicami. Agata ma im za złe to, że jako jedynaczka jest jakąś niedobrą projekcją tego, co chcieliby widzieć mama z tatą. Jakby zaplanowali jej życie, zajęcia i przede wszystkim wygląd na najbliższe lata. Naprawdę ma gdzieś ten aparat ortodontyczny. Wie, że nic nie może zrobić, więc po złapaniu oddechu zrezygnowana wsiada do samochodu, zapina pas, jadą dalej. Powoli zapada zmrok, warunki na drodze nie są dobre. Tata stara się jechać powoli i bezpiecznie, ale już przed samą Warszawą przyspiesza, bo jest przekonany, że się spóźnią.

Nie spóźniają się. Agata jest bierna i bezwolna. Nie odpowiada na fałszywy uśmiech niemiłego ortodonta. Siada na fotel, niech się dzieje, co chce. Uczucie po zabiegu jest koszmarne. Ma wrażenie, jakby ktoś włożył jej do ust kilogram metalu i miałaby go właśnie przeżuwać, choć przecież nie zniknie, nie rozpuści się. Tata uśmiecha się promiennie, mama kłamie, że Agata wygląda naprawdę uroczo. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że będzie to ostatnie zdanie, które usłyszy od niej córka, i które później zabierze ze sobą w świat, w krainę samotności i wyobcowania. Tam, gdzie nigdy nie będzie uroczo.

Czas na drogę powrotną. Samochód nie chce odpalić, tata się trochę denerwuje, w końcu ruszają. Z niej opada już całe napięcie, stało się, czas przyzwyczajać się do nowego wyglądu i jak najrządziej uśmiechać. Jest już ciemno, listopadowy chłód przypomina o zbliżającej się zimie. Agata po raz kolejny przegląda się w lusterku, które ze sobą zabrała do kieszeni. Suną w mrok. Tata podśpiewuje piosenkę, którą grają w radiu, mama chyba zasypia, wszystko jest już w jak najlepszym porządku i wracają do domu. Tata mocniej naciska pedał gazu, a szeroka droga bez nadjeżdżających z naprzeciwka aut jakby sama zaprasza do

tego, aby jechać szybciej. Za chwilę ta szybkość się skończy, skończy się całe dotychczasowe życie Agaty.

Agata ma trzynaście lat i cała jest strachem. Siedzi w bezpiecznej przestrzeni swojej szafy i nasłuchuje kroków na schodach. Wie, że on prędzej czy później tu przyjdzie. Zawsze przychodzi, kiedy Agata ignoruje jego wołanie. Nauczyła się przychodzić na każde, ale dzisiaj czuje się wyjątkowo niegotowa na posłuszeństwo. Nie ma na nie siły. Dlatego schowała się w tej szafie, choć wie, że to może tylko pogorszyć jej sytuację. Ale przestrzeń szafy jest naprawdę bezpieczna. Chciałaby w niej zamieszkać. Chciałaby nie być zauważaną. Zniknąć. Szczupłe ramiona oplatają kolana. Drżą. Sukienka nieco się podwinęła, Agata próbuje naciągnąć ją i szykuje się do wyjścia z szafy. Musi jednak złapać oddech, otworzyć okno i posiedzieć chwilę przy zimnym wietrze.

Kroki słyhać bardzo wyraźnie, on sporo waży i mocno człapie, a mimo tego Agata nie stara się zmienić swojej pozycji ani opuścić pomieszczenia. Przez chwilę jej płuca zamierają. Narasta napięcie oczekiwania. Może się spodziewać ciosu albo obojętności. Kilka razy wywlekał ją z szafy i bił. Parokrotnie jedynie otwierał drzwi, diabolicznie się śmiał i zamykał je z powrotem. Trudno powiedzieć, co wydarzy się teraz.

Tym razem bicia jednak nie będzie. Agata jest przekonana, że czeka ich kilkugodzinny rozejm. On nie idzie do niej jakoś stanowczo, stawia małe kroki, nie spieszy się. Nie jest już zły? Drzwi do szafy otwierają się szybko, chwycił za nie zdecydowanie, a teraz uważnie patrzy na twarz Agaty, na której znajdują się resztki łez, a włosy w nieładzie powodują, że dziewczynka wygląda jeszcze gorzej, niż mogłaby sobie wyobrazić. Drżą jej stopy i dłonie.

– Wyłaź! – mówi to po norwesku, ale wie, że ona zna już to słowo i nie trzeba będzie powtarzać po polsku. – Masz tu listę zakupów, pójdziesz do Kiwi i mi stamtąd wszystko przyniesiesz.

Agata jeszcze na chwilę zastyga w bezruchu. Drżenia ustają. Próbuje się podnieść, ale jej to nie wychodzi, w szafie jest zbyt ciasno. On wyciąga do niej swą długą, żylastą rękę i pomaga. Agata dotyka jej z wahaniem, boi się go. Jego ciało jest obrzydliwe.

– Przepraszam – mówi Agata szeptem. – Przepraszam, że rozbiłam ten słoik.

Słoik roztrzaskał się o podłogę w momencie, kiedy Agata zorientowała się, że on jest w pomieszczeniu. Wszedł do domu niezauważenie, po cichu. Agata chciała sobie tylko zrobić tosty z konfiturą, znowu nie zjadła całego obiadu w szkole, głód dopadł ją przed kolacją. Kiedy słoik pękał w zderzeniu z podłogą, wiedziała, że słodko może jej się zrobić w ustach. Tak się robiło, gdy krew wypływała z poranionego języka albo jej zęby robiły szkodę w ustach po tym, jak głowa odskakiwała po ciosie. Prościutkie zęby, na których aparat ortodontyczny wisiał krócej niż powinien. Tym razem był bardziej tolerancyjny wobec jej niezgrabności. Uderzył raz, precyzyjnie, w czubek głowy, bardzo lubił bić po głowie, bo wiedział, że gęste włosy Agaty zasłonią większość śladów.

– Jak wrócisz z zakupami, posprzątasz tamten syf. – Stara się mówić powoli i jest spokojny. To dobry znak, być może nic więcej nie wydarzy się dzisiejszego wieczoru. Świdruje ją wzrokiem. Poza tym mówi po polsku, nie drażni się z nią, nie odzywa w obcym jej języku, do którego ona wciąż ma dystans i nie jest pewna, czy kiedykolwiek się go nauczy.

– Posprzątam. Oczywiście. – Agata prostuje się, przygląda włosy, idzie do łazienki, by obmyć twarz. Lista zakupów jest po norwesku i doskonale wie, że on w ten sposób toczy z nią kolejną grę. Jeśli nie przyniesie któregoś produktu, jaki został zapisany na liście, może się spodziewać surowej kary. Albo braku wieczornego posiłku. On wymyśla wtedy różne rzeczy. Ważne, żeby okazać jej wyższość, codziennie ją czymś upokorzyć.

– Pani Lille prosiła jeszcze o siatkę pomarańczy, bo zapomniała. Kupisz dla niej i zanieś jej, gdy będziesz wracać. – Słowa są precyzyjne, a on przygląda się jej, jakby oceniał, czy jest gotowa do misji „zakupy”.

– Tak, kupię i zaniosę. Zbieram się.

– Ruszaj.

Szturcha ją lekko i przygląda się, czy lista zakupów wprowadziła ją w konsternację. Agata radzi sobie z czymś takim, po prostu zaczepia ludzi w markecie, gdy nie jest pewna, co to za produkt, i prosi o wskazanie, gdzie to jest na półce. W Kiwi zwykle wszyscy się spieszą, ale zawsze znajdzie się jakaś sympatyczna staruszka albo młoda dziewczyna, które pochylą się nad kartką i nieco wytłumaczą. Agata posługuje się całkiem niezłym angielskim, od czwartej klasy uczyła się go pilnie na prywatnych lekcjach, to również częsty sposób, by wybawić się z opresji, którą on dla niej stworzył. Z nieznamości norweskiego. Rusza w chłód i ciemność wieczoru, wcześniej włożywszy ciepłą, zieloną kurtkę i czarne buty, z których wczoraj zdjęła raki, bo dzisiaj można się poruszać po Tromsø bez nich.

Agata boi się w sklepie, że czegoś z listy nie będzie. Jeszcze jej się to nie zdarzyło, on wysyła ją dość rzadko po większe zakupy, ale stres tkwi gdzieś w jej głowie, a Agata rozpoczyna od zbierania do koszyka tych produktów, których nazwy są dla niej zrozumiałe. Dopytuje się o trzy i znajduje, co trzeba. To też dla niej kolejna lekcja języka. Doskonale wie, że musi się go jak najszybciej nauczyć, bo wtedy zyska pewną przewagę nad nim. Nie znikną wściekłość i agresja, ale wytrąci mu z ręki jedno narzędzie wymierzania jej niesprawiedliwych kar. Kar za to, że jest przy niej, że musiał się nią zająć i zabrać z Polski. Rozlicza się szybko przy kasie i na trzęsących się nogach wraca do domu. Do swojej klatki.

Pani Lille to sympatyczna staruszka, która mieszka w domu obok. Nie ma bladego pojęcia, jaki dramat rozgrywa się codziennie u jej sąsiadów. Ma bardzo dużo różnych szlafroków i za każdym razem otwiera drzwi ubrana w inny. Tym razem wyjątkowo nie jest w żadnym z nich, jej oczy mieniają się blaskiem, a chwiejna dłoń przejmuje od Agaty owoce. Dostaje w zamian batonika Kvikk Lunsj i wie, że musi go dobrze schować, by wieczorem zjeść ze smakiem. On odmawia jej słodczy tylko dlatego, że widzi, jaka jest na nie łasa. Tymczasem

czeka na nią jeszcze słodka plama na kuchennej podłodze i resztki słoika do pozbierania.

Sprzątając, Agata przez chwilę zastanawia się nad tym, czy nie zostawić celowo jakiegoś odłamka szkła, żeby wszedł w nie i skaleczył sobie stopę. Nawet wybiera miejsce, w którym warto położyć szkło. On często chodzi po domu bez kapci. Z tym swoim charakterystycznym człapaniem. To, że potem ją zbije, będzie niczym przy satysfakcji z patrzenia, jak przez chwilę zwija się z bólu. Agata w całym swoim nastoletnim życiu nie sądziła, że może kogoś nienawidzić, ale tutaj, daleko od domu i daleko od kraju, z pełną świadomością zdaje sobie sprawę z tego, czym jest nienawiść. Jak wielką siłą może się stać, żeby przetrwać każdy kolejny dzień.

– Zrobić ci herbatę? – Zgląda do niego, siedzącego przed telewizorem i oglądającego wieczorne wiadomości. – A może jakąś kanapkę? Sama sobie zrobię dwie. Mogę?

Przez chwilę milczy, jakby nie usłyszał. Potem tylko macha ręką. Na ekranie widać jakąś biegnącą w lesie sarnę, a potem twarz człowieka komentującego, co się ostatnio wydarzyło w jakimś lesie w Finnmarku. Przynajmniej tak to wszystko wygląda, bo Agata nic nie rejestruje, gdy ktoś mówi po norwesku szybko.

– Nie chcę – mówi. – Zrób sobie kolację i spadaj na górę. Masz jeszcze lekcje do odrobienia.

Agata nie za bardzo rozumie, o co mu chodzi. W norweskiej szkole, do której trafiła, zasadniczo niczego nie zadaje się do pracy w domu, a jedyne, co powinna robić codziennie i intensywnie, to zakuwanie norweskich słówek. Jest w klasie z innymi emigranckimi dziećmi, ale ma wrażenie, że ona najmniej kuma, co się do niej mówi. Kiedy chce komunikować się po angielsku, nauczycielki łagodnie, ale stanowczo oponują, bardzo chcą, by wypowiadała się po norwesku. Nauczyła się w tym języku już kilkudziesięciu słów. Jednak to wciąż za mało, on wciąż jest przed nią i ją dominuje, także przez język. Agacie gładko przechodzą przez gardło kanapki, bo orientuje się, że dziś jednak już nic złego się nie wydarzy, a po

skromnym posiłku szybko myje talerz, ucieka na górę i zasypiając, stara się powtarzać po norwesku: „nienawidzę cię”, „zostaw mnie”, „ucieknę od ciebie”.

Agata ma czternaście lat i cała jest niepewnością. Wciąż nie umie zdecydować, co powinna zrobić, czy komukolwiek powiedzieć o tym, co na co dzień przeżywa, komukolwiek się zwierzyć. Widzi, że norweska szkoła jest zupełnie inna od tej polskiej. Nie tylko dlatego, że jest bardziej kolorowa, nie ma ocen i wszyscy są dla siebie mili. Zauważa, że wszystkie nauczycielki mają wiedzę i kompetencje szkolnej polskiej pani pedagog, do której chodzili jak na zsyłkę, gdy działo się coś niepokojącego, a która potrafiła rozmawiać z dużą otwartością, inaczej niż nauczyciele. Agata raz miała okazję u niej być, rozwiązywali wtedy jakiś szkolny problem, a ona była świadkiem sprzeczki dwóch kolegów. W norweskiej szkole każda nauczycielka jest psycholożką, znawczynią nauczanego przedmiotu i przyjaciółką. Jednak Agata trzyma dystans do każdej formy serdeczności, jaką otrzymuje w szkole. Boi się jakiegokolwiek bliskości. Jest czujna i nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie, domyślić nastrojów czy oczekiwań. Wiecznej chęci ucieczki. Ale ze szkoły nie ucieknie. A po niej wraca do piekła. Ciemnego domu i niego. Do jego krzaczastych brwi, które zawsze się ze sobą zbiegały, kiedy przygotowywał się do bicia.

Wiedział, że nie można zostawiać żadnych śladów. Wiedział, że w szkole węższą, gdy tylko zauważą, że dziecko zachowuje się jakoś inaczej, choć przecież nikt nigdy nie określał tam normy, szkoła była demokratyczna, każdy był w niej sobą, nawet uczniowie chcący trzymać się na uboczu jak Agata. Kiedy bił, zawsze używał tylko ręki i kazał jej wcześniej wkładać gruby sweter albo zimową kurtkę, także latem. Siła jego dłoni była bardzo duża, Agata właśnie ogląda swoje ciało w łazience po tym, jak dostała za to, że nie posprzątała pokoju. Nic nie trzeba było w nim sprzątać. Ale on miał inne zdanie. Ciosy spadały na plecy i na głowę. Nie wahał się, bił mocno i z wielką satysfakcją. Agacie nie wolno było nawet pisnąć. Wiedziała, że musi to po prostu przetrwać.

A teraz stoi w łazience przed lustrem i przygląda się uważnie swojemu odbiciu w lustrze, by po raz kolejny stwierdzić, że on robi to naprawdę perfekcyjnie. Wciąż boli, ale naprawdę nic nie widać na ciele. Rozebrana do majtek, powoli nakłada na siebie koszulkę, wskakuje w lniane spodnie. Teraz będzie czas na jej rozmyślenia nad sobą. Zwykle dostaje godzinę na to, żeby przemyśleć swoje zachowanie i przeprosić. Czas mija, a ona nie chce dzisiaj przeproszać.

Wie, że nie wolno się jej zamykać w łazience i nie dziwi jej, że on wkracza nagle, całym sobą, całą swoją złością i potęgą. Jest wysoki, góruje nad nią, nie sposób uwolnić się od jego przerażającej obecności.

– Pozmywasz w kuchni! – Jego ton jest władczy, mówi do niej już tylko po norwesku, ale Agata radzi sobie bardzo dobrze, sporo już się nauczyła, bardzo dużo rozumie, on nie zaskakuje ją tym językiem, który był dla niej trudny, ale przestał taki być, bo wiedziała, że nigdy sama z tego kraju nie wyjedzie, dopóki jest dzieckiem, po prostu musi go znać.

– Oczywiście, już idę. – Pozorna rezygnacja to tylko gra. W Agacie buzuje złość, ale wie, że musi ją ukrywać. Staje się mistrzynią ukrywania wszystkiego. Tu dodatkowo można się jeszcze ukryć w długich nocach.

– Upieprzyłaś cały blat, kiedy robiłaś spaghetti. – Nie jest wdzięczny za jej próbę przygotowania dla niego obiadu i nie wie, że naplula do jego porcji. – Wszystko ma lśnić. Zasuwasz do kuchni. Ruchy!

Zawsze się zastanawia nad tym, czy ci, z którymi on pracuje, do których tak się mizdrzy i dla których jest taki dobry i współczujący, zdają sobie sprawę z tego, z jakim skurwysynem rozmawiają. Agata szybko związuje w niedbałą kitkę swoje rozrzucone włosy i idzie do kuchni. Potem będzie się zastanawiać nad tym, co ma posprzątać w swoim pokoju, żeby był zadowolony. Gdy coś mu się spodoba, ona ma spokój przez cały dzień.

Myjąc blat i wkładając naczynia do zmywarki, Agata patrzy na gęsty mrok za oknem. Wciąż nie może się przyzwycząić do tego, co dzieje się tutaj już od listopada. Osuwania się w ciemność. Tego, że nie da się od niej uwolnić i czasami

można odnieść wrażenie, że zaciska się na szyi. Tak jak on kiedyś zacisnął dłonie, kiedy przesadził i szybko zdał sobie sprawę, że tak nie można, tak będzie widać, więc puścił, a Agata płakała z bezsilności.

– Jutro mamy w szkole znowu tę stację zdrowia czy jak to się nazywa – mówi do niego, kiedy pojawia się w kuchni, szuka okularów; leżą na fotelu w salonie, ale szybko się nie zorientuje.

– O której? – Nie patrzy na nią, rozgląda się wokół, szuka.

– Ty jesteś wpisany na jedenastą.

Mruczy coś sam do siebie, oczywiście nie trafia tu na okulary, niech sobie szuka dalej. Jednakże z tego powodu jego irytacja wzrasta.

– Będę punktualnie. I ma być, jak w zeszłym roku, wiesz dobrze. – Decyduje się obrzucić ją spojrzeniem od góry do dołu.

Nie znosi tych spotkań, które raz do roku mocno podnoszą mu ciśnienie. Wywiad z opiekunem, badanie dziecka. Wtedy zawsze ono ma się też rozebrać, prowadzący spotkanie ma za zadanie obejrzeć całe ciało. Norwegia bardzo dba o dobro nieletnich, ale Agata jest mistrzynią kamuflażu. Musi nią być. Niedawno zabrał ją na wycieczkę, pokazał jedno piękne miejsce i powiedział to, co powiedział. Tamte słowa dźwięczą w jej głowie, Agata wie, że trzeba się ich bać.

– Skończyłam tutaj, idę porządkować pokój, potem spać. – Te komunikaty są zbędne, ale Agata usiłuje rozpoznać jego nastrój. Znalazł w końcu swoje okulary. Jeśli odpowiada, nie jest źle, pewnie już zapomniał o tym biciu, czeka ją względnie spokojna doba.

– Jak wychodzisz z pokoju, wyłączaj lampkę!

Kiedy go słyszy, robi jej się niedobrze.

– Jasne. Teraz się przecież nie świeci.

Idzie do swojego pokoju pewnym krokiem. Stara się polubić to miejsce, jedyne w domu, w którym może złapać oddech, zdystansować się od niego. Jest tu przytulnie, zadbała o to. Zawiesiła na ścianie ładne obrazki zabrane z Polski, które kiedyś malowała mama, a dzisiaj są jedyną po niej pamiątką. On nie zdaje sobie

sprawy z tego, że to obrazki mamy, bo natychmiast by je zabrał. W pokoju świeci się jej ulubiona czerwona girlanda lampek rozciągnięta nad łóżkiem. A na dole on. Teraz musi się ogarnąć, przygotować do jutrzejszego spektaklu, wszystko musi wyjść perfekcyjnie, Agata nie ma żadnych problemów, a w domu czuje się zadbana.

Doskonale wie, że jest tu taka instytucja jak Barnevernet, że wystarczyłby jeden jej telefon i to wszystko mogłoby się natychmiast skończyć. Ale nie jest pewna tego, co działałoby się dalej. Do kogo by trafiła, co on mógłby zrobić, chcąc się zemścić. Agata wie, że ryzyko jest za duże. Nauczyła się już pokory i cierpliwości. Ciosy stały się częścią codziennego życia. Tak ma być, przynajmniej na razie.

Nie sprząta w pokoju, kładzie się na łóżku i zaczyna czytać elementarz po norwesku. Na początku bardzo jej tu brakowało polskich książek, a on w odruchu jakiejś dobroci załatwił dla niej kilka powieści. Pochłonęła je od razu. Po norwesku składa sobie słowa i zdania. Czuje się, jakby znowu była w pierwszej klasie, i tak też jest traktowana. Pani w szkole bardzo chwali jej postępy w nauce języka. Agata odnosi wrażenie, jakby wraz z kolejnymi etapami oswojenia norweskiego, wchłaniała w siebie coraz więcej jego agresji. Dziś będzie już miała spokój. Próbuje rozmasować bolące plecy. Na głowie znowu coś ją piecze. Jutro ktoś może zauważyć, że ma jakąś zmianę skórną pod włosami. Bardzo dobrze, niech się denerwuje, niech się spoci i będzie zły.

Tyle że potem ona za to wszystko dostanie. Chciałaby zasnąć po męczącym czytaniu dwóch stron, ale nie może. Wyłącza czerwone światełka, rozkoszuje się ciszą. To namiastka poczucia bezpieczeństwa. W jej oczach pojawiają się łzy. Czuje się zdana tylko na siebie i na to, ile jeszcze cierpienia będzie mogła znieść. Kiedy wraca pamięcią do wieczoru, który zmienił całe jej życie, łez jest coraz więcej. Agata szuka pod poduszką chusteczki, wydmuchuje nos, ma być cicho i nie przeszkadzać, szloch musi zdławić w sobie. Obejmuje się ramionami, jakby była obejmowana przez mamę przed zaśnięciem, wyłącza światło i tonie w mroku, który tu, w północnej Norwegii, nigdy się nie kończy.

Agata ma siedemnaście lat i cała jest odwagą. Zaczęło się lato, właśnie skończyła szkołę, wyleguje się leniwie w miejskim parku w towarzystwie Nilsa i Sanny, najbliższych jej norweskich przyjaciół i jedyńych ludzi, których dopuściła do siebie w taki sposób, by znali przynajmniej część jej życia. Nigdy nie chcieli się do niego wdzierać, byli bardzo taktowni i to właśnie ją do nich przekonało. Nie żałowała wyboru przyjaciół.

– Wyjeżdżam stąd. – Nils nonszalancko przesuwając żdźbłem trawy po odsłoniętych i bladych plecach Sanny. – Mam dość tego zadupia. Chciałbym żyć intensywniej, daleko stąd. Zrobić coś niezwykłego. Zaskoczyć siebie.

– Mnie jest tu dobrze. – Sanna mruży oczy, zapomniała wziąć okulary przeciwsłoneczne, tak rzadko się je tutaj używa przez pół roku i tak niezbędne są przez kolejne pół. – Kiedy będę już na studiach, zamieszkać sama. O niczym innym nie marzę. Ale nie wyjechałabym nigdzie na stałe. Podróżujemy sporo z rodzicami i zawsze wracamy tu z radością.

Agata milczy. Ona nigdzie nie podróżuje. Nie wie też, czy chce tu zostać czy wyjechać na studia gdzieś dalej. Utkwiła w matni. Jakby nie była w stanie zrobić niczego, tylko wciąż na nowo narażać się na jego gniew, patrzeć w te przepiękne nienawiścią oczy, sama wrastać w nienawiść. Dlatego lato jest dla niej udręką, bo w trakcie roku szkolnego można przynajmniej na te kilka godzin wyjść do szkoły i poudawać, że żyje się normalnie.

– Dobrze się czujesz? – Nils przygląda jej się uważnie zza swoich okularów, nie widać jego wzroku, ale Agata wie, że kryje się tam troska.

– Po prostu znowu nie mam planów na lato – odpowiada i wpatruje się w rowerzystę, który właśnie ich mija.

– Jedź z nami pod namiot, wbijamy na Lofoty, będzie super. – Entuzjazm Nilsa jest zaraźliwy, ale Agata sceptycznie podchodzi do jego propozycji.

– On mi nie pozwoli. Na bank. Poza tym nie mam namiotu.

– Będziesz spać ze mną. – Nils się uśmiecha. – Ale tak serio, to mam drugi namiot, chętnie ci pożyczę. Jedź z nami, proszę.

Milczą przez chwilę. Słońce oświetla ich twarze, a oni poddają się tej pieśczoście, na którą czekali długie miesiące. Agata wie, że w towarzystwie Nilsa będzie się czuła bardzo dobrze, ale nie ma pojęcia, jak jej opiekun zareaguje.

– Czy on...? – zaczyna niepewnie Sanna. – No wiesz, dalej masz z nim problemy?

– On jest jednym wielkim problemem – odpowiada Agata, poprawia okulary słoneczne na nosie i spuszcza wzrok. – Chciałabym, żeby zniknął.

– Ty zniknij! – Nils ożywia się z powodu nowej myśli. – Wyjedź stąd, dasz sobie wszędzie radę, on cię nawet nie będzie szukał. Nie znam bardziej samodzielnej osoby niż ty.

Agatę cieszy wsparcie chłopaka, ale zdaje sobie sprawę z tego, że mówi on bzdury. Naprawdę nie ma pojęcia, w jak skomplikowanej sytuacji ona znajduje się od lat i że nie będzie jej łatwo cokolwiek zmienić.

– Muszę jeszcze chwilę poczekać do pełnoletności. Z pewnością stąd wyjadę. Będę chciała złapać oddech w innym miejscu. Tromsø to dla mnie mentalna klatka.

Sanna i Nils nie za bardzo rozumieją, o co Agacie chodzi. Nie od dziś wie, że ucząc się norweskiego i dokładając w myślach polskie słowa, które z różnych powodów sobie zapamiętała, a potem konstruując wypowiedzi, wyraża się w sposób zbyt skomplikowany dla Norwegów. Oni, zwłaszcza ci z północy, lubią prostotę, jasny przekaz. Mentalna klatka staje się dla jej przyjaciół zagadką. Wyjaśniając, o co chodzi, Agata z uśmiechem przypomina sobie, że w jednej z rozmów z nią i z nim nauczycielka nie rozumiała, co znaczy „infantylny”. Czasami ten język wydawał jej się tak bardzo ubogi, choć pamięta, z jakim trudem się go uczyła. I wie, że tak naprawdę ubogi nie jest, bo Norwegowie stosują czasem ładne metafory.

– Opowiedz trochę o swojej polskiej rodzinie. – Nils stawia ją przed wyzwaniem, któremu może nie podołać. Dlaczego pyta o to właśnie teraz?

– Co wam opowiedzieć? Wszystko już słyszeliście.

– Nie wszystko – odpowiada Sanna, przekręca się na trawie, by leżeć bliżej Agaty. – Opowiedz, gdzie polscy rodzice zabierali cię w lecie.

Agata próbuje przypomnieć sobie obrazy letniej rodzinnej sielanki. Bardzo lubiła wyprawy z rodzicami i do końca z nich nie rezygnowała, choć już w piątej klasie koleżanki proponowały jej coś podobnego jak przed chwilą Nils, szalone dni z rówieśnikami na obozie, letni luz i czas bez rodziców.

– Często jeździliśmy nad mazurskie jeziora – zaczyna opowiadać. – Tam nie było tak pięknie jak tutaj, ale uwielbiałam wodę, kochałam się kąpać, było wtedy gorąco i tylko w jeziorze dało się wytrzymać.

– Tu w niektórych miejscach w lecie to można morsować – zaśmiewa się Sanna.

– Tak, woda bywa lodowata. – Agata drapie się po nosie. Okulary znowu się zsunęły, ale dają jej pewne poczucie bezpieczeństwa, nie chce patrzeć na przyjaciół wprost, nie w tym szalonym letnim słońcu. – Tam mogłam w niej siedzieć przez cały dzień. To był taki czas, że rodzice często brali się w mojej obecności za ręce, całowali się, bardzo mi się to podobało, bo na co dzień chowali się ze wszystkimi swoimi uczuciami. Mnie jakoś mocno tego brakowało, poczucia szczęścia u boku szczęśliwych rodziców.

– Ale przecież byli szczęśliwi razem, nie? – pyta Nils.

– Tak, bardzo. Miałam najwspanialszych rodziców na świecie. – Oczy Agaty zaczynają się szklić, potrząsa głową, odrzuca od siebie sentymentalne wspomnienia. – Mama miała artystyczną duszę. Kiedyś malowała, ale przestała. Tato był trochę inny, pragmatyczny. Na Mazurach uczył mnie pływać i sam o mała nie utonął, bo trafiliśmy w jakieś zdradliwe miejsce. Pamiętam, że mu pomagałam, był przestraszony jak mały chłopiec. Nie wiem, kto kogo wtedy uczył. Ale to naprawdę dobre wspomnienie, choć przecież straszne.

Jakiś głośny ptak siada na drzewie nieopodal i rozbija ciszę, w której siedzą. Ale nie przeszkadza im to. Miejsce jest opustoszałe jak na tę porę roku. Mają

wrażenie, że cały park jest dla nich. Cieszące ich słońce zaczyna jednak doskwierać swoją intensywnością.

– Bardzo szanuję moich starych, jednak nie chciałbym z nimi nigdzie jeździć. – Nils podnosi się, bierze butelkę wody, pije kilka łyków. – Wy z Sanną może macie inaczej. Może to dziewczyny bardziej lubią rodzinne podróże. Wybrałem się z matką i ojczymem tylko raz. Gorąca Italia i szaleństwa w temperaturach, które mnie wykańczały. Rodzicom to odpowiadało, ja się nudziłem. Chyba wolimy się na dystans.

– Dystans to Agacie jest potrzebny wiesz do kogo – kwituje Sanna, zastanawiając się nad tym, czy jej więź z rodzicami jest wystarczająco silna.

– Pogadam z nim. – Agata patrzy wprost przed siebie. – Wybiorę się z wami na te Lofoty.

Nils klaszcze w dłonie i siada po turecku. Trochę ma z tym problem z powodu lekkiej nadwagi. Gdy zrzuci te kilogramy, będzie kiedyś bardzo przystojny. Agata myśli, że to dość rzadkie wśród norweskich nastolatków, aby mieć nieco zbędnego ciała.

– Zajebiecie! Oderwiesz się od wszystkiego. On też będzie szczęśliwy, że się ciebie pozbędzie, zobaczysz.

Świadomość tego, że podjęła decyzję o wakacyjnej wyprawie bez porozumienia się z nim, dodaje Agacie pewności siebie. Wie, że dzisiaj będzie odważna, nie będzie prosić, po prostu mu zakomunikuje, co ma w planach. Ponieważ robi się coraz chłodniej, przyjaciele postanawiają wrócić do domów. Sanna się waha, czy również wziąć udział w wyprawie, ale jej rodzice zaplanowali wakacje inaczej.

Gdy przychodzi do domu i ściąga sandały, by poczuć przyjemny chłód podłogi, on przygotowuje w kuchni jakiś posiłek i rozmawia przez telefon. Wszędzie śmierdzi przypalonym ryżem. Agata staje w progu kuchni i chwilę go obserwuje. Kiedy orientuje się, że nie jest sam, błyskawicznie kończy rozmowę telefoniczną, a jego uśmiechnięte usta znowu przypominają dwie wąskie kreski, które pasują do

wszystkiego, co mówi i robi w jej obecności. Od niedawna nosi szkła kontaktowe i Agata z niesmakiem rejestruje, że bez okularów jest nawet przystojny.

– Robię ryż smażony z warzywami. Takie żarcie, którego nie lubisz. Zatem zjesz ze mną.

Agata opuszcza bezradnie ręce wokół ciała. Jednocześnie lekko zaciska obie pięści.

– Nie będzie nic innego do jedzenia? – Wyparowuje z niej cała stanowczość, z jaką weszła do mieszkania przed chwilą. Jest naprawdę głodna, ale nie będzie uległa.

– Zjesz to, co przygotowałem. Idź umyj ręce.

Agata ma w dupie. Idzie do łazienki, puszcza wodę i siada na drewnianym koszu. Nie będzie myć rąk i nie będzie jeść tego gówna, którym już kilka razy ją karmił i po którym wymiotowała. Pomijając to, że nie umie dobrze przyprawić niczego, co gotuje. Zawsze przesadza z solą. Agata przestaje być odwagą, jednak zdaje sobie sprawę z tego, że musi nią być, by zakomunikować mu plany na wakacje. Ma w pamięci uderzenia sprzed kilku dni, gdy pozwoliła sobie na stwierdzenie, że lato będzie spędzała z przyjaciółmi, a nie siedziała z nim w domu. W ostatnich dniach szkoły nie ograniczał się i nie przejmował. Raz dostała po plecach cienkim kablem, drugim razem uderzył ją w twarz pięścią. Z zaskoczenia. Już nie musiał się schylać, było mu wygodniej bić, kiedy Agata była już prawie jego wzrostu.

Nad talerzami na kuchennym stole unoszą się dwie smugi pary. On je swoją porcję i rozkazuje jej gestem, by siadła naprzeciwko niego. Agata przestaje odczuwać głód. Wręcz przeciwnie, ma ochotę zwymiotować mu na ten stół.

– Siadaj i jedz – ordynuje on, mlaszcząc i przeżuwając swoją porcję. Wygląda obrzydliwie. Zawsze tak wygląda, ale dziś jest wyjątkowo odstręczający. Żre jak świnia.

– Nie chcę. – To brzmi najpierw jak szept, ale powtórzony nabiera głośności. – Nie chcę tego jeść.

On przelżyka to, co ma w ustach i bierze szklanke. Upija łyk wody, a następnie ciska naczyniem w ścianę za Agatą. Nie robi to na niej wrażenia. Nie takimi rzeczami tu rzucał. Nawet się nie uchyliła. Mokra plama szpeci kuchenną ścianę. Jak wiele koszmarnych sytuacji stało się tu dla niej normą?

– Jak to zjesz, wszystko posprzątasz. – mówi on bez cienia agresji, jakby mimochodem, powraca do przeżuwania, bardzo mu smakuje.

– Pójdę do siebie. – Agata stara się wstać i odsunąć krzesło. Wówczas on podnosi się z miejsca, jest szybszy niż ona, dopada do niej w ciągu sekundy z resztkami sosu na brodzie. Zanim Agata zdąży się zorientować, chwyta ją z tyłu głowy i mocno wciska twarz w porcję jedzenia.

Agata traci dech i czuje oparzenie na twarzy. On stoi nad nią i uśmiecha się jak drapieżca.

– Naprawdę dobre, czujesz już? Spróbuj!

To o jedno słowo za dużo. O jedno słowo za dużo dzisiaj i chyba od zawsze. Agata gwałtownie wstaje, krzesło się przewraca, odsuwa go od siebie i zanim zdąży zareagować, idzie do kuchennego blatu, otwiera szufladę, błyskawicznie wyciąga lśniące ostrze, kierując nóż w jego stronę. Mocno trzyma za czarny trzonek. Ręka jest pewna tego, co robi.

Nie jest zaskoczony. Jakby spodziewał się wszystkiego, łącznie z takim zagranieniem. Ale uśmiecha się, patrzy na nią z politowaniem, nadal jest pewien swojej przewagi. Nim zdąży się odsunąć, Agata dopada go i przystawia mu ostrze do gardła. Wtedy on traci rezon i usiłuje tylko wybełkotać:

– Odłóż to... Odłóż to na miejsce.

Agata naprawdę jest odwagą. Ale też zdaje sobie sprawę z tego, że robi teraz coś, co na zawsze zmieni w tym domu układ sił. Że po tym wszystkim będzie już inaczej. Że teraz może sporo wygrać albo wszystko stracić. Czas nabiera intensywności. Ona rośnie w siłę. Ostrze noża lśni przy jego drżącej szyi.

Dociska je, czując pulsujący w niej strach. Ale wie, że tym razem to on boi się bardziej. Nie docenił jej. Nie zna siły jej nienawiści.

– Jeszcze raz, skurwielu, do czegoś mnie zmusisz, to cię zarżnę – cedzi przez zęby powoli, aby usłyszał każde słowo.

Jest napięty jak struna. Przestaje drżeć. Nagle wygląda zupełnie inaczej. Ona widzi, że on też ma słabości. Że stoi przed nią mężczyzna, który może się przez chwilę bać tak samo, jak ona boi się jego. Patrzy na nią z mieszaniną ciekawości, ale i przerażenia. Nie dociera do niego, że w tym momencie dotychczasowy porządek się rozpada, że role się odwracają, że nie ma już jego rozkazów i jej uległości.

– Odłóż ten nóż... – szepcze złowrogo. Cały czas myśli, że wciąż ma kontrolę nad sytuacją.

– Powiedzieć to, kurwa, jeszcze raz po polsku, żebyś lepiej zrozumiał? – Agata nie spodziewa się, że umie na niego krzyknąć. Jednak umie.

– I podnieś na mnie jeszcze kiedykolwiek rękę, to nie tylko cię zarżnę, ale i wypatroszę, pierdolony psycholu! – Po polsku przekleństwa brzmią bardzo dosadnie. On musi wiedzieć, że Agata nie żartuje. Nie może w to uwierzyć, ale widzi w jego oczach strach. On naprawdę boi się o własną dupę.

Dyszają sobie w twarze przez kolejną minutę. Z jej brody odklejają się ziarenka ryżu, spadając po chwili na jego stopę.

On chce, żeby się uspokoiła. Ona walczy z wielką chęcią naciśnięcia ostrza, wbicia mu noża w gardło. Trwają tak w bezruchu jak rzeźby. Nie wiadomo, kto pierwszy się uspokaja. Agata odstępuje. On odsuwa się tyłem, stoi od niej w odległości kilku kroków, trzyma się za gardło.

– Spróbuj jeszcze raz i nie żyjesz. – Agata mówi to spokojnie, już jest zdystansowana, chowa nóż za siebie, wycofuje się z pomieszczenia. Resztki obrzydliwego ryżu nadal tkwią na jej twarzy. Kiedy on siada przy stole, głośno oddychając z ulgą i patrząc na nią z niedowierzaniem, Agata wraca do norweskiego i z całą pewnością siebie mówi:

– I jeszcze jedno. Wyjeżdżam pod namioty. Każdy dzień, w którym nie będę oglądać twojej pieprzonej gęby, będzie dla mnie cenny.

Agata ma dwadzieścia lat i cała jest euforią. Nareszcie Oslo. Z dala od niego i tamtego życia. Początek czegoś nowego i obiecującego. Nigdy jeszcze nie czuła się tak wolna i gotowa do tego, żeby tę wolność wykorzystać. Wiedziała, że dostanie się na architekturę, ale wie również, że po studiach chce się zająć tylko architekturą wnętrz. Odkąd wydosłała się z jego domu, pozbawionego szyku i stylu, domu pełnego przemocy i dni oraz nocy, kiedy się od niej wręcz dusiła, chciała żyć w mieszkaniach odważnych i jednocześnie subtelnie urządzonych. Dlatego na początek wynajęła kawalerkę, w której miała tylko średnio wygodny materac, metalowy stolik ze szklanym blatem i wyposażenie kuchni. Łazienka pozostawiała wiele do życzenia. Agata chce nadać temu miejscu swój charakter, ma na to całe studia, podpisała umowę na kilka lat.

Nie sądziła, że pozwoli jej wyjechać. Że w końcu urwie się z jego smyczy. Że on odpuści. Po tamtej akcji z nożem był już bardzo ostrożny. Trzymał się na dystans. Nie prowokował. Zionął nienawiścią inaczej niż przez lata i być może dlatego, że po prostu nie mógł bić, stał się dla niej jeszcze większym wrogiem. Była czujna i gotowa na ciosy inne, niż do tej pory otrzymywała. A po pewnym czasie opuściła gardę, bo on wszedł w fazę obojętności i tolerowania jej w swoim domu. Tkwili zatem obok siebie, starając się za często na siebie nie spoglądać. Nigdy potem nie rozstała się z nożem, nosiła mniejszy nawet w torebce. On doskonale wiedział, że sprowokowana może uderzyć. Kiedy osiągnęła pełnoletność, starał się po prostu schodzić jej z drogi. Wiedział, że jako osoba dorosła może wiele rzeczy zgłosić. Że jego świat fałszywej harmonii i spokoju oferowany innym ludziom może się zamienić w więzienną celę. Puścił ją zatem w świat. Oboje odetchnęli z ulgą.

Teraz Agata poprawia na uszach czerwoną czapkę, którą sobie kupiła kilka dni temu, i drepcze przy rzeźbie tygrysa obok dworca. Myśli chwilę o Sannie i Nilsie. Jakże inaczej ułożyło się życie w porównaniu z tym, co wtedy deklarowali w parku. Nils zaraz po skończeniu osiemnastki zaliczył wpadkę, jego dziewczyna

koniecznie chciała ślubu i potem oboje utknęli w nieprzyjemnej relacji, w dodatku z dzieciakiem, którego Nils chyba nie umiał pokochać. I wcale nie schudł. Tak czy owak, wrósł w prowincję, z której chciał się wydostać. Tymczasem Sanna ruszyła za Agatą na studencki podbój Oslo, jednak ich ścieżki rozdzieliły się zaledwie dwa miesiące po tym, jak obie euforycznie witały nowy etap życia. Co innego je kręciło w tym mieście i każda miała odmienny pomysł na siebie. Ale nie zerwały kontaktu, wdzięczność dla Sanny za te lata wsparcia była bardzo duża.

Sanna chciała wieść życie przewidywalne i oczywiste, a Agata zakładała, że zanurzy się trochę w dekadentckim klimacie norweskiej stolicy i przez jakiś czas będzie złą kobietą. A teraz marznie, czekając na spotkanie z mężczyzną, z którym umówiła się wczoraj na czacie. Marnuje się tam dużo czasu na różnego rodzaju konfabulacje, ale w końcu chyba dotarła do kogoś, kto nie udaje. Klikali przez ponad godzinę, potem przesłali sobie fotki. Agata bardzo się podnieciła. Wybrała faceta kuszącego ją swoim pięknym spojrzeniem. Zdjęcie było prawdopodobnie wyretuszowane. Sporo sfer życia w Oslo tak wygląda.

Agata nie jest grzeczną dziewczynką. Odkąd nosi przy sobie nóż, uznaje się za wojowniczkę. Tutaj też towarzyszy jej to przyzwyczajenie. Tym razem w torebce znalazł swoje miejsce mały scyzoryk. Na wypadek, gdyby zaplanowane spotkanie erotyczne miało jakiś inny finał. Tu spotyka się sporo świrów. Oslo to miejsce, w którym tacy jak ten, od którego uciekła, mogą się doskonale odnaleźć.

Mija kwadrans od umówionej pory spotkania. Kochanek się nie pojawia. Agata jest przekonana o tym, że obserwował ją z oddalenia i zapewne coś mu nie zagrało. Czerwona czapka? Nie sądzi. Czeka jeszcze dziesięć minut, nie będzie z siebie dłużej robić idiotki.

Jej życie w norweskiej stolicy stało się trudne do zdefiniowania. Wreszcie miejsce bez niego, bez strachu o kolejny cios, miejsce bezpieczne i takie, w którym można decydować o sobie. Z drugiej strony miasto gorzkich rozczarowań. Takich jak to, którego właśnie doświadcza. A może to bardziej upokorzenie. Agata nie jest przyzwyczajona do tego, że ktoś ją wystawia do wiatru.

Ma ochotę usiąść w kawiarence internetowej w budynku dworca głównego, wejść na jakiś erotyczny czat i na szybko znaleźć innego mężczyznę. Jednak stwierdza, że to bez sensu. Tego się nie załatwi w kilka minut. Poza tym nie chce, by ktoś zaglądał jej przez ramię i czytał, co pisze do obcych kolesi jak jakaś desperatka na seksualnym głodzie. Musi się pogodzić z porażką. Komuś nie spodobała się z daleka i sobie poszedł.

Agata idzie w kierunku gmachu opery i ostatecznie porzuca pomysł internetowego flirtowania. Myśli o tym, czy naprawdę jest gotowa na jakąkolwiek relację z mężczyzną. Czy jej domowy potwór spowodował, że wszystkich będzie traktować jak tego z czatu. A przecież się okazało, że to ona nie została wybrana. Zaakceptowana. Wpada we frustrację, bo ma wrażenie, że to jej wolne życie w Norwegii będzie trochę przypominać aktualną sytuację. Że będzie czegoś w mężczyźnie pragnąć, a on jej tego nie da. Ucieknie na jej widok. Że została naznaczona na zawsze przez przemoc i nigdy nie stworzy żadnej sensownej relacji. A już na pewno nie z facetem, który będzie jej przypominał dzieciństwo i młodość.

Miasto sennie szumi w swoim rytmie. Agata czuje się niedopasowana, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że ma możliwości. Coś może się nie udać – jak dzisiejszy planowany seks bez zobowiązań – ale coś można stworzyć.

Agata ma dwadzieścia pięć lat i cała jest przerażeniem. Zgodziła się pojechać do Warszawy i dopiąć planowany projekt dwóch mieszkań przede wszystkim dlatego, że jako początkującej asystentce nie wypadało jej odmówić, ale głównie z powodu tego, że to była chyba jedyna i niepowtarzalna okazja, by pójść na cmentarz. Zobaczyć miejsce, którego nie widziała od czasu pogrzebu. Wtedy też nie za bardzo je zapamiętała, bo tonęła we łzach, ale teraz była na to gotowa. Kameralnie i smutno – tak wyglądało jej przywitanie się z tymi, których grobem zajęła się rodzina taty. W zamian za to ktoś z rodziny mamy wziął ją na północ Norwegii. Woląla znaleźć się z nimi pod ziemią, niż wieść życie, które musiała wziąć na swoje barki. A teraz mogła być blisko przy nich, szeptać o swojej tęsknocie,

opowiadać o doświadczanym bólu i ostatecznie się pożegnać, bo pewnie więcej do nich nie przyleci. Będą zawsze w jej sercu, a nie na zdjęciach na marmurowym pomniku. Zawsze będzie pamiętać, że w życiu najpierw doświadczyła miłości, dopiero później wielkiej przemocy.

Teraz poci się ze stresu na lotnisku. Czeka ją droga powrotna. Dwa loty samolotem, którego nienawidzi. Przeczytała gdzieś, że lęk przed lataniem dopada przede wszystkim ludzi o bardzo silnej tendencji do kontroli tego, co się wokół nich dzieje. Przez lata życia z nim pod jednym dachem nauczyła się perfekcyjnie kontrolować swoje emocje. Panować nad własnym ciałem, które czasem było obolałe i odmawiało posłuszeństwa. Ale Agata brała się w garść po każdym trudnym incydencie. Zaciskała zęby i witała się z następnym dniem, cały czas gotowa na kolejne ciosy. Wszystko było pod kontrolą, tak aby nikt nie poznał mrocznej prawdy. Jednak chodziło głównie o to, by przetrwać. Agata wyobrażała sobie jakieś inne, alternatywne życie. Mieszkanie z kimś, kto się o nią troszczy i pozwala jej przeżyć żałobę. Z kimś, kto umożliwi jej odwiedzanie rodziców na cmentarzu.

Odrywa się na chwilę od wspomnień, bo nadaje bagaż rejestrowany, a za chwilę ma przejść przez bramki kontroli bezpieczeństwa. Ścisza paszport w spoczonej dłoni. To zawsze dla niej upokarzające doświadczenie. Zwłaszcza po tym, jak kiedyś musiała dać się obmacać, bo coś zabrzęczało. Mężczyzna w mundurze zachowywał się tak, jakby sprawiało mu to jakąś obleśną przyjemność. Nie rozumie, dlaczego na niektórych lotniskach kobieta nie ma prawa być przeszukana przez drugą kobietę, bo na zmianie stoi tylko mężczyzna. Chwilę więc tkwi w niepokoju. Stara się sprawnie i z podniesionym czołem przejść przez bramkę. Dzisiaj nic nie brzęczy i Agata może ruszyć dalej. Pakuje swój laptop i resztę rzeczy, które musiała rozbebeszyć. Ma ponad godzinę do odlotu.

Zdziwiła się, że biuro jej szefa podejmuje jakąś współpracę za granicą. Okazało się, że miała zająć się projektem Polaków od dawna mieszkających na północy Norwegii, ale posiadających dwa mieszkania pod wynajem w Warszawie. Agata nigdy nie mogłaby mieszkać w tym mieście. Nie tylko z powodu tego, jakie

więzały się z nim wspomnienia. Także dlatego, że odnajdywała się w ciszy i kameralności, które oferowało Tromsø, a których nigdy, przez lata studiów nie mogła odnaleźć w Oslo. Tym bardziej w głośnej i męczącej ją polskiej stolicy.

Wróciła zatem z tytułem magistra tam, dokąd miała nigdy nie wracać. Ale okazało się, że tamtejsza rzeczywistość rysuje się w innych barwach. On zniknął. Mogła żyć samodzielnie. Chwilę zajęło jej podjęcie ostatecznej decyzji, lecz stwierdziła, że w innej części Norwegii nic na nią nie czeka. A tam, za kołem podbiegunowym, mogła odczarować wszystkie traumy. I rozumiała, że w dziwny sposób przywiązała się do tego miasta. Bez względu na to, jakim koszmarem było życie tam przez te wszystkie lata, Agata wiedziała, gdzie jest jej miejsce na ziemi. I chyba mogła zacząć wszystko od początku.

Rozgląda się dookoła. Ludzie zdają się nie przejmować tym, że za chwilę wejdą do latających puszek, w których stracą jakąkolwiek kontrolę nad swoim życiem, bo zdani będą na pilotów. Wyobraża sobie pasażerów postawionych w jakiejś ekstremalnej sytuacji. Co mogą myśleć, świadomi, że na przykład lecą wprost na jakąś górę. Albo spadają. Co mogłoby się wtedy dziać na pokładzie.

Agata odrzuca te fantazje i wraca do rzeczywistości. Popija drobnymi łyżkami wodę, którą kupiła tutaj w norweskiej cenie. Próbuje wtopić się w otoczenie, usiąść na jednym z foteli. Wokół każdy zajmuje się sobą. Rozmowy, niektórzy śpią, inni utkwili wzrok w laptopach albo czegoś słuchają z zamkniętymi oczami. Tak, zamknąć oczy i się ogarnąć. Zajmuje miejsce z dala od kogokolwiek. Bierze kilka głębokich oddechów i znowu pije wodę. To tylko dwie godziny, nic się nie wydarzy, za chwilę będzie odbierać walizkę na lotnisku w Oslo.

Wraca myślami do czasu, w którym przybyła do Tromsø po kilku latach nieobecności. W domu pozostały tylko meble i kurz unoszący się w mdłym powietrzu. Zostawił jej kartkę z informacją, że może mieszkać jeszcze trzy miesiące, bo miejsce zostało wystawione na sprzedaż, on wyjeżdża i liczy na to, że nigdy się już nie zobaczą. Była tak tym wszystkim zaskoczona, że przez cały dzień leżała na sofie, słuchając głośno muzyki, zjadając lody i nie wierząc w to, co zastała. Spokój i to miejsce bez jego obecności. Wiedziała, że nie będzie dłużej

mieszkać w domu, w którym każda ściana pamiętała wszystkie jego okrucieństwa i jej bezradność. Wyniosła się stamtąd kilka tygodni później. Dzwoniła do jego zakładu pracy, by zapytać, czy zostawił może jakiś kontakt i z ulgą przyjęła do wiadomości, że nie. Rozwiązał umowę, nie informując, dokąd się wybiera i co zamierza robić. Świat bez niego wydał się nagle ogromną i fascynującą przestrzenią do oswojenia. Przynajmniej tam, w Tromsø, bo studia w Oslo pokazały jej, że ten świat może być piękny, pełen wolności i oferować wiele do wyboru. Mimo wszystko gorzkie doświadczenia z nieudanej próby umówienia się na seks zostały potem zastąpione przez wiele przyjemnych doznań.

Rozpoczyna się boarding. Agata zawsze ustawia się na końcu kolejki. Chce jak najkrócej przebywać w samolocie, choć ryzykuje, że zawałą jej górną półkę i nie będzie miała gdzie schować bagażu podręcznego. Dziś nic takiego się nie dzieje, lot nie jest obłożony. Widzi kilka wolnych miejsc. Jedno jest między nią a jakimś facetem, który wpatruje się w okno. Teraz tylko przetrwać start i potem odliczać minuty. Siadając w fotelu i zapinając pas, Agata czuje, że żołądek podchodzi jej do gardła. Znowu te idiotyczne katastroficzne fantazje w jej głowie. Poprawia na sobie niezbyt fortunnie dobrany do makijażu kostium. Tylko to jej pozostało z czystych ciuchów przed wylotem. Zakłada na oczy opaskę i czeka na to, co musi za chwilę przeżyć.

Początek podróży jest znośny, choć Agata drży na całym ciele. Dopiero gdy turbulencje dają przez chwilę o sobie znać, przestaje stwarzać pozory opanowanej, zdziera opaskę z oczu i stara się rozejrzeć wokół. Jest naprawdę przerażona.

– Przepraszam, dobrze się pani czuje? – Mężczyzna siedzący przy oknie przechyla się do niej z troską malującą się na twarzy.

– Tak, wszystko w porządku. – mówi. – A właściwie nie. Po prostu boję się latać. Trudno mi się uspokoić.

– Latanie to świetna rzecz – przekonuje z uśmiechem. Podoba jej się kształt jego ust, kiedy poruszają się, gdy wypowiada kolejne słowa. – Jesteśmy w najbezpieczniejszym środku lokomocji. Nic nam się tutaj nie przydarzy.

– Tak, ma pan rację. – Agata stuka się w głowę. – Tylko o, tutaj, nie jestem w stanie tego zaakceptować.

– Naprawdę nic się nie dzieje. Możemy porozmawiać, jeśli to pani pomoże. Jestem Michał, bardzo mi miło.

Jego dłoń jest ciepła, bardzo miękka, mało męska, Agata nie jest pewna, czy podoba się jej ten dotyk. Chciałaby go jednak dłużej potrzymać za rękę.

– Jasne, możemy porozmawiać. Albo może lepiej będzie, jeśli ja pana posłucham. Agata Snissen, bardzo mi miło.

Dopiero po chwili łapie się na tym, że przedstawiła się formalnie, jak w pracy, łącznie z nazwiskiem. Nazwiskiem, które musiała nosić, bo on tak sobie zażyczył. I z którym później nic nie zrobiła. Nie pozbyła się go, tak jak nie była w stanie pozbyć się choćby części bolesnych wspomnień.

– To może przejdźmy na ty? – Michał stara się być uprzejmy i delikatny. Podoba jej się jego takt. Jest bardzo przystojnym facetem. Ma świetną sylwetkę. Jego oczy iskrzą radością, najwidoczniej to latanie naprawdę sprawia mu wielką frajdę.

– Oczywiście, przejdźmy – odpowiada Agata. – A znasz norweski? Nie przepadam za mówieniem po polsku.

– Jeśli tylko sobie tego życzysz, możemy rozmawiać po norwesku – mówi płynnie i zaskakuje ją tym bardzo. Nie dziwi go ani jej prośba, ani awersja do polszczyzny. Po prostu się dostosowuje.

Chwilę milczą. Samolot monotonnie buczy, a w przejściu pojawia się stewardesa z wózkiem, na którym znajdują się wszystkie obrzydliwości tego świata wciskane pasażerom za bardzo grubą kasę. Michał zamawia wodę i kanapkę, namawia ją na wzięcie kawy. Napój jej nie smakuje, a kiedy mu to komunikuje, na jego twarzy znów pojawia się ten radosny uśmiech. Musi być od niej młodszy. Wygląda w ogóle bardzo młodo. Agata zastanawia się, jak ją postrzega. Pewnie jak jakąś starą bizneswomen.

– Nikt z mojej rodziny nigdy nie leciał samolotem. – Michał szybko przełyka swoją kanapkę, by być gotowym do rozmowy. – Ja pozwalałem sobie latać nawet na krótkie odcinki po Polsce, zawsze to uwielbiałem.

– Mamy już pierwszą rzecz, która nas dzieli – odpowiada Agata, z obrzydzeniem przełykając resztki kawy. – Znajdźmy coś, co nas łączy. Po co lecisz do Oslo?

– Studiowałem tam. Potem musiałem skończyć studia w Polsce i wracam do Norwegii. Chcę tam zamieszkać na stałe.

– Doskonały wybór – mówi Agata. – Nie widziałam za dużo świata, ale Norwegia to na pewno jeden z najpiękniejszych jego zakątków.

– Masz inny akcent – zauważa Michał i dopiero po chwili orientuje się, że to, co powiedział, może być niestosowne. – Ludzie w stolicy tak nie mówią.

Agata lekko się czerwieni, jakby została przyłapana na czymś wstydlwym. On nie tylko dobrze mówi po norwesku. On go zna na poziomie native'a. Według niej to godne podziwu.

– Mieszkam w Tromsø – odpowiada. – Wiesz, brama północy, zadupie za kołem podbiegunowym, białe noce, zorze polarne, te sprawy.

Michał jest pod wrażeniem. Jakby to jej zasługą, jakimś osiągnięciem było to, gdzie została zesłana przed laty. Kolejne minuty lotu mijają w przyjemnej atmosferze. Ścisk w żołądku maleje, Agata naprawdę się relaksuje. A Michał zmienia język na polski, opowiada o swojej rodzinie, o studiach w Krakowie, poszukiwaniach sensu życia i o tym, jaka Norwegia jest wspaniała.

– Co sądzisz o Oslo? – pyta, widząc, że ona nieco odpływa myślami, bo średnio ją interesuje historia jego rodziny. Stara się tego oczywiście nie okazywać, ale on jest baczny obserwatorem.

– Miasto wszystkiego i niczego. Nowoczesne, trochę bez duszy. – Te słowa Agata powtarzała bardzo często, między innymi na imprezach studenckich. – Staralam się je odkryć, ale nie do końca potrafiłam. Może nie miałam dobrego przewodnika. Ale to naprawdę świetne miejsce. Bardzo wygodne. Wszyscy są

sobą. Uwielbiam, jednak nie mogłabym tam chyba zamieszkać na stałe. Jednak jest dla mnie za głośne.

– Ja lubię w Oslo to, że daje dużo możliwości. – Michał drapie się po brodzie, ma lekki zarost, wygląda to bardzo przyjemnie. – I zróżnicowanie. Możesz być w centrum metropolii, za chwilę w gęstym lesie, a za moment możesz na przykład popłynąć na Bygdøy i odkryć jeszcze coś innego.

– Tak. Miasto dla wszystkich. – Agata rozumie entuzjazm Michała i ma nadzieję, że jego życie w norweskiej stolicy się ułoży. Naprawdę mu tego życzy.

Pilot zapowiada lądowanie. Agata znowu się spina, nic nie może z tym zrobić, to silniejsze od niej. Michał dotyka jej dłoni, głaszcze ją, ponownie uspokaja. Agata nadal trzyma duży dystans do mężczyzn i rzadko pozwala na takie gesty, ale nie chce odsunąć swojej ręki. Teraz pragnie tylko bezpiecznie wylądować. Choć poza wszystkim jego dotyk jest coraz bardziej nęcący.

Nie jest pewna, czy ma to być tylko tymczasowa znajomość samolotowa, czy jednak wymienić się z Michałem numerami telefonów. Jest w nim coś, co ją przyciąga. Poza wyglądem. Jakieś opanowanie, ale niekoniecznie związane z tym na pokładzie samolotu. To po prostu miły facet. I mogłaby się związać z takim mężczyzną. Miłym, uczynnym i potrafiącym uspokoić w trudnej sytuacji. O ile kiedykolwiek dopuści blisko kogokolwiek.

Tymczasem Michał jest prawie jak chłopiec. Leci do Oslo z głową pełną marzeń. Wydaje się naiwny, jednak zdecydowany na rewolucyjną zmianę życiową. Agata decyduje się na to, czego może potem żałować. Wymieniają się kontaktami. Przyjeżdża po nią przyjaciółka ze studiów, która za chwilę wyjeżdża w szaloną podróż dookoła świata, będzie jej o tym opowiadać całą drogę, Agata szybko się żegna z Michałem. Dopiero później, jadąc w kierunku Oslo, uświadamia sobie, jak głupio się zachowała, nie proponując mu podwózki. Z drugiej strony to auto kogoś innego, nie wypadało. Jadą więc we dwie prosto w słońce i przyjemny dzień. Przyjaciółka cały czas nawija. Agatę trochę boli głowa, musi odpocząć, bo jutro czeka ją kolejny lot.

Agata ma dwadzieścia sześć lat i cała jest próżnością. Przy Michale czuje się jak księżniczka, jest dla niego doskonała i cokolwiek by nie powiedziała czy nie zrobiła, on zachwyca się absolutnie wszystkim. To trochę jak w bajce, ale bajki czytała jej mama dawno temu i Agata nie wierzy w żadne piękne historie. Choć stara się uwierzyć Michałowi. Tak łatwo odczytywać jego emocje. Praktycznie wszystko wyraża jego twarz, a kiedy Agata ma pewne wątpliwości, za chwilę orientuje się, że nic w nim nie siedzi jakoś głębiej, nic nie jest zagadką ani wyzwaniem. Podoba jej się to, choć wie, że z czasem może ją znudzić. Nadal nie jest pewna, czy szuka do wspólnego życia właśnie takiego mężczyzny, ale ma wrażenie, że ten jest najlepszy, bardziej uległego nie znajdzie. I nie wie, dlaczego poszukuje pantoflarza. Na pewno kogoś takiego chce? Michał ma zadatki na to, by być przyszłym mężem, który będzie taki, jakim ona zechce go widzieć. Jednocześnie ujmuje ją ta jego wieczna troska o nią. Oczekiwania, że będzie mógł jej pomagać, wspierać ją. A jej nic nie może pomóc. Nic nie zmieni tego, kim jest, jaka się stała. Czy nie jest trochę tak, że po tym, co przeżyła, chciałaby być w pobliżu mężczyzny opiekuna, a nie oprawcy? Ale opiekun też powinien mieć jaja. A Michał jest jakiś taki niewyraźny, rozmyty w swej męskości.

Sporo rozmawiają online, Agata przekonuje się do pisania maili, stara się nie relacjonować swoich dni, skupiać na opisie tego, czego być może nie umie mu powiedzieć wprost. Jest wdzięczna losowi za Michała, lecz nie ma pewności, czy on sam jest świadom, w którym kierunku podąża. Czasem ma wrażenie, że mógłby być taki dla jakiegokolwiek kobiety, która dałaby mu kredyt zaufania. Że po prostu padło na nią przypadkiem. Bęc.

Tymczasem próżność Agaty wynika również z tego, że w zasadzie nigdy się nie postarała o dobry związek, a tutaj wystarczy facet z samolotu i wszystko toczy się w dobrym kierunku – poczucia bezpieczeństwa, o które Agata latami walczyła – ale również w kierunku rzeczywistej bliskości z drugim człowiekiem, na jaką nigdy nie była się w stanie zdobyć.

Przylatuje do Oslo na święto narodowe. Jej celem jest w zasadzie domknięcie projektu mieszkania Jany, która ma się z nią rozliczyć i podziękować, a Agata chce zobaczyć swoje dzieło na własne oczy, wirtualne projektowanie nie było nigdy jej domeną, tylko raz zdecydowała się na robienie takich rzeczy na odległość, teraz chce się przekonać, jak wyszło. A skoro Oslo, to również Michał. Czas skończyć inny wirtualny projekt, pisanie do niego maili, umawianie się na pogaduszki na odległość. Agatę zaczęło to po pewnym czasie męczyć, choć wyczuła, że dla niego taki rodzaj komunikacji jest bezpieczny. Wciąż był nieśmiały, bał się bezpośredniego kontaktu. Postanowiła zrobić pierwszy krok, bo już na lata mogliby utkwąć przed komputerami, nazywając to wszystkim związkiem na odległość. Agata nie wierzy w takie bzdury, wierzy za to w czas dobrej zabawy w stolicy, więc zmierza tam radośnie, starając się nie myśleć o swoich lękach w powietrzu.

– Jesteś. – Gdy widzą się pierwszy raz od tak dawna, w ustach Michała jego miłość zamyka się w jednym czasowniku. Bo ona już wtedy wie, że to miłość, co jest z jednej strony urocze, a z drugiej przerażające.

– Cześć, wspaniały – odpowiada ze śmiechem, naprawdę miło go widzieć, uściskać, jest taki mięciutki. Wie, że niedługo będzie mogła dotknąć jego skóry pod ubraniem. Wszystkiego.

– Byłaś dzielna w samolocie? – pyta Michał, uśmiechając się zawadiacko.

– Zawsze jestem dzielna, jeśli mam coś dla ciebie zrobić albo do ciebie dotrzeć.

Siedemnasty maja w Oslo jest zupełnie innym dniem. Mnóstwo ludzi na ulicach, gwar, trudno im znaleźć dla siebie miejsce, ale cieszą się tą wspólną radością, stają jej częścią. Miasto buzuje od emocji tych, którzy na co dzień doskonale je ukrywają na ulicach. Oslo jest radością, a Agata chce ją współtworzyć.

Wieczorem dobrze się bawią. Nienasyceni sobą i spragnieni niezobowiązującej przyjemności. Michał zabiera ją do miejsc, których nie znała. Ich przewodnikiem jest niejaki Marcin, przyjaciel Michała z Polski, facet niebywale czujny i uważny. Nie podoba jej się. Otwarty i pozornie nonszalancki, ale skoncentrowany na niej

w pewien nieprzyjemny sposób. Agata rozpoznaje ukrytego przeciwnika. Nie czuje się komfortowo przy Marcinie.

– Wiesz, że Michał to bardzo delikatny facet? – pyta ją, spoglądając tymi swoimi mrocznymi oczami zza drinka, gdy jej chłopak opuszcza ich na chwilę, aby pójść do toalety. Muzyka jest nieco za głośna, trudno się komunikować.

– Masz do niego specjalną instrukcję obsługi? – odpowiada zadziornie; Michał chyba szybko nie wróci, jest kolejka.

– Mówię serio. Martwię się o niego, bo bardzo się zaangażował w to, żeby być z tobą. No wiesz, wirtualnie. Od tygodni nie słyszałem niczego poza twoim imieniem. I różnymi historiami. A dziś mam wrażenie, jakbyście... No trochę odklejeni od siebie byli.

– Co masz na myśli? – Agata czuje, że nie jest w stanie się wyluzować, mimo tego, że pije alkohol. – I o jakich różnych historiach mówisz?

Marcin drapie się po głowie, odstawia szklanekę na bar, przy którym czekają na Michała. Świdruje ją wzrokiem i to wcale nie jest przyjazne spojrzenie.

– Powiem krótko, laska. Wydaje mi się, że zadzieras nosa. Że trzymasz go pod pachą, a nie za rękę jak partnerka. Nie martw się, nie znam żadnych prywatnych opowieści o waszej... hm, znajomości. Ale teraz ją widzę i jakoś średnio mi się to podoba.

– Cieszę się, że jesteś taki szczery i dbasz o przyjaciela, ale naprawdę niewiele mnie obchodzi, co sobie myślisz. – Agata puszcza do niego oko i siada na hokerze. Bola ją nogi i ma trochę dość hałasu. – Nie zachowuj się jak honorowy obrońca. Lepiej sam sobie kogoś znajdź, żeby nie robić za trzeciego na imprezach.

Marcina nic nie peszy. Bawi się swoim szkłem. Nie wie, czy go przestraszyła, czy tylko rozbawiła. Ruchem ręki daje znać wysokiemu brodaczkowi za barem i zamawia kolejnego drinka.

– Śmieszna jesteś, wiesz? To mój lokal, jestem współwłaścicielem, a tam, gdzie byliśmy wcześniej i jeszcze mi się podobało twoje towarzystwo, rządzi moja

dziewczyna. Jestem z wami, bo się martwię o Michała, chciałem poobserwować. Nie doskwiera mi samotność, którą zabijam, dołączając się do par.

– Och, ale jednak czujna przyzwoitka nam się trafiła. – Agata śmieje się głośno.
– Może rób sobie jeszcze notatki, a potem z Michałem przeanalizujecie, czy jego laska jest godna tego, aby naprawdę nią być.

A potem rysy jej twarzy tężeją, Agata najeża się tak samo, jak robiła to na północy, gdy trzeba było trzymać gardę, po czym patrzy na Marcina przenikliwie, pochyla się w jego kierunku i syczy mu do ucha:

– Zajmij się swoim życiem, koleś, i spierdalaj, resztę wieczoru spędzę ze swoim chłopakiem.

Marcin odsuwa się od niej, jakby go opluła. Kiedy Michał wraca, Agata mocno chwyta go za łokieć i komunikuje, że zmieniają lokal. Michał próbuje złapać spojrzenie Marcina, ale ten macha tylko ręką, mówiąc:

– Idźcie, mam tu parę spraw do załatwienia. Wiesz, coś nagle wypadło. Bawcie się dobrze.

Agata nie zaszczyca go już spojrzeniem. Wychodzą w noc. Tańczą jeszcze w innym lokalu i Agata czuje, jak próżność wzbiera w niej coraz mocniej. Wie, że to preludium do tego, by wreszcie poznali swoje ciała. I wie, że nago może nie uniknąć kilku pytań. W końcu Michał zamawia taksówkę, powietrze jest gorące i duszne, to naprawdę ciepły maj, oboje są gotowi na najważniejszą część tego wieczoru.

Wiedziała, że tak będzie, i wstydzi się swojego ciała. Michał wodzi wzrokiem, a potem palcem po jej bliznach. W jego spojrzeniu pojawiają się nieme pytania. Wie, że od nich nie ucieknie. Ta blizna na udzie to oficjalnie ślad po tym, jak szła do swojego pokoju. Wpadła na stojące w kącie krzesło. Jakiś jego ostry element uszkodził jej ciało. Kiepskie zmyślenie, ale na nic innego się nie zdobywa. Michał jest dyskretny, zostawia to. Stara się ją przekonać, że jej ciało jest czymś najpiękniejszym, co kiedykolwiek miał przed sobą. Ich czułości pod prysznicem także łechcą próżność Agaty. A jego ciało pręży się przed nią i mocno ją podnieca.

Nie wie, dlaczego to robi. I nie ma pojęcia, dlaczego chwilę przed tym nie może się powstrzymać. Nie chce mu robić krzywdy, a jednak to się dzieje. Ugryzienie jest mocne, ucho Michała zaczyna krwawić. Czuje, że w jednej chwili całe jego ciało staje się sztywne. Chyba przesadziła. Nie wie, jak z tego wybrnąć.

A jednak się udało, choć on do końca ich miłosnego zbliżenia jest dość napięty, czyżby gotowy na kolejny taki incydent? Agata oddycha pełną piersią w jego przestronnym mieszkaniu, do którego dostaje się świeże powietrze przez otwarte nad nimi okno. Chciała go tylko spróbować. Zrobić coś innego. Ustalić własne zasady. Wie, że popełniła błąd. Stara się bagatelizować tę nieprzyjemną chwilę, bo on cały czas daje do zrozumienia, że trzeba to przegadać. Nie trzeba.

Agata ma ochotę napić się jeszcze wina i zasnąć z jego zapachem na skórze. On wtula się w nią jak ufny dzieciak, kiedy już zrozumie, że nic więcej mu nie grozi. Znowu wszystko jest w porządku. Agata zasypia dopiero wówczas, gdy zarejestruje jego wyrównany oddech. Zmienia nieco pozycję na wygodniejszą, ale nie wydostaje się z jego ramion. Jej mężczyzna. Piękny, dobry i oddany. Trzeba dać tej okoliczności szansę. Agata zasypia z przekonaniem, że czeka ją spokojne życie u boku Michała.

Kolejny niepokój pojawi się między nimi później. Tymczasem cieszą się sobą i ciepłym majem. Kiedy Michał tego nie widzi, Agata pakuje do walizki jego T-shirt. Chce zabrać na północ jego zapach. Ale chce też pamiętać, że go zdobyła.

Agata ma dwadzieścia siedem lat i cała jest wątpliwością. Ma wrażenie, że jego przyjazd tutaj jest ostatecznym testem, czy będzie gotowa się na niego zdecydować, ale wszystko toczy się zupełnie nieprzewidywalnie, teraz Agata chciałaby zostać sama, izoluje się od niego, ucieka, musi przemyśleć wszystko, czego ostatnio doświadczyła. Lepiej jej być osobną w mroku. On zdaje się odległy. A jednak jest tuż obok niej, czuje nawet bicie jego serca. Chciałaby, żeby się zatrzymało, tak jak dla niej zatrzymał się czas.

Początek jego pobytu na północy jest idylliczny. Michał jest zachwycony Tromsø, choć w środku zimy nie była w stanie pokazać mu wszystkiego, co jest tutaj godne zobaczenia. Standardowa wycieczka na wzgórze po drugiej stronie wyspy i krótki wykład o tym, jak to jest z tą nocą polarną i czy rzeczywiście przez cały czas panuje wtedy mrok. Agata obserwuje jego reakcje na wszystko, z czym się tu spotyka. Chce mieć wewnętrzną pewność, że przyjedzie w te strony, akceptując ich specyfikę, nie tylko dla niej. Kilka zim na północy Norwegii i szybko się zorientuje, że podjął wyzwanie, wybierając te okolice tylko ze względu na nią. Tu trzeba żyć inaczej, czuć przynależność do miejsca, w które albo się wrasta, albo ma się duże problemy. Bo Tromsø nie rozpieszca. Gdy bawili się w ciepłym Oslo, tu wciąż sypał majowy śnieg. Gęsty i zdeterminowany, aby zatrzymać zimę jak najdłużej. Tak tu jest. Niczego nie można oczekiwać i planować, należy się bezwzględnie poddać rytmowi natury. Ma wrażenie, że Michał to rozumie. Jest na razie gościem, ale zaczyna pojmować, że pozostanie tutaj będzie dla niego z różnych powodów trudne.

Koncentrują się na zorzy polarnej, bo to jej czas, specjalnie ściągnęła go tu właśnie teraz. Wiedziała, że będzie to coś, co spowoduje, że on przestanie w kółko myśleć o tym, czy ona czuje się przy nim dobrze. Kiedy Michał zaczyna przesadzać z dopytywaniem o to, jak się przy nim czuje, oglądanie zorzy jest świetnym sposobem ucieczki od tego, co w nim irytujące. Agata wpada na pomysł, że odwiedzą razem jej przyjaciół w Alcie, to będzie okazja do zobaczenia cudu natury i spotkania się z chłopakami, z którymi dawno się nie widziała.

Rozochocony tym, co już zobaczył, Michał chce dużo więcej i teraz już ciągle patrzy w niebo, nawet w dzień, jest w tej ekscytacji taki dziecinny, naprawdę się tutaj odnalazł. Nie wydaje jej się, że to zwykły zachwyt turysty, on może tu pasować. Agata bukuje zatem bilety na stronie Widerøe i już niebawem są razem w powietrzu. Ten lot nie jest stresujący, Agata obserwuje podekscytowanie Michała i to, jak nie nadąża z robieniem zdjęć tego całego zimowego majestatu, który rozpościera się pod nimi. Wciąż nie wie, czy nie należało dać im jeszcze trochę czasu w oddaleniu. Intymność z Oslo została z nią na dłużej i było to dobre, gdy

towarzyszyło jej jako wspomnienie, naprawdę długo się zastanawiała, czy to dobry pomysł, by on znalazł się tu, na północy, przy niej i przy wszystkich jej wątpliwościach.

Czas spędzony z Bjornem i Tonim jest jak zawsze wspaniały, Agata jest szczęśliwa, gotowa na spotkanie z zorzą w towarzystwie przewodników, przestaje się napinać, jest cała dla Michała. Piękna noc, piękne widowisko, to może być naprawdę jeden z ich lepszych wspólnych momentów. Nie spodziewa się tego, co przyniesie końcówka wieczoru. Nie ma pojęcia, jakie wspomnienia do niej powrócą i że będzie to jedna z sytuacji granicznych, po których nic już nie jest takie samo.

Agata ma trzydzieści lat i cała jest irytacją. Ten dzień mógłby się już skończyć, ale ma dalszy ciąg zaplanowany przez jej szefa. Wieczorem mają się spotkać w teatrze, Agata bardzo chce obejrzeć inscenizację „Nory” Ibsena, która miała tu premierę kilka dni temu, jednak chciałyby pójść na nią sama. A jej pracodawca będzie tam razem z nią po dniu, w którym naprawdę wolałyby go już nie widzieć.

Najpierw musiała szybko nanieść poprawki do projektu, który w jej mniemaniu był gotowy i idealny. Nie znosi pracować pod presją czasu. Klienci dwukrotnie akceptowali wszystkie detale i Agata była przekonana, że zrobiła najlepszą robotę od miesiący. Nagle zmienili zdanie i okazało się, że perfekcyjnie przygotowany plan ma jednak wady. Musiała poświęcić kilka godzin. Później się dowiedziała, że jedno z ciekawszych zleceń na parterowy dom na obrzeżach miasta zostało przez szefa przekazane komuś innemu. Jest poirytowana tym, że decyzje zapadają od pewnego czasu jakby w ostatniej chwili, a ona dowiaduje się na końcu. Ma wrażenie, że już nie jest tą doskonałą pracownicą, którą zawsze chciała być. Bardzo źle znosi krytykę, a każda sytuacja, w której musi poprawiać jakieś błędy, jest dla niej małą traumą, którą chowa w sobie, w świecie tych dużych i obezwładniających traum.

W dodatku wraca w myślach do decyzji, którą podjęła i która na zawsze zdefiniowała jej związek z Michałem. Nie może uwierzyć w to, że tak niewiele zrobiono z tym, co się wydarzyło. Że ta mała społeczność nie zareagowała tak, jak powinna zareagować. Agata przeglądała Internet, dzwoniła do Bjorna, dopytywała się o różne rzeczy, wciąż mentalnie tkwiła w Alcie, nie wróciła stamtąd do domu przez wiele dni, choć jej ciało się przemieściło, była gdzie indziej, naprawdę mogła zapomnieć. Jak on. Dowiedziała się jednak wszystkiego o tamtym zdarzeniu. Wiedziała, że będzie je chciała jakoś zrekompensować i na pewno to zrobi. Tymczasem tkwiła u boku mężczyzny, który nad tym wszystkim przeszedł wówczas do porządku dziennego. A ona zdała sobie sprawę z tego, że wchodzi w związek, w który nigdy nie powinna wejść. Jednak weszła, miała swoje powody. Dziś w narastającym napięciu przypomina jej się wciąż tamta bezradność. I gniew, który musiała stłumić.

Ale jest codzienność, do której szybko wraca, otrząsając się ze wspomnień. To ewidentnie nie jest dobry tydzień w pracy. Wychodzi na ulicę. Samochód długo nie chce odpalić. Irytacja Agaty narasta. W końcu samochód rusza i Agata jedzie do domu. Czasami lubi spacerować, tu wszędzie jest blisko, ale dziś wolałaby nie spotykać nikogo po drodze. Trzy skrzyżowania i jest na miejscu. Coraz bardziej zdenerwowana, nieprzyjemna nawet dla samej siebie. Spóźniona o dwie godziny na obiad, na który umówiła się z mężem, w końcu otwiera drzwi do mieszkania, ale czuje jeszcze większe napięcie niż w biurze, jest najeżona, Michał denerwuje ją samym swym istnieniem. Jakby nagle zorientowała się, że w tym lokum mieszka jakiś obcy mężczyzna. Bo przecież po Alcie jest obcy, prawda?

Dostaje czułego buziaka na powitanie, choć wije się w jego ramionach i stara jak najszybciej dotrzeć do łazienki. Znowu nie opuścił po sobie deski klozetowej, co zawsze ją irytuje i nigdy mu tego nie mówi wprost. Głośno oddaje mocz, nie krępuje ją to, że on wszystko słyszy. Z kuchni dochodzi ładny zapach, Michał chyba odgrzewa jej obiad.

– Jak tam w pracy? – pyta, mieszając coś w garnku, a ona siada przy stole, jest zmęczona i zrezygnowana, nie chce jej się z nim rozmawiać. Dawno nie była w tak

podłym nastroju, wszystkiego jest za dużo, wszystko dzieje się za szybko, tu się przecież w taki sposób nie funkcjonuje.

– Mógłbyś dzisiaj zmienić zestaw pytań? – odpowiada, wpatrując się w telefon. Palce coraz mocniej zaciska na urządzeniu. Czuje, że buzuje w niej coraz większa złość.

Michał odchodzi na moment od garów, klęka przy niej. W tym nieco brudnym fartuchu kuchennym wygląda śmiesznie. Widać troskę na jego twarzy.

– Zły dzień? – dopytuje bez sensu, jakby Agata od momentu wejścia do mieszkania nie manifestowała tego, że gorszego dnia ostatnio nie było.

– Jestem głodna – mówi wymijająco. – Co ugotowałeś?

Za chwilę na stole przed nią ląduje talerz z parującym spaghetti. Agata odkłada telefon i zabiera się za posiłek, faktycznie jest głodna, od porannych tostów niczego nie jadła, a to danie zapowiada się smakowicie. Już przy pierwszym kęsie orientuje się, że Michał je przesolił. Tymczasem siedzi obok niej i uśmiecha się tak, jakby sprezentował jej najlepszą potrawę pod słońcem. Agata marszczy brwi. Wciąga nosem wyborny aromat, ale ta sól, wszystko spieprzył, nawet obiadu nie może przygotować porządnie.

– Słuchaj, muszę iść dzisiaj z tobą do tego teatru? – Michał sprawia wrażenie dzieciaka, który za wszelką cenę chce coś ugrać, łaszac się do rodzica. – Mam trochę roboty i wiesz... Muszę popisać.

– Ciągłe piesz – odpowiada Agata, kolejna porcja makaronu rośnie jej w ustach, ma ochotę go wypluć. Na talerz albo w twarz Michała. – Dobrze ci zrobi, jak wyjdiesz gdzieś z żoną. A ten obiad jest niezbyt dobry.

Michał wie, że będzie musiał z nią iść. Patrzy z troską na talerz. Potem przygląda się jej. Jest smutny. Jego oczy wyrażają wielkie rozczarowanie. Jakby nie mógł raz na zawsze zapamiętać, że ona nie lubi przesolonego.

– Nie dogotowałem? Sos niedobry?

Agata milczy. Wie, że nie zje tego do końca.

– Sos w porządku.

– To co jest nie tak?

Zapada chwila ciszy. Agata zdecydowała, odstawia talerz, wstaje i idzie do lodówki, chwyta parówkę, zje ją na zimno.

– Wszystko jest nie tak – mówi niemal szeptem, ale on bardzo dobrze słyszy. – Dzień jest nie tak. Ty jesteś nie tak. Wpadła ci tam do gara cholerna solniczka czy co?

Michał szybko mruga. Patrzy na nią i jest mu wstyd. Zabiera ze stołu jej talerz, energicznym ruchem wyrzuca jego zawartość do kosza na odpady organiczne. Nie wie, co jeszcze może zrobić.

– Przepraszam. Mogę ci ugotować coś innego.

– Nie ma czasu na gotowanie. – Agata pochłania jedną parówkę, wyciąga drugą, zagryza, mlaszcze. – I dlaczego ty za wszystko tak przepraszasz z miną zbitego psa?

Michał wstaje, podchodzi do niej, chce ją objąć.

– Nie dotykaj mnie. – Nie wie już, ile razy od dnia ślubu wypowiadała w jego kierunku te trzy słowa i jak rzadko cokolwiek do niego docierało, kiedy po chwili znowu się zbliżał, gotowy się przytulać, gotowy zapomnieć o każdej przykrości, tak jak zapomniał o tym, co wydarzyło się przed laty w Alcie.

Za oknem słycać pisk. Jakieś auto mocno zahamowało. Agata podchodzi, by zobaczyć, co się stało, dzieciak wbiegł pod koła samochodu, na szczęście kierowca wykazał się refleksem, nic się nie wydarzyło. Zamyka okno, bo on znowu wietrzył cały dzień i w mieszkaniu jest dla niej za zimno. Przełyka ostatni kęs parówki, popija wodą z kranu, omija męża, który odłożył sobie porcję makaronu i teraz szoruje garnek, w którym gotował danie. Jest trochę naburmuszony. Jej śmiesznie ostentacyjny Miki. Też chce pokazać, że jest wzburzony. Agata ignoruje to, co widzi.

– Muszę poleżeć. Sama – podkreśla. – Za godzinę trzeba się szykować. Idź sobie teraz trochę popracuj.

Powietrze staje się duszne, choć przecież jest przewietrzone. Agacie robi się niedobrze. Nie sprawdziła terminu przydatności do spożycia tych parówek. Już kiedyś zatrula się zepsutym kefirem. Pół nocy rzygała.

Godzina skraca się do trzech kwadransów. Słuchać dźwięki telewizora z salonu. No przecież miał tyle pracy! Chwilowo nie dociera do niej, że Michał pracuje w sypialni i ona zajęła mu miejsce. Chciałaby pobycć chwilę w absolutnej ciszy. Odgłosy dochodzące z drugiego pomieszczenia ją denerwują, ale stara się je ignorować. Prawie zasypia, leży na wznak i zastanawia się nad tym, w co się ubrać. Naprawdę dręczy ją to wyjście. Chce wyglądać elegancko, ale też mieć na sobie coś wygodnego. Jednak wygodne są stroje, które jej mąż nazywa „niewyjściowymi”. Znalazł się znawca mody, co ciągle siedzi w domu.

Michał wyłącza telewizor i nieśmiało zagląda do ich sypialni. Siada przy niej, dotyka jej dłoni, delikatnie wodzi po niej palcem, zakreśla koło, lubi się czasem tak bawić. Ta jego miękka dłoń, taka niemęska, przecież zauważyła to już wtedy w samolocie i nie spodobało się jej, a teraz znosi jego dotyk na skórze, choć ma wrażenie, jakby Michał dotykał ją rozżarzonym prętem.

– Już ci lepiej? – pyta głupio.

Agata nie odpowiada. Podnosi się, otwiera drzwi szafy, wybiera odpowiednią sukienkę, musi iść do łazienki się odświeżyć. Potem szybka kawa, jej nastrój się poprawia, choć denerwuje ją, że Michał tak za nią drecze, może jeszcze ją ubierze przed wyjściem z domu? Przy okazji orientuje się, że znowu otworzył okno w salonie, przez które wpada wkurzający ją chłód. Ostentacyjnie je zatrząskuje.

Kolejne minuty uciekają niepostrzeżenie, a napięcie między nią i Michałem rośnie. Agata jest dziś naprawdę wyjątkowo poirytowana. Ma już na sobie kreację, przegląda się w lustrze. Włączyła ogrzewanie podłogowe, trochę żeby zrobić Michałowi na złość. On podchodzi do niej od tyłu, wpatruje się w jej odbicie.

– Włóż tę koszulę, którą kupiłam ci w zeszłym tygodniu. – Agata stara się być miła, przed nimi długi wieczór, nie chce wejść na kolejny poziom napięcia, od którego się nie wyzwoli.

– Chyba mi nie będzie pasować do marynarki.

Pioruny w oczach Agaty pojawiają się tylko na chwilę.

– Jakoś ci się podobała, gdy ją wkładałeś po zakupie. Masz dwie marynarki. Weź tę drugą. Idź już, proszę.

Michał pojawia się po dziesięciu minutach. Agata nie wierzy w to, co widzi. Stoi przed nią w innej koszuli. Wybrał co innego. Usiłuje nie okazać irytacji. Drżą jej nogi i nie może się skupić na makijażu. Nie wie, co zrobić, ale ostatecznie się decyduje. Trzyma jego policzek i mocno zaciska palce. Chce, żeby słyszał wyraźnie każde słowo.

– Weź tę, którą kazałam ci włożyć. Natychmiast.

Ściska za mocno. Boli go. Agata nie może znieść tego, że Michał próbuje tego wieczoru robić coś innego, niż ona zaplanowała. On wychodzi bez słowa, trzymając się za twarz. Po chwili wraca ubrany tak, jak sobie życzyła. Na jego policzku rośnie czerwony ślad. Michał ma smutne oczy. Agata wie, że to dla niego tortura, nie znosi stroju galowego, rzadko chodzi w koszulach, dziś dodatkowo wcale nie chce z nią iść do teatru.

Jednak idą. Jest dość ciepły wieczór. Powietrze świeże jak zawsze, można tu oddychać pełną piersią z przekonaniem, że płuca lepiej nie mogły trafić. Zamawiają taksówkę, po kwadransie Agata przedstawia męża swojemu szefowi i jego małżonce. Przyglądają mu się bacznie, ona wie, że oceniają. Nauczyła się już wychwytywać, kiedy Norwegowie są krytyczni, co ich wtedy zdradza, choć zawsze starają się mieć na twarzy tę serdeczność, w której niewiele jest prawdziwych emocji. Teatr rozgrywa się dziś nie tylko na scenie, ale również między ich czworgiem. Agata dostrzega w oddali koleżankę, jest z jakąś drugą kobietą, machają do siebie. Atmosfera staje się coraz bardziej nerwowa, choć każde z nich uśmiecha się do pozostałych.

Tymczasem między sztucznymi uśmiechami szef taksuje jej męża wzrokiem, a ona stara się do Michała przytulić. Szef dziwi się, minęło tak dużo czasu od ich ślubu, ale jej facet jak do tej pory istniał tylko w opowieściach, dopiero dziś się

materializuje, taki przystojny. Agacie dopiero teraz przychodzi na myśl, że historii o Michale nikt nie chciał słuchać, a jej pracodawca chyba najmniej. Trzymając męża za łokieć, zdaje sobie sprawę z tego, że jego myśli muszą krążyć wokół panicznej ucieczki z tego miejsca. Że gdyby tylko go puściła, wybiegłby jak najszybciej. Daje jednak radę, zuch chłopak, spektakl jest bardzo dobry i kiedy wracają w milczeniu do domu, Agata nieszczerze uznaje, że wieczór był bardzo przyjemny. On potwierdza, również kłamiąc. Najważniejsze, że to już za nimi. W łazience zmywa z twarzy wszystko to, co składało się na jej perfekcyjną maskę. Zdejmuje też biżuterię, po cholerę ją dziś zakładała, przecież nie lubi dzwonić czymś jak idiotka. Szybko myje zęby, zostawia po tym ślady w zlewie. Jutro je zmyje. Albo on to robi.

Kładąc się do łóżka z mężem, usiłuje przeprosić za uszczypnięcie. Z drugiej strony wcale go nie żałuje, wkurzył ją, wkładając inną koszulę. Leży do niej plecami, oddycha spokojnie, ale widać, że jest obrażony i jutro rano też będzie, jak zwykle. W milczeniu mija im dziesięć minut. On się nie rusza. Wie, że nie zasnął, słyszał każde jej słowo, ale nie reaguje. Idiotycznie odgrywa tego obrażonego chłopczyka, którym czasem się staje i którego ona tak nie znosi. Ona ma dość tego dnia. Pośród smutnych westchnień Michała Agata układa się w wygodnej pozycji, oddalona od jego ciała, i momentalnie ucieka w sen.

Agata ma trzydzieści dwa lata i cała jest spełnieniem. Nareszcie ma swój dom i może projektować go dla siebie. Dla nich obojga oczywiście, ale Michał jest wycofany. Jego jedyną decyzją, której nie chciała przyklasnąć, ale ostatecznie się zgodziła, było przemalowanie tego domu z brudnej już bieli na czerwień. Wyglądał imponująco, a ona cieszyła się, bo malowanie zaabsorbowało męża na wiele dni, ona mogła się zająć wnętrzem.

Dom kupili wspólnie i skorzystali ze wspólnego konta, choć od dłuższego czasu to jej wpływy były znaczące, a jego ledwie uzupełniały ich budżet. Musiał pomóc kredyt, ale założyli, że szybko go spłacą. Agata miała wrażenie, że Miki źle

się czuje z tym, że zarabia mniej niż ona, lecz z drugiej strony z pewną zazdrością zauważała, iż jego praca „w literkach”, jak to nazywał, daje mu więcej satysfakcji i czuje się w niej chyba bardziej spełniony.

Michał w ogóle od dłuższego czasu trwał w przekonaniu, że wiedzie idealne życie. Jakby tamto w Alcie się nie wydarzyło. Ona wciąż była nerwowa, wciąż stawiała sobie różne cele, czasem za wysokie, a potem odreagowywała frustracje na urloпах, gdy wybrali się raz do Szkocji. Mąż wpisał chyba w projekt swojego doskonałego życia to, że jego żona wcale nie jest doskonała. Niemniej świetnie im się razem podróżowało. Islandia ją zauroczyła, Szkocja nieco mniej. Oboje byli zgodni co do tego, że nigdy nie spędzą wolnego czasu, rozwaleni na jakiejś gorącej plaży na południu Europy. Satysfakcjonowało ich nieśmiałe dwadzieścia dwa stopnie, bo zwykle najwyżej tyle pojawiała się tu na termometrach. A teraz było im bardzo gorąco: jemu od malowania, jej od decydowania o tym, jakie kolory i kształty będą tłem ich dalszego wspólnego życia. Bo przecież ten dom musi oznaczać coś nowego i lepszego.

Agata nigdy nie zastanawiała się nad tym, do czego zmierzają, kim będą za dekadę, czy w ogóle nadal będą razem. Kiedy przestanie uporczywie wracać do zdarzeń, o których on wcale nie myśli, i karać go za coś, czego chyba do końca nie rozumie. Zdradziła mu już trochę ze swojej przeszłości, ale nigdy nie opowiedziała jej całej. Nie przeszłoby jej przez gardło wyznanie, że Tromsø było dla niej kiedyś okrutną klatką. Że można na nowo odrodzić się w miejscu, z którego latami chciało się za wszelką cenę uciec. Dlatego raczej z ciekawości niż rzeczywistego zainteresowania oglądała z nim te domy na wyspach, ceny były zaskakująco niskie, a warunki bardzo dobre. Pomijając oczywiście brak kontaktu ze stałym lądem. Droczyła się z Michałem, że jednak powinni zdecydować się na któryś z tych domków na wyspie, a on brał to wszystko śmiertelnie poważnie. Głupol. Agata nie miała wątpliwości, że płynąc na te kilka wysp i oglądając tam nieruchomości, po prostu tracą czas. Wreszcie znaleźli to, co obojgu się podobało. Niby w centrum miasta, a przecież poza nim. Michał się uspokoił. Zaczęli działać,

bo formalnie było wiele do załatwienia, zanim przenieśli się z jej mieszkania. I teraz mają swój dom, nie może w to uwierzyć.

Gdy ich wspólne miejsce przy Norselvenen jest już pomalowane, a wnętrza wypełniły się zamówionymi przez Agatę meblami, gdy poukładali na jednej z półek wszystkie książki, które Michał przetłumaczył, a które zawsze były dumą ich obojga i obiektem fascynacji Thomasa, leżą na podłodze i piją czerwone wino. Półwytrawne. Takie, jakie lubią najbardziej. Można odnieść wrażenie, że to sielankowy obrazek. Nieco surowe jeszcze wnętrze salonu, zapalone na parapetach świece, przyjemna woń kadzidła, na które czasem się kusili, i oni na miękkim, czarnym dywanie. Agata wie, że będzie na nim widoczny każdy pyłek i że dywan w takim kolorze trzeba często odkurzać, ale nie mogła się mu oprzeć. On tymczasem opiera się o sofę, ona z głową na jego kolanach. Podnosi się od czasu do czasu, by łyknąć wina, odstawia kieliszek obok i wpatruje się w sufit. Już dawno nie było im tak dobrze razem.

– Nie chciałybyś w tym domu kogoś jeszcze? – Jego pytanie zadane jest jakby mimochodem. Najwidoczniej robi wszystko, by zepsuć tę piękną chwilę.

– Co masz na myśli? – pyta Agata, choć doskonale wie, co mu chodzi po głowie.

– To, o czym nigdy nie rozmawiamy. – Jego palce pracują w jej bujnych, czarnych włosach, wśród których pojawiły się już nitki siwizny. Trochę za wcześnie, Agata stara się to ignorować. Nie jest z tych kobiet, które farbują sobie włosy, by ukryć przemijanie. Wszystko widać przecież na twarzach. Na dłoniach. Na szyjach. Palce męża wędrują właśnie po jej szyi, łaskocze ją, to jest przyjemne tylko do pewnego momentu.

– Nie ma mowy, Michał. Żadnych dzieci. – Usztywnia się, on przestaje sprawiać jej przyjemność, jego dłoń opada na jej pierś. Jest zrezygnowany i głośno wzdycha.

– Wiem. Sam ich obok nas nie widzę. Ale ten dom pobudza wyobraźnię. Moglibyśmy być w nim szczęśliwą rodziną.

– Jesteśmy szczęśliwą rodziną. – Agata spina się, podnosi, siada obok niego wyprostowana. – Tak to zaplanowaliśmy i tak będzie. Tylko ty i ja. Nie chcę żadnych ograniczeń. Nie chcę się przywiązywać do nikogo więcej poza tobą. Nie chcę być kobietą zmieniającą pieluchy na zasranym dupsku i budzącą się co dwie godziny, bo dziecko ząbkuje czy dlatego tam jeszcze nie chce spać. Nie chcę przeżywać durnych nastoletnich wzlotów i upadków, tłumaczyć komukolwiek świata. Nie mam ochoty, żeby ktoś wpięprzał nam się do łóżka, bo dręczą go koszmary. Nie, Miki, nic z tych rzeczy.

Wspaniały nastrój chwili właśnie się rozpada. Z każdym kolejnym zdaniem, które ona wypowiada tak stanowczo. Jedna ze świec jakby nagle to zrozumiała i gaśnie. Agata podnosi się, idzie do kuchni, nalewa sobie kolejny kieliszek wina, jemu nie proponuje, siada na fotelu w oddaleniu od niego i mierzy go wzrokiem.

– Dziecko to nie tylko odpowiedzialność. To są też koszty, Michał. Wolę ponownie odwiedzić Islandię i tam stracić kasę niż wydawać na pieluchy, jedzenie, ubrania i cholera wie na co jeszcze.

Michał kiwa głową, ale widzi w nim tę wewnętrzną niezgodę. Wcale nie uważa, że ona ma rację. Uroił sobie w głowie bycie tatusiem. Niemniej ona kontynuuje:

– Kobieta, która decyduje się na dziecko, przestaje mieć plan na siebie, na swoje życie. A ja mam ten plan. Chcę być niezależna. Poza tym... – Uśmiecha się do niego. – Ty jesteś trochę jak dziecko. To mi wystarczy.

– Wiem. Rozumiem. Masz rację. – Mowa jego ciała potwierdza wyraźnie, że wcale się z nią nie zgadza i jest mu przykro. – Ale czasem myślę, jak by to było mieć taką śliczną dziewczynkę, która by się śmiała i zmuszała nas do tego, żeby robić rzeczy, których nie próbowaliśmy.

– Michał, jak masz potrzebę, to idź na plac zabaw i wskocz na huśtawkę. – Agata bierze łyk wina, jest znakomite, dawno nie piła takiego dobrego. – Albo kup sobie wiaderko, grabki, wejdź do piaskownicy, kto ci broni? Jesteśmy w Norwegii, tu nic nikogo nie dziwi.

– Drwiesz sobie. – Michał również wstaje, idzie nalać sobie wina, w przelocie muska ją po włosach. – A ja mówię całkiem poważnie.

– Żadnych dzieci. Koniec tematu. – Agata wychodzi na balkon, gdzie wypali kolejnego dzisiaj papierosa. Znowu wraca do tytoniu, nie podoba jej się to. Michał ją irytuje. Zdaje sobie sprawę z tego, że mrzonka o tej dziewczynce to nie jest jego chwilowy kaprys. Będzie o tym pewnie myślał przez kolejne lata. To dziecko nie istnieje, a mimo tego wedrze się gdzieś między nich. Agata jest przekonana, że tak będzie, i mocno ją to denerwuje. Wie, że prędzej czy później ona mu nie wystarczy.

Każda myśl o dziecku uruchamiała w niej najpierw stan trudnej do opanowania paniki, a później wtrącała ją w gniew, jeśli utrzymywała się w świadomości dłużej, była w złośliwy sposób uporczywa. Ich znajomi mają dzieci, niektórzy nawet trójkę. Za każdym razem Agata odnosi się do tych dzieci z serdecznością i szacunkiem, ale w tym kraju każdy jest serdeczny dla każdego, nikogo też nie interesuje, na ile to jest szczerze, dopóki stanowi niepisaną normę społeczną. Prawda jest taka, że wszyscy ci mali ludzie Agatę irytują i powodują, że przy każdym kolejnym kontakcie z nimi coraz bardziej jest pewna swojej decyzji o pozostaniu tylko z Michałem. Poza tym dziecko byłoby dla niego niewątpliwie satysfakcjonujące, znalazłby w ich związku coś, co dałoby mu wszechogarniające szczęście. A przecież ona już od lat doskonale wie, że nie ma zamiaru pozwolić mu być szczęśliwym.

Tymczasem za jakiś czas spełnia się jako doskonały kochanek, a Agata zapomina o wszystkim, o czym powinni pamiętać. Dopiero gdy leżą na podłodze, nasienie Michała ścieka jej po udzie, a ona z trudem łapie oddech po naprawdę świetnym seksie i wtedy przypomina sobie o tym, że się nie zabezpieczyli. Momentalnie się spina, zrzuca z siebie jego ciało. Michał szybko orientuje się, o co chodzi, nie jest przerażony tak jak ona, raczej ciekawy tego, co Agata teraz zrobi. Chowa się w bezpiecznej przestrzeni łazienki, potem wybiega na balkon, zarzucając na siebie tylko lekki szlafrok, jest za zimno, ale nie przejmuje się tym, wypala chyba trzy papierosy z rzędu. Potem jedzie do apteki i kupuje tabletkę dzień po.

Kolejne dni przepełnione są grozą i przerażającym napięciem między nimi. Problem w zasadzie szybko dało się rozwiązać. Ale to naprawdę nie były żarty. Każdy moment, kiedy Michał był przy niej, potęgował jej furię. Nie chciała go bić. Wina była wspólna. Ale on powinien pamiętać o tej zasranej prezerwatywie, skoro gumy walają się po całym mieszkaniu i Agata ma wrażenie, że jest gotowy zacząć i skończyć z nią wszędzie, za każdym razem doskonale zabezpieczony.

I przychodzi wreszcie ten moment, w którym ona wybucha. On jak zwykle wita ją zestawem standardowych pytań o to, jak minął jej dzień. Agata uderza zupełnie niespodziewanie. Pamięta tylko tyle, że bije tak, jak sama dostawała w skórę przed laty. Furia i siła jej pięści są ogromne, a on przyjmuje wszystkie ciosy, nie usuwa się, próbuje nad nią zapanować.– Błagam, uspokój się. Wzięłaś tabletkę. Nic by się nie wydarzyło. – Michał ledwo stoi na nogach, wciąż dzielnie odpiera ataki jej dłoni, ona uderza go coraz mocniej, jest coraz bardziej zdeterminowana, aby zrobić mu krzywdę. – Uspokój się – powtarza. Ona zdaje się go nie słuchać. Zresztą czy kiedykolwiek słuchała? Wymierza najsilniejszy cios. Wkłada w to całą swoją siłę, a ma jej naprawdę bardzo dużo. Pięść trafia w brzuch, Michał zwija się z bólu. Jego zachowanie powoduje, że Agata jest jeszcze bardziej rozsierdzona. Uderza go po głowie i plecach, chce sprowadzić to ciało do parteru, a potem skopać. Dyszy i nie może w żaden sposób się uspokoić. Umawiali się na coś, prezerwatywy walają się po całym domu, są na wyciągnięcie ręki, a on jej wmawia, że się po prostu zapomniał? Nie. Zwyczajnie postanowił ją zapłodnić, jak jakąś krowę. Wykorzystał to, że mu zaufała. Doskonale wie, że ona nie chce mieć żadnego przekłętego bachora. Wie, że nie byłaby dobrą matką. Nie jest dobra. I nigdy nie będzie. Tym bardziej dla swojego dziecka. Na samo wyobrażenie o czymś takim ją mdli. W końcu opada z sił, upada na kolana, wydaje z siebie odgłosy warczącego psa, ale pięści już nie są zaciśnięte, napięcie mięśni powoli znika, chce już tylko siedzieć i płakać.

A on jest wciąż przy niej. Też opada na kolana. Taki pobity. Jest przerażony, nie dociera do niego, co się dzieje. Nie rozumie nic z tego, co się wydarzyło, ale chce za wszelką cenę odegnać jej furię. Może tylko wsłuchiwać się w jej płacz, bo Agata

szlocha długo, powoli wracając do rzeczywistości, odzyskując kontakt z samą sobą i świadomość tego, jak dotkliwie poturbowała męża.

Po kilku dniach nie wszystko pamięta, nie wszystko chce pamiętać. Pozostawiła na ciele Michała ślady. Jest przerażona, chce je zatuszować. Kupuje maść, wciera mu ją w skórę, on się znowu ufnie tuli, ma nadzieję, że te siniaki szybko znikną. Agata zdaje sobie sprawę z tego, że Michał nie jest dzieckiem, a w ślad za jego ranami nie przybędzie do ich domu opieka społeczna. Jednak może przybyć policja. Michał może stracić cierpliwość i w końcu zgłosić, co mu robi. Ona na jego miejscu pewnie by zgłosiła. Agata analizuje swoją sytuację i jest przekonana, że jednak może spać spokojnie. Nic się nie wydarzy. On nigdy nie odważyłby się zrobić czegokolwiek przeciwko niej. To taka psia miłość. Wierny do grobowej deski.

Tymczasem do ich związku powoli wkracza łagodność, o którą tak dba Michał, jej kochany i posłuszny mąż. Wszystko powoli wraca do normy: codzienność i rutyna, wspólne wieczory albo jakieś wyprawy samochodem za miasto. Jest dokąd jeździć, zaledwie kilkanaście kilometrów w którąkolwiek stronę i są w zaczarowanej krainie. Tak działa magia północnej Norwegii. Zaczynają wspólnie biegać, dotychczas tylko ona to robiła, namawia Michała, biegną wspólnie parę razy po kilka kilometrów. Kiedy on wreszcie zajmuje się tłumaczeniem kolejnej książki, Agata wie, że niebezpieczeństwo zdemaskowania minęło. Wie również, że wystarczy być dla męża miłą i uczynną przez kilka dni, a ślad wszystkiego, co najgorsze, zniknie. I tak się dzieje.

Agata ma trzydzieści cztery lata i cała jest samotnością. Jej życie przypomina dryfowanie na jakiejś zimnej krze, która odbija się i co chwilę uderza o drugą, na której znajduje się Michał. Wrastają w rytm codziennych obowiązków i kilku przyjemności. W ich domu nie ma miłości, choć on jest przekonany, że jest inaczej. Jego uczucie staje się obezwładniające. Agata wie, że jakąkolwiek by mu wyrządziła krzywdę, on zawsze przy niej zostanie. Są od siebie uzależnieni: on od

jej nastrojów, ona od jego przekonania, że przyszłość będzie lepsza, że będą w niej szczęśliwi.

Na razie szukają szczęścia, podróżując po Irlandii. To kolejne miejsce, które wypatrzyli sobie na mapie i uznali, że właśnie tam poczują się doskonale. Tak jest w istocie. Siedem dni to zupełnie inny czas niż ten, który dzielą w Tromsø, Michał jest też innym mężczyzną, badaczem i poszukiwaczem najpiękniejszych miejsc dla nich. Agata uwielbia irlandzkie klify i to, jak wiatr rozwiewa jej włosy, coraz gęściej naznaczone nitkami siwizny. Lubi też irlandzkie piwo, które piją w dużych ilościach. Czas płynie zupełnie inaczej, a ona podczas tej pięknej wycieczki nie ma ani jednego momentu, w którym, tak jak to zwykle bywa, chce wyrzucić mężowi kolejną krzywdę oraz patrzeć, jak cierpi. A potem zapomina i jej przebacza.

Mają jakieś problemy z lotem powrotnym. Zawracają zaraz po starcie. Agata o mało nie mdleje. Michał trzyma ją mocno w ramionach i wciąż powtarza, że wszystko będzie dobrze, to normalna procedura, pewnie się pilotowi jakaś lampka w kokpicie nie włączyła, po prostu muszą wrócić na ziemię. Nie wchodzą na pokład podstawionego potem samolotu. Agata za nic w świecie tego nie robi. Michał jest czułością i bezpieczeństwem. Wszystko rozumie. Wydłużają sobie urlop o dwa dni, żeby Agata nabrała śmiałości. Mogą to zrobić, mają prawie tydzień wolnego w zanadrzu.

Ona nie wie, czy takie zdarzenia zbliżają ją do niego czy tylko dają gwarancję, że na tym człowieku można polegać w skrajnych sytuacjach i to daje jej poczucie, że być może jeszcze będzie inaczej, ona zdoła się do niego naprawdę zbliżyć, być może nawet pożegnać emocje sprzed lat, które przecież wciąż się tlą, wciąż każą być temu małżeństwu skomplikowaną grą, do jakiej ona rok po roku pisze nowe zasady.

Później chorują, bo Michał ganiał za śmieciami na wietrze, oboje czują się fatalnie. Mocne przeziębienie, u niego przechodzi w zapalenie oskrzeli. Dbą o niego i stara się robić dokładnie to, co on w Irlandii. Być dla niego osobą, która zaklina rzeczywistość i gwarantuje, że nie spotka ich nic złego. Uczy się przez powtarzanie. Kiedy Michał gorączkuje, ona leży tuż obok, wyciera mu czoło

z potu, stara się za wszelką cenę dać mu do zrozumienia, że wyjdzie z tej choroby z żoną u boku. On zasypia przy niej jak ufny dzieciak przy swojej matce. Agata nie może tego znieść, ale przytula go, chce mu dać tę przyjemność. Znowu sobie uświadamia, jak miękkie jest jego ciało.

A potem wszystko wraca na utarte koleiny. Mąż jest zdrowy, ona znowu nim zniecierpliwiona, uciekająca od czułości, zdana tylko na siebie i swój rozkład zajęć zawodowych, bierze na siebie dodatkowe obowiązki, woli to niż przebywanie z Michałem. Ten dom nagle wydaje się zbyt ciasny dla nich dwojga. On podczas swojej pracy też czasami zapomina o całym świecie. Na przykład często nie przeszkadzają mu śmieci.

I przychodzi dzień, kiedy zaczynają przeszkadzać Agacie.

– Mógłbyś wyrzucić potem bio? – krzyczy do niego, szybko wkłada buty, jest spóźniona. – Bardzo śmierdzi z kosza. Prosiłam cię już o to.

– Jasne, wyrzucę. – Ledwo go słyszy, bo siedzi na górze i pracuje, znalazł swoje miejsce do wykonywania zleceń, Agata wciąż nie może uwierzyć, że ma sypialnię zawsze dla siebie, pamięta te dni, w które musieli dzielić ją w ciasnym, wynajmowanym mieszkaniu – na jego pracę i jej sen. Teraz sprawnie opuszcza ich dom i idzie w ciepły dzień. Samochód lśni w słońcu, czekając na przejazd na tym krótkim odcinku do pracy Agaty. Ona ma dzisiaj bardzo przyjemny projekt do dopracowania. Wyjątkowo finezyjnie zaprojektowany dom nad fiordem. Zazdrości ludziom, którzy ją zatrudnili, choć sami nie mają pojęcia, jak wkomponować piękno w nieruchomość położoną w naturalnie pięknym otoczeniu. Potem mają z szefem jechać obejrzeć kolejny dom przed remontem. Pewnie dostaną zlecenie na to, by zająć się nim za jakiś czas. Agata koncentruje się na tym, co tak uwielbia. Dzień na pewno będzie udany.

Ale nie jest. Na jej wieczorną agresję wobec Michała składa się kilka czynników. Na początku dnia Agata łamie paznokiec. Potem oblewa się kawą z ekspresu, kilka kropel płynu spada na jej żakiet, próbuje to usunąć, nawet się udaje, lecz irytacja pozostaje. Później stara się dokończyć projekt, jednak coś się dzieje z komputerem i już wie, że nic więcej nie zrobi. Stara się głęboko oddychać

i cały czas myśleć o tym, że nie wolno jej się denerwować na rzeczy, na które nie ma wpływu. Kiedy jadą obejrzeć dom, który niebawem będzie urządzać, Agata jest już furia i powstrzymuje się przed otwarciem ust za każdym razem, kiedy szef o coś dopytuje. Po prostu milczy, zaciska zęby, on dość szybko się orientuje, że coś jest bardzo nie tak. Jednak nie można w ten sposób pracować. Wracają po omówieniu naprawdę niezbędnych detali, bo ona jednak musi od czasu do czasu artykułować zgodę albo sprzeciw. Szef nie jest zadowolony. Agata ma to w dupie.

Albo tak się jej wydaje, bo robi to, co robiła często w stresujących sytuacjach. W prawie całym dorosłym życiu. Kaleczy swoje ciało. Wtedy, kiedy nikt nie widzi. Ukradkiem. Mocno i zdecydowanie. Nie robi tego, odkąd jest z Michałem, ale teraz nie może się powstrzymać. Wyjęty z torebki pilnik do paznokci tnie skórę lewego przedramienia. Tym razem nie będzie śladu, Miki niczego nie zauważy. Agata czuje chwilową ulgę, jednak musi się skupić na krwi. Znow to zrobiła bez przygotowania, w najbliższej publicznej toalecie, teraz zależy jej na zatamowaniu krwawienia, by nie zostawić po sobie śladów. Tymczasem krew kapie na podłogę. Leniwie spływa po przedramieniu, krople są ciężkie, trzeba natychmiast usunąć plamy. To, co jest na skórze, pozostanie zawsze, dobrze wie, jak ją kaleczyć, by mieć pamiątki na stałe. Natomiast to, co robi teraz, to dziecinna igraszka, żadne prawdziwe zadawanie sobie bólu. Najbardziej bolało, kiedy pewnej mrocznej i samotnej nocy nożem cięła prawe udo. Ile to jej dało satysfakcji! Jak lekka się po tym czuła. Spełniona. Wyzuta z wszystkich męczących ją emocji. Ale to było kiedyś, cięła się długo w swojej wannie i z satysfakcją patrzyła na płynącą krew. Ocknęła się dopiero, gdy wanna była cała czerwona. Nauczyła się potem jak najszybciej tamować wszystkie krwawienia. Tymczasem teraz nie ma czasu ani możliwości, by wyrzucić z siebie napięcie, kalecząc się mocniej.

Pod koniec dnia, kiedy już powoli zapomina, co zrobiła swojemu ciału, i tylko lekkie szczypanie przypomina o zadaniu sobie samej bólu, okazuje się, że z przedniej opony jej samochodu zeszło powietrze i Agata musi zadzwonić po pomoc. Nie myśli racjonalnie, zamiast numeru pomocy drogowej wybiera numer Michała. On nie odbiera. To zdarza się bardzo rzadko i zawsze wtedy, kiedy

pracuje nad naprawdę ważnym zleceniem. Lecz naprawdę ważne jest to, co Agatę dzisiaj spotyka, nic innego. Wsiada do miejskiego autobusu, jak zwykle pustego. Dodatkowo denerwuje ją to, że od przystanku będzie musiała się wspinać w górę, a dziś naprawdę nie ma ochoty się męczyć, wszystko się pieprzy, niech ten dzień się wreszcie skończy.

Dzień się nie skończy i ona doskonale o tym wie. Słońce zajdzie na jakiś czas grubo po północy. Może uda im się jeszcze wrócić razem do miasta, Michał zmieni koło i wróćą do domu, przynajmniej wieczór będzie przyjemny. Tymczasem dzieje się co innego. Kiedy Agata przestaje mocować się z drzwiami wejściowymi, bo i one dziś postanowiły być złośliwe, bucha w nią odór z kuchni roznoszący się już po całym domu. A wraz z tym wybuchu utrzymywana w ryzach złość całego dnia.

– Kurwa, prosiłam o coś! – krzyczy w kierunku piętra. Czeką, aż wyżej pojawi się jego dumny łeb.

Michał od razu zjawia się przy schodach u góry. Też dotarł do niego nieprzyjemny zapach. I to, że nie zrobił tego, o co ona rano prosiła. Wygląda jak zawstydzony dzieciak.

– Przepraszam, zaraz wyniosę – próbuje ją uspokoić, powoli idzie po schodach.

– Wyniesiesz? Oczywiście, kurwa, że wyniesiesz! – Podchodzi do worka, wyciąga go z kubła, ostentacyjnie rozrywa i rozrzuca całą tę śmierdzącą zawartość po salonie. Walczy z mdłościami, ale gniew jest silniejszy. Dodatkowo świeżo zadana rana zaczyna coraz mocniej szczypać. Chyba znowu poszła z niej krew. Sprawdzą potem. Robi przerażający bajzel. – Ale skoro ci nie przeszkadza, że tu tak jebie, może sobie to najpierw pozbierasz!

Michał patrzy, jak ona rozrzuca resztki jedzenia, wszystko naprawdę cuchnie, a Agata nie przestaje, dopóki metodycznie nie rozsypie wszystkiego po podłodze.

– Masz, sprzątaj i wynieś! – Patrzy mu w oczy, ale jest jakby za mgłą, cała się trzęsie.

– Proszę, uspokój się. – Michał podchodzi, próbuje wziąć ją w ramiona. Ile razy już wypowiadał te słowa. Pięść trafia w jego twarz precyzyjnie i bardzo boleśnie

w momencie, w którym dotyka bolesnego miejsca po świeżym samookaleczeniu. Nie spodziewając się niczego, nie zdążył się usunąć.

– Nie, nie uspokoję się. – On masuje swoje obolałe miejsce, ona ma ochotę znowu mu przyłożyć. – Masz się tym zająć. Nie będę żyć w chlewie. Wracam za godzinę i ma być, kurwa, posprzątane.

Uspokaja się dopiero, gdy na dole dociera do przystanku. Wiatr chłodzi jej policzki, Agata gotuje się od środka, nie jest w stanie nad swym wzburzeniem panować. Nie wsiada do autobusu, zamawia taksówkę, wie, dokąd chce pojechać.

Agata prosi taksówkarza o zawiezenie do Prestvannet. Tam usiłuje złapać równowagę, wpatrując się długo w taflę jeziora. Chwilę trwa w bezruchu, potem zaczyna szybki i nerwowy spacer. Teraz rozumie tych wszystkich ludzi zasuwających z kijkami, z których czasem się śmiała. Robi dookoła akwenu pieszą rundę, ludzi jest niewielu, naprawdę potrzebuje się ruszać, głęboko oddychać i być sama. Potem ma ochotę na wino. Zamawia je w nieprzyzwoicie wysokiej cenie. Wypija duszkiem, prosi o dolewkę. Barman patrzy na nią z niepokojem przełamanym politowaniem. Później idzie się nażreć do Burger Kinga, w którym była ostatnio jako nastolatka. Atrakcja turystyczna, kurwa, najdalej na północ położona restauracja tej koszarnej sieci. Irytuje ją czas oczekiwania na tacę z posiłkiem, mierzy z nienawiścią wzrokiem kobietę stojącą obok. Jest gruba i brzydka, doskonale pasuje do tego miejsca. Jedzenie jest oczywiście mdłe, ale Agata przełyka wszystko kompulsywnie.

Nie pamięta, co jeszcze robi, ale na pewno nie odbiera telefonów od męża, a kiedy wraca i pieprzona polarna północ świeci jej słońcem prosto w oczy, jest gotowa tylko wziąć prysznic, zwymiotować wszystko, co pochłonęła w Burger Kingu i iść spać z dala od Michała. Posprzątał wszystko, nie został żaden ślad, wywietrzył, schował się w swojej części domu, a Agata marzy już tylko o tym, żeby to wszystko zakończyło się w objęciach spokojnego snu. Zanim się położy, dezynfekuje ranę. Tym razem nie będzie blizny. Nie było też satysfakcji, jaką odczuwała przed laty, kalecząc się naprawdę solidnie.

Wie, że czasami zachowuje się jak nieprzewidywalna wariatka. Wie, że powinna przeprosić, to wszystko wydarzyło się za szybko i nie była w stanie nad sobą panować, przecież można było załatwić to inaczej. Ale te odpadki naprawdę śmierdziały. Oboje wrastają jednak w milczenie, po którym Agata czuje się coraz gorzej, lecz w końcu to on wyciąga dłoń i jest gotów przeproszać za to, że dostał w twarz. Agata nie wie, co jest bardziej paranoiczne – to, jak się wobec niego zachowuje, czy też to, jak on zachowuje się względem niej. Nie ma pojęcia, co tego faceta przy niej trzyma. Przecież nie można kogoś kochać tak rozpaczliwie i bezwarunkowo.

Agata ma czterdzieści lat i cała jest satysfakcją. Postanawia z okazji swoich urodzin sprawić sobie lepszy prezent, niż zaplanował Michał. Nieudolnie skrywał go w szafie, od kilku dni wiedziała, co dostanie. A poza tym miała się odbyć impreza, towarzyskie spotkanie, jakich wiele, wspólnie zrezygnowali z szaleństwa wylotu do jakiegoś ciepłego kraju, gdzie chcieli sprawdzić, jak obojgu będzie niedobrze w słońcu i gorącu. Agata zaplanowała coś gorącego sama. Chciała poczuć, jak to jest mieć na wargach wargi innego mężczyzny, dotykać innego ciała, oddać się przyjemności z kimś przypadkowym, po prostu dać ciału realizować to, na co ma ochotę.

Planuje wszystko ze szczegółami. To ma być wyjazd służbowy. Michał o nic nie dopytuje, niczego nie sprawdza. Wciąż po latach ufa jej bezgranicznie, a ona tym razem nadzwyczaj perfidnie wykorzystuje to zaufanie. Idzie na depilację bikini, chce być gładka i dostępna. Początkowo nie może się do tego przekonać, ale wie, że warto. Usługa kosztuje ją sporo, a wykonująca ją drobna blondynka uśmiecha się do niej porozumiewawczo. Będąc już w Oslo, Agata wykonuje dwie lewatywy. Ma ochotę na to, czego zawsze z różnych powodów się bała, a czego Michał nigdy nie zaproponował. Stolica jest chłodna, pada deszcz, Agata wybiera się na spacer do Vigelandsparken, a resztę dnia poświęca na to, by zrobić się na

bóstwo. Pokój hotelowy jest mały i wygodny. Sprawdza sprężystość materaca. Łóżko znakomite, czas ruszyć na łowy.

Wybiera klub, o którym czytała w sieci, że jest miejscem niezobowiązujących podrywów. Wie, że w rozkwicie jest Tinder i dzięki tej aplikacji poszłoby naprawdę sprawnie, kandydatów do wolnej miłości na pewno było tam mnóstwo. Zwłaszcza w takim mieście jak Oslo. Ale wie też, że zawsze jest ryzyko powtórki tamtego upokorzenia sprzed lat, kiedy była przekonana, że w Internecie znalazła doskonałego kochanka. W realnym miejscu będzie miała pełną kontrolę nad tym, kogo ściąga do łóżka. Wkracza więc do klubu pewnym krokiem, choć zdaje sobie sprawę z tego, że to trochę żenujące w wykonaniu kobiety w jej wieku.

Nie zajmuje jej długo zwrócenie na siebie uwagi. Ma na sobie obcisły, srebrny top, który kupiła kilka godzin temu i który za kilkanaście godzin wrzuci do kosza na śmieci, zmierzając na lotnisko. Włosy rozsypane w kontrolowanym nieładzie, w tym świetle nie rzuca się w oczy siwizna, delikatny makijaż, Agata nie chce być wulgarna, choć będzie taka później, kiedy już kogoś złowi. Pije mojito, wybija stopą rytm na metalowej obręczy hokera, ma wrażenie, jakby czas się zatrzymał, choć muzyka jest inna niż przed laty, tak naprawdę nie do końca ją czuje, udaje jednak zintegrowaną z tłumem. I stara się pokazać, że jest wolna, natychmiast do wzięcia.

Nie musi długo czekać i to ją bardzo cieszy. Podchodzi do niej opalony blondyn, typowy Norweg, nie o kogoś takiego jej chodziło. Rozmawiają przez chwilę o wystroju klubu i o tym, dlaczego się w nim zjawili. On przyszedł z kolegami, jednak znudziło go ich towarzystwo, oni zmienili lokal, on został, popija kolorowego drinka i chce zamówić Agacie drugie mojito. Wymiana zdań się nie klei. Olaf, bo tak ma na imię ten chłopiec, ileż on może mieć lat, najwyżej dwadzieścia kilka, stara się ze wszystkich sił zainteresować sobą Agatę, jednak nic z tego nie wychodzi, dla niej to dzieciak, poza tym nie podoba jej się jego sylwetka, nie na coś takiego dzisiaj liczy. Chętnie kusi się na drugiego drinka, ale to wszystko, co Olaf może jej zaoferować tego wieczoru. Dlaczego tacy młodzi ludzie nie łowią sobie partnerów seksualnych na tym całym Tinderze, tylko biegają po

klubach jak ona, oldschoolowa napalona żona, która bez skrupułów zdradza męża? Po dwóch kwadransach oboje wiedzą, że mają siebie dość. On dodatkowo niepokieszony, bo zainwestował nie w tę kobietę, znika w tłumie. Wieczór toczy się dalej wyznaczonym przez klub rytmem, Agata czuje lekkie falowanie, gryzie delikatnie listek mięty ze swojej szklanki, zaczyna się baczniej rozglądać.

Nic się nie dzieje. Mija ją kilku mężczyzn, którzy się uśmiechają – jedni zawiadają, inni z przekonaniem, że Agata widzi przed sobą najpiękniejszą wersję męskości i sama zagada, oni nie zniżają się do takiego poziomu. Kiedy mija północ, Agatę ogarnia desperacja. Widzi siebie jako naprawdę starą babę udającą młodkę, której jedynym celem jest zapełnienie dziś pochwy i odbytu kawałkiem męskiego mięsa. Zaczynają grać jej ulubiony kawałek. Agata dopiero teraz uświadamia sobie, że muzyka znacznie się zmieniła przez dwie dekady, a ona nawet nie zorientowała się w tych zmianach. Jest jej już gorąco i wie, że idąc na parkiet, dodatkowo się spoci, jednak robi to, ma ochotę się poruszać, trzeci drink również robi swoje, Agata dopija go, zanim pójdzie tańczyć, bo wie, czym się kończą powroty wielu naiwnych dziewcząt do szklanek, z których niedawno piły, a które spuściły na chwilę z oczu.

Obce dłonie na jej biodrach pojawiają się w drugiej minucie tańca. Wzdryga się, ale nie protestuje. Przedramiona są solidnie owłosione, dotyk bardzo miękki, choć stanowczy. Agata odchyła głowę, by przelotnie spojrzeć na tego, z kim tańczy. Wysoki brunet, lekki zarost na policzkach. Bardzo ładnie pachnie. Jest władczy i po chwili się przekonuje, że poluje skutecznie. Agata jest jego, a kolejny kawałek tańczą w zgranym rytmie ich ciał. Gdy wracają do baru, on mówi swoje imię, ale Agata nie chce go pamiętać. Pod białą koszulką odznaczają się mięśnie klatki piersiowej. Jest kimś, kogo poszukiwała. Boi się zamówić kolejny alkohol, bo wie, że straci kontrolę, a wszystko ma się odbyć na jej warunkach; to zaplanowana przyjemność i musi mieć wymarzony kształt. Prosi o wodę, on popija whisky. Z minuty na minutę staje się coraz bardziej atrakcyjny. Właściwie mógłby się nie odzywać, ona chciałaby patrzeć i podziwiać.

Mężczyzna jest tępy. Zdradza to sposób, w jaki się wypowiada, trudności w budowaniu zdań złożonych, ale i zakres tematów, który porusza przy barze. Typ jest po prostu prymitywny.

Jest po trzydziestce. Przejazdem w Oslo. Chyba jakiś podróżnik, opowiada o Indiach czy innej Sri Lance. Nic jej to nie obchodzi, choć oczywiście udaje zainteresowaną. Taksuje jego obcisłe dżinsy i stara się sobie wyobrazić, jak wyglądają jego uda, co kryje się między nimi. To jest teraz najważniejsze. Po niecałej godzinie wszystko jest już dla niej jasne. Dobry wybór. Znakomite mięso. Można zaczynać przygodę.

Jest ostry i nie bawi się w subtelności, Agacie to bardzo pasuje. Wpatruje się w muskularny tors, kiedy mężczyzna rytmicznie się w nią wbija. Pocą się oboje. Ona jest wilgotna i śliska. On bez problemu odczytuje jej intencje. Wie, że może go ugryźć w ucho bez żadnych konsekwencji, on szarpie jej sutki, jest coraz bardziej przyjemnie. Widać, że ma ochotę na dalszy ciąg, który zaplanowała. Agata wypina pośladki i po raz pierwszy w życiu próbuje seksu analnego. Na początku odczuwa tylko ból, ale później jest już doskonale. On pracuje lędźwiami w coraz szybszym rytmie. Ona zadbała o prezerwatywę, ale prosi, by ją zdjął, penetrował ją od tyłu bez gumki. Szepcze, że jest czysta. Jest w tym wszystkim dzika satysfakcja, jak również nieopisana przyjemność dla jej ciała.

Kiedy ponad godzinę później Agata zamyka za nim drzwi hotelowego pokoju, jest cała obolała, ale szczęśliwa. Nasycona. Nigdy taka nie była przy Michale. Nie chce zmywać z siebie zapachu kochanka, więc postanawia, że prysznic weźmie rano. Później zostaje już tylko lot do Tromsø.

Tym razem, gorąca od wspomnień, prawie w ogóle nie myśli o swoim strachu. Witając się z Michałem, wpija się w jego usta z zachłannością, której nauczył ją tamten facet. On jest zadowolony, przekonany o tym, że tęskniła. Kochają się chwilę później, a Agata wspomina doskonałe ciało, które się nią zajmowało w nocy.

Zdrada smakuje znakomicie. Zastanawia się, czy Michał uwierzyłby, gdyby mu powiedziała, co zrobiła. Jak przeszedłby z tym ciosem do porządku dziennego.

Zakłada, że kiedyś mu opowie. Warto poczekać na dobry moment. Taki, w którym go wyjątkowo mocno zabolą, gdy ona zwierzy się ze swojego seksualnego wypadu na południe kraju. Tymczasem wstaje dzień i trzeba przygotowywać się do wieczoru.

Agata jest świadoma swojego wieku, zadowolona z niego i przekonana, że na wszystko jest odpowiedni czas. Nie należy do kobiet, które ukrywają swoją datę urodzenia, na profilu facebookowym ma ją wyraźnie wyeksponowaną, kompletnie nie rozumie tego krygowania się i robienia tajemnicy z wieku. Jakby niemówienie o tym, ile się ma lat, odejmowało te lata. Kobiety bywają takie głupie. Ale i mężczyźni wstydzą się, że są starsi. Choć z nimi upływ czasu obchodzi się dużo lepiej niż z kobietami. Agata od zawsze uważa, że to niesprawiedliwe.

– O której przyjeżdżają Bjorn z Tonim? – Michał uwija się przy kuchennym blacie, przygotowują kilka potraw, z czasem nauczył się porządnie gotować i sprawia im to przyjemność.

– Dostałam SMS-a, że już wylądowali – odpowiada, rozglądając się po salonie, stół udekorowali subtelnie i przyjemnie, teraz zastanawia się nad świecami, jest za jasno, ale Michał chciał, żeby były. Dobiera serwetki. Dbą o detale. Uczta na tym stole będzie najlepsza. – Włóż lasagne do piekarnika. Dopraw sałatkę z porów.

Michał karnie wykonuje, o co go prosi. Ma wrażenie, że on bardziej cieszy się perspektywą spotkania z tymi wszystkimi ludźmi, którzy Agacie powoli przestają być potrzebni do szczęścia, zwłaszcza Thomas ją irytuje. Znakomicie czuje się tylko w towarzystwie swoich przyjaciół z Alty. I tylko z powodu ich obecności zdecydowała się na tę całą imprezę urodzinową.

Szybko docierają z lotniska. Są nieprzyzwoicie bogaci, więc norweskie taksówki nie stanowią dla nich problemu. Normalnie musieliby przyjechać autobusami dwóch linii. Wchodzą bez pukania, jak do siebie. Agata bardzo to w nich lubi, wiedzą, że są częścią tego domu, ilekroć mają ochotę tu przylecieć.

– Przywieźliśmy dobre wino z dalekiej północy – oznajmia radośnie Bjorn, chwytając buziaka od Agaty. Stawia na stole w kuchni dwie torby i wita się

z Michałem.

Agata ściska w przelocie Toniego, jest lekko zdenerwowana, sporo jeszcze do zrobienia, a pozostali goście pojawiają się niebawem.

– Ależ pyszności! – Bjorn zagląda do garnków, próbuje sałatki. – Dopraw to jeszcze solą.

– Nie, Agata nie lubi za dużo soli. – Michał, jak widać, odrobił lekcję, ona słyszy jego słowa i jest zadowolona.

– Mogę w czymś pomóc? – Bjorn zawiązuje w pasie fartuch, jest gotowy do działania, Michał przekazuje mu część rzeczy do zrobienia. Stoją obok siebie przy blacie, dowcipkują, Bjorn po raz kolejny chwali przygotowywane potrawy. Najwidoczniej zapomina o soli.

– Jak się czujesz? – pyta Agatę Toni, kiedy wychodzą razem na powitalną fajkę, na balkonie jest bardzo przyjemnie, gdzieś w oddali przelatuje kilka mew. – W sensie z tym srogim wiekiem?

– Daj spokój. – Agata zaciąga się dymem, wypuszcza go w stronę przyjaciela. – Nie jestem z tych ludzi, których dobry humor warunkuje wiek czy pora dnia. Choć nie znoszę lata polarnego. Ale czterdziestka to sama frajda.

– Pewnie tak. – Toni jest chyba trochę zmęczony, na pewno później odzyska siły, Agata bardzo się cieszy z jego obecności. – My z Bjornem za rok planujemy podróż na Grenlandię. Tam wskoczmy do zimnego oceanu i będziemy celebrować nasze wspólne osiemdziesiąt lat.

– Mmm. Doskonały kierunek podróży. Też kiedyś myśleliśmy o tym z Michałem. Ale tam trudno się przemieszczać, nie ma dróg. I jest piekielnie drogo.

– Tak, jest trochę klaustrofobicznie. – Dopalają prawie jednocześnie, wracają do salonu. – Ale chcemy uczcić nasze urodziny naprawdę oryginalnie. I w dupie mamy koszty.

– Jesteście najoryginalniejszymi ludźmi, jakich znam. – Agata delikatnie klepie go po policzku. – I mam nadzieję, że złowicie tam wspaniałą zorzę.

– Zobaczymy.

Przygotowania nabierają tempa. Zostawiają kuchnię pod opieką Bjorna i Toniego, idą posprzątać, Michał bierze prysznic, przebierają się, Agata wkłada jedną ze swoich ulubionych sukienek, jej mąż pyta o to, co ma na siebie włożyć. Doskonale wytresowany. Agata nonszalancko macha ręką, daje mu swobodę wyboru, ostatecznie Michał wkłada lekki T-shirt i bawełniane, czerwone spodnie. To ich widok zapadnie jej w pamięć na długo, gdy będą go wieźć na ruchomych noszach i czerwien zamknie przed nią drzwi szpitala do tej części, do której nie będzie wolno jej wejść.

Pozostali goście przybywają, jakby się umówili. Wszyscy wręczają Agacie prezenty. Zapalają jednak te świece, wygląda to dość śmiesznie, pomieszczenie tonie w świetle słońca, które nie zamierza się poddawać, więc choć leniwie mijają kolejne godziny, wieczór jest już w pełni.

Agata czuje, że przepełnia ją pozytywna energia. Ma w sobie jeszcze tę adrenalinę z nocy w Oslo, dobrze czuje się w roli gospodyni, rozmawiają o podróżach i o tym, jak zmienia się Norwegia pod wpływem imigrantów. Michał opowiada jakieś dwa dowcipy, w jej odczuciu okropne suchary, ale ona śmieje się wraz z innymi. Po pewnym czasie zaczyna odczuwać jakieś dziwne napięcie, zdając sobie sprawę, że jej mąż z tymi ludźmi bawi się chyba dużo lepiej niż ona. Kilka butelek wina już jest pustych. Agata pije jak najmniej, nie chce tracić kontroli nad sobą, zresztą inni mają większy apetyt na trunek, wino znika bardzo szybko.

Toni naprawdę jest zmęczony. Wychodzą na jeszcze jedną fajkę i dołącza do nich Thomas. Chce spróbować. dzielnie walczy z papierosem i wypala go prawie do końca. Toni i Agata śmieją się z niego, bo wygląda jak nastolatek z pierwszą fajką, którą zwędził rodzicom. Niebawem pojawiają się konsekwencje szarży Thomasa na swój organizm. Mężczyzna ucieka do toalety, w której spędza ponad kwadrans. Jego żołądek pozbywa się wszystkiego, co zdążył wchłonąć. Agata uśmiecha się do niego po powrocie, wspierając w niedoli i proponując, że przygotuje mu gorzką herbatę, ale Thomas zbywa ją gestem. Ona wie, że od dłuższego czasu jest dla niego wrogiem. Michał mówi mu zdecydowanie za dużo

o tym, co się między nimi dzieje. Thomas dość kategorycznie opowiedział się już jakiś czas temu po jednej ze stron. Agata nie zamierza go do siebie przekonywać. I bardzo dobrze, że zwymiotował kolację. Nie będzie mieć dobrych wspomnień z tego wieczoru. Agata jeszcze nie wie, że ona również. Że za chwilę zrobi coś szalonego.

Nie wie, skąd bierze się ten głupi pomysł przełykania jedzenia bez gryzienia, ale od chwili ogłoszenia, że spróbują zagrać w idiotyczną grę, Agata działa jak w amoku, nie do końca jest pewna, co robi, ale jednak wyciąga z jednej z szuflad ostry kawałek metalu, który już kilka razy chciała zaserwować Michałowi w posiłku. Wkłada gwóźdź do purée, robi to dyskretnie, to będzie dzisiejsza kara za to, że mąż bawi się z tymi ludźmi lepiej niż ona. Albo może kara z opóźnionym terminem realizacji. Za wszystkie jej frustracje. Za Altę. Za cały ten chory związek, którego ma już dosyć.

Wie, że to jedyny sposób, żeby przełknął gwóźdź. To maleństwo, które Agata nosiła ze sobą w torebce do kilku restauracji, szukając dogodnego momentu, by przemycić mu do posiłku. Cały czas miała w głowie, że to, co robi, jest irracjonalne. Ale chęć sprawienia Michałowi takiego bólu, jakiego jeszcze nie doświadczył, przeważała nad wszystkim. A teraz była doskonała chwila, by wreszcie zrealizować plan.

On rzeczywiście bierze do ust ziemniaki i natychmiast przełyka. Bjorn łyka maleńką mandarynkę, chyba jednak Michał wygrywa w tym durnym konkursie. Agata nie spodziewa się, że efekt tego, co zrobiła, pojawi się tak szybko. Jest przekonana, że męża będzie po prostu bolał później brzuch. A ból pojawia się nagle i rujnuje całe spotkanie. Po kilkunastu minutach Michał skarży się na palące go gardło, lecz wciąż nic wielkiego się nie dzieje, pije dużo wody. Potem jednak boli go klatka piersiowa. Kiedy w ustach pojawia mu się krwista wydzielina, Thomas natychmiast dzwoni po karetkę, a Bjorn z Tonim układają Michała w pozycji bezpiecznej na podłodze.

Agata panikuje. Wie, że przesadziła. Michał zwija się z bólu. Dalszą część wieczoru pamięta jak przez mgłę. Mocno trzyma jego dłoń, gdy siedzi obok, jadą

razem do szpitala. Kiedy Michał znika z jej oczu, bo natychmiast musi być przeprowadzony zabieg, Agata jest przerażona. Nie ma pojęcia, co się wydarzy. Myśli o tym, żeby nikt niczego nie zgłosił na policję, kiedy już okaże się, co jest w żołądku jej męża. Musi temu za wszelką cenę zapobiec. Tymczasem tuż obok niej dzieje się bardzo wiele. Relację z tych działań Agata usłyszy dopiero później.

Michałem zajmuje się trzech medyków i pielęgniarka. Jego dolegliwości nasilają się wraz z odruchem połykania. Jest bardzo blady oraz spocony. Działają w skupieniu i bardzo szybko. Odczytują nitkowane tętno. Lekarz stwierdza, że zachodzi podejrzenie perforacji i krwawienia z przewodu pokarmowego. Michał jest przytomny i przerażony. Dostaje dostęp obwodowy żylny, wkłuwają mu wenflon. Słyszy, że należy pobrać krew – morfologia, jakieś markery zapalne, jony i kreatynina. Podłączają mu płyny infuzyjne. On wciąż nie wierzy, że to dzieje się naprawdę. Stabilizują ciśnienie tętnicze. Intubują przełyk, Michał ma wrażenie, że umrze z bólu. Następuje ocena endoskopowa tego, co się wewnątrz niego dzieje. Oceniają wpust jego żołądka, odsysają mu treści pokarmowe. Wszystko, co zjadł i wypił, wydobywają z niego w obrzydliwy sposób. Zabieg jest bardzo bolesny, Michał ledwo żyje. Ale lekarze działają profesjonalnie, nic nie dzieje się tu przypadkowo. Okazuje się, że metalowe ciało obce można usunąć za pomocą jakiejś pętli. Michał jest uratowany. Po całym tym koszmarze oddycha szybko i usiłuje się uspokoić.

Tymczasem, tak jak się spodziewała, wszystko wychodzi na jaw, lekarz żąda od Agaty spotkania w cztery oczy. Pyta o przebieg wieczoru i o to, w jaki sposób gwóźdź znalazł się w żołądku jej męża. Daje mu mętne, niekompletne wyjaśnienia. Chyba nie może w to uwierzyć, ale po kilku minutach wymiany zdań już wie, co się wydarzyło. Agata gra va banque. Rozdziera swoją bluzkę i zagryza wargę tak, by pojawiła się krew. Wie, że stać ją na więcej, może sobie rozbić głowę, ponownie uszkodzić ciało, ale jest przekonana, że temu wystraszonemu idiocie wystarczy to, co właśnie zrobiła. Cicho i stanowczo szepcze, że jeżeli medyk zgłosi to, co się stało, na policję, ona wybiegnie stąd z krzykiem, że się do niej dobierał. On z pewnością ma do stracenia więcej niż ona. Niech wybiera. Krew na wardze jest

szkarłatna, a Agata mimo bólu uśmiecha się diabolicznie. Lekarz każe jej natychmiast opuścić gabinet, czekać na korytarzu. Kolejne minuty upływają Agacie na potrząsaniu głową i wrastaniu w lęk. Teraz może wydarzyć się wszystko. Myślni jest już na komisariacie policji, widzi siebie zabieraną tam ze szpitala. Ale ma nieodparte wrażenie, że po tym, co zrobiła i powiedziała, nic się nie wydarzy. Próbuje doprowadzić do względnego porządku zniszczoną bluzkę.

Rzeczywiście nie dzieje się nic. Michał otrzymuje środki uspokajające, pomagają mu zasnąć, Agata chce za wszelką cenę być z nim w pokoju, choć lekarz prowadzący patrzy na nią z obrzydzeniem, chciałby ją usunąć ze szpitala, pieprzoną manipulatkę, niedoszłą zabójczynię. Agata zostaje jednak przy mężu i tylko ona widzi, jak ten facet w kitlu na nią patrzy i chyba wciąż zastanawia się nad słusnością swojego milczenia, gdy dobrze zna przyczynę obecności tego nieszczęsnego pacjenta. Ona wymienia przez telefon kilka krótkich zdań z przerażonym Bjornem, który został w ich domu, Toni pomaga mu sprzątać, szybko dzisiaj nie zasną. Agata mówi, że już po wszystkim, Michał dochodzi do siebie, powinni położyć się spać.

Ale nikt tak naprawdę nie śpi spokojnie przez kilka kolejnych dni. Michał spogląda w twarz Agaty z niemym i oczywistym zarzutem. Dlaczego mu to zrobiła? Czy rozumie, co mogło się wydarzyć? Już rozumie, lekarz nakreślił mu wszystkie straszne wizje, z których żadna się nie spełniła. Wie, co połknął i kto mu to dał. Wszystko teraz zależy od Michała – czy jako poszkodowany zgłosi to policji czy też będzie milczał. To oczywiste, że jej nie zaszkodzi. Nawet po czymś takim. Jedyne, co w nią uderza, to ta obcość męża. To, że tym razem nie próbuje nawet w najmniejszym stopniu zażegnać napięcia między nimi. Ostatecznie Agata zostawia go w szpitalu, bo kategorycznie życzy sobie być sam. Po powrocie do domu opada na fotel i bezgłośnie płacze. W pewnym stopniu robi się jej żal tego człowieka, który już tyle wycierpiał, będąc u boku tak obrzydliwej żony.

Rekonwalescencja jest długa. Michał naprawdę doświadczył czegoś okropnego, ale tego, co przeżył fizycznie, nie można porównać do bólu duszy, jaki mu towarzyszy. Kiedy wraca do domu, nadal oboje tkwią w milczeniu. Agata bierze

wolne, aby być z nim przez cały czas. Nie rejestruje, kiedy odbiera telefon od Thomasa, który krzyczy do niej, nazywa ją pierdolniętą wariatką i mówi, że kogoś takiego jak ona powinni zamknąć. Chce się zobaczyć z Michałem, ale ona nie wyraża na to zgody. Thomas oznajmia, że nigdy więcej nie chce zobaczyć Agaty.

Trwają w milczeniu i izolacji bardzo długo. Dzień polarny zaczyna się skracać i Agata z radością łapie kilka godzin mroku, które pozwalają jej na odpoczynek od całego koszmaru. Jakby to ona była pokrzywdzona, a nie chciała zabić swojego męża. Przecież nie chciała. Była przekonana, że będzie miał tylko jakieś problemy żołądkowe, że tego gwoźdźca po prostu się pozbędzie z kałem. Wciąż nie dociera do niej cała groza tego, co zrobiła. A może wszystko dotarło do niej dużo wcześniej, lecz skutecznie to wyparła ze świadomości? Nie wie.

Kiedy wreszcie nawiązują ze sobą kontakt słowny, Michał nie pyta, dlaczego to zrobiła. Bardziej interesuje go to, czy nadal będą razem. Jak po czymś takim można być razem? Agata też tego nie wie. Oboje czują się przytłoczeni sobą. Ciążą sobie nawzajem. Trudno im oddychać tym samym powietrzem. Mijają kolejne dni, Michał zdrowieje, lecz oboje doskonale wiedzą, że tamtego wieczoru coś się skończyło.

Aż przychodzi chwila naprawdę szczerzej rozmowy. To już jest ten czas, kiedy mąż nie odrzuca jej czułości. Daje się do siebie zbliżyć, jednakże wciąż jest czujny. Stale ją bacznie obserwuje. Nie wie, na co sobie może względem niej pozwolić. Bo przecież po raz kolejny zwycięża ta jego cholerna miłość. Michał jest gotów wybaczyć, ale musi zrozumieć. Dlatego Agata chce mu kilka rzeczy uświadomić. Wracają do wydarzeń z Alty i do tego, jak zaczęła go potem postrzegać. I przede wszystkim dlaczego. On ledwo to wszystko unosi. Agata ma wrażenie, że zapada się w sobie. Jest w szoku. Jakby ujrzał ją na nowo i widział w niej kogoś zupełnie innego. Ale wciąż darzy ją uczuciem. Nie przestanie. Szepczą do siebie długo. Ta rozmowa jest dla nich wykańczająca emocjonalnie.

Leżą później obok siebie, płaczą. Michał zyskał nową perspektywę. Czuje się winny. Agata jest już nieco bardziej spokojna, choć wciąż daje mu do zrozumienia, że nie wie, na jakich zasadach mogą dalej być ze sobą. Jakby wreszcie odśloniła się

najbardziej niewygodna prawda o ich związku. To, że nie ma sensu, by nadal byli małżeństwem. Ich wspólny płacz nie jest oczyszczający. Mają jednak wrażenie, że dokonał się jakiś przełom. Michał zorientował się najwidoczniej, że w tym związku miłość jest jednostronna. Dotarło to do niego z całą bolesną siłą. I jest wobec tego bezradny, bo dalej bezwarunkowo kocha Agatę. Ona wie, że on od niej nie odejdzie. Zastanawia się jednak nad tym, czy ze wszystkimi złożonymi w niej emocjami będzie gotowa nadal być jego żoną. Czy on gotów jest na dalsze życie z kimś tak przerażającym jak ona.

Michał wraca do normalności. Bierze się za kolejne zlecenie, teraz rzadziej wychodzi z domu, choć wcześniej też był domatorem. A potem okazuje się, że oboje muszą w nim przebywać, bo pojawia się koronawirus i cała Norwegia, początkowo odważna i beztroska, zamyka swoich obywateli w domach jak reszta świata, z wyjątkiem nonszalanckiej Szwecji.

Agata ma czterdzieści jeden lat i cała jest rozczarowaniem. Jej życie obecnie to równia pochyła. Czuje, że przegrała wszystko. Że będąc dzieckiem, walczyła o normalne życie i była gotowa cierpliwie na nie poczekać, a później okazało się, że jakakolwiek normalność skończyła się dla niej tamtego wieczoru w Polsce. Powinna wtedy odejść. Przestać istnieć. Tak byłoby najlepiej.

– Thomas znalazł mi terapeutę – odzywa się pewnego wieczoru Michał, kiedy wspólnie oglądają jakiś film, ale oboje nie są nim zainteresowani.

– To chyba dobrze. Tak myślę. – Agata wpatruje się w ekran i usiłuje się skoncentrować na filmie, ale jest teraz rzecz ważniejsza, jest czas na wyznania Michała.

– Tak. Czuję, że to dobry pomysł. Muszę z kimś pogadać. – Michał też patrzy w telewizor, ta rozmowa jest trochę groteskowa.

– Będziesz się na mnie żalił? – pyta ona. Nie jest pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Nie wiem, czy tak to można ująć. – On w końcu wyłącza odbiornik, siadają naprzeciw siebie, patrzą sobie w oczy, Agacie trudno jest to znieść, ale wie, że doszli razem do ściany, że teraz to on i tylko on decyduje o tym, czy będzie jeszcze jakieś wspólne życie.

– Zrób to, co uważasz za istotne. Otwórz się. Odkąd siedzimy razem w tym domu, wiem, że brakuje ci kogoś, z kim naprawdę możesz porozmawiać.

– Z tobą już nie mogę? – Pytanie zawisa w próżni i milczeniu. Michał nie wytrzymuje napięcia, wstaje i idzie do kuchni.

– Chcesz wina?

– Poproszę. – Agata walczy z niesfornymi włosami. Codziennie widzi na szczotce kolejne siwe nitki. – Chcę, żebyś znalazł spokój. Chcę, byś był dawnym Michałem.

On na chwilę nieruchomieje.

– Takim idealnym mężem, któremu każesz robić to, co chcesz? – Nie ma w tym pytaniu zgryźliwości, jest raczej rezygnacja. Michał podaje jej kieliszek z ciemnym płynem, dzisiaj wino nie smakuje tak jak kiedyś. – Czy może mężem, który mógłby wreszcie poczuć się przy tobie bezpiecznie?

– Takim, który chce jeszcze o coś walczyć.

Milczą przez chwilę. On głośno przelyka wino.

– Naprawdę tylko ja mam podejmować takie próby? – Siada blisko niej, ale Agata czuje ten wyraźny dystans, w jakim tkwią od początku pandemii.

– Chcesz, żebym też poszła na terapię? – Jej pytanie brzmi zaczepnie, dopiero po wypowiedzeniu tych słów Agata zdaje sobie sprawę z tego, że powinna użyć innego tonu.

– A da ci to coś? – Michał znowu próbuje wina. – Mam wrażenie, że w naszym związku żyjesz jak zaprojektowana jakimiś traumami. Nie jestem w stanie tego unieść. Próbowiałem cię latami zrozumieć, Agata, ale nigdy nie dawałaś mi szansy. Ale jak chcesz, możesz do mnie dołączyć. To terapia online, moglibyśmy kiedyś usiąść razem przez laptopem. Może to coś zmieni.

– Thomas zasugerował, że potrzebna jest tobie. – Za mocno zaakcentowała „tobie”, wciąż rozmawia z nim nie tak, jak by chciała. I irytuje ją to, że musi wymawiać imię faceta, który jej tak nienawidzi i tak współczuje Mikiemu.

– Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. To z tobą powinienem rozmawiać, a nie z jakimś obcym facetem.

I tylko tyle mają sobie do zakomunikowania tamtego wieczoru. Zaskakująco zgodnie wracają do oglądania filmu. Starają się na nim skupić tak mocno, jak mocno czują, że ich oddaleniu nie pomoże żadna terapia.

A jednak coś dobrego wychodzi z tych spotkań Michała: po dwóch sesjach jest bardziej spokojny. Agata wprost przeciwnie – cały czas zastanawia się nad tym, ile mrocznej prawdy o ich związku on przekazuje temu terapeutcie. Nawet teraz się zastanawia, co jej grozi, podświadomie wciąż się tego boi, powinna trafić za kratki już dawno temu, ale tam znaleźć się powinien ktoś jeszcze. Ktoś, kto po prostu zniknął.

Pandemia nie mija. Koronawirusa łapie szef Agaty, trafia do szpitala. Lęk o to, czy normalne życie kiedykolwiek wróci, udziela się im obojgu. Michał chce podjąć ostatnią próbę walki o tę normalną przyszłość, ona już odpuściła. Pewnego dnia walczy za to z ciekawością, by zajrzeć do niego, siedzącego przed komputerem, spojrzeć w twarz tamtemu mężczyźnie, przedstawić się, być może przyłączyć do rozmowy. Kiedy otwiera drzwi i widzi smutną twarz Michała, po której płyną łzy, wie, że to nie jest przestrzeń dla niej, nie powinna się mieszać. Nie jest w tej relacji mile widziana. I dystansuje się. Coraz trudniej funkcjonować jej w czasie, w którym całe życie towarzyskie zamiera, boi się o przyszłość swojej firmy, kalkuluje, co się może wydarzyć, jeżeli jej szef umrze. Dowiedziała się, że w Polsce na koronawirusa zmarła jej kuzynka. Nie uwierzyłaby, gdyby ktoś choć pół roku wcześniej powiedział jej, że tak może wyglądać świat.

Michał nabiera pewności siebie, chętniej się do niej zbliża, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów uprawiają seks. Prezerwatywa nadal jest dla Agaty najistotniejsza, choć w tych tygodniach wspólnego milczenia myślała parę razy, czy może rzeczywiście posiadanie dziecka otworzyłoby przez nimi jakieś nowe

możliwości. Czuje się już za stara na matkę. To by nie przeszło. Nic nie mogłoby jej przekonać, by porzuciła swoje nawyki. A Michał swoje. Żyli po prostu wygodnie, choć oboje byli nieszczęśliwi. Zwłaszcza on, bo jego nieszczęściem było uczucie do niej. Ona utkwiała w jakiejś pustce. Nie oczekiwała już niczego. Jednocześnie miała nadzieję na to, że przyjdzie taki czas, w którym powie sobie przed lustrem, że już za nic nie chce się mścić, że Michał przyjął odpowiednią liczbę ciosów, że należy pogodzić się z tymi sprawami z przeszłości, które wcale nie chcą od niej odejść.

Nie spodziewa się momentu pojednania, ale on jednak następuje. Agata widzi, że sesje terapeutyczne otwierają Michała na własne cierpienie. Umie nazwać i określić emocje, z którymi do tej pory miał problem. I dzięki temu daje sobie z nimi radę. Chce ją dalej kochać. A ona jest gotowa nauczyć się miłości, chce to zrobić dla niego. Tyle tylko, że wciąż jest sobą: nieprzewidywalną i złą żoną, która już miesiąc później wyrządza mu kolejną krzywdę, to jest silniejsze od niej, pchnięcie w salonie na sofę przywołuje wszystko, co najgorsze. A Michał przyjmuje to ze zrozumieniem.

Potem pada jeszcze kilka ciosów. Agata czuje, że eksploduje, nie da rady, ten związek jest przegrany i mogą się tylko sobą wzajemnie zadreczać. Tymczasem przychodzi kolejna zima. Próbują sobie przypomnieć, jak połączył ich zachwyty nad zorzą, i obserwują ją nad miastem. Wyjątkowo pięknie się prezentuje i tym razem jest bardzo silna, miejskie światła nie utrudniają jej oglądania.

Stoją na balkonie, ich policzki atakuje mróz. Agacie jest zimno, wzięła za lekką kurtkę. Usiłują w tych zielonych, błękitnych i różowych smugach na niebie znaleźć samych siebie sprzed lat. Młodych ludzi, którzy obiecywali sobie wiele, ale tak naprawdę od początku chcieli w tym związku czego innego. To przez nią życie razem stało się dla obojga nieustanną opresją. To ona była odpowiedzialna za całe zło, które wyhodowało się najpierw w jej mieszkaniu, później w tym przytulnym, czerwonym domu.

Michał dostaje jakąś ważną nagrodę za ostatni przekład. Agata z przyjemnością czyta książkę, którą przetłumaczył. Tylko dzięki niemu zachowuje jako taki kontakt

z literaturą, to on jest dla niej wyznacznikiem tego, co w świecie literackim ważne. Kiedyś sporo razem czytali, potem było wspólne bieganie, dzisiaj nie łączy ich w zasadzie nic. Pulsująca z jego strony miłość, która nie chce się wypalić. Jej przekonanie, że spieprzyła sobie życie. A raczej, że ktoś się do tego przyczynił, a ona pozostała z wszelkimi okrutnymi konsekwencjami. Ale ta książka jest naprawdę bardzo dobra.

Życie jednak powoli wraca do normy, bez względu na to, co ona sobie o nim myśli. Znikają wszechobecne maseczki, choć ludzie dalej stoją w kolejkach do punktów testowania. Norwegia zabrania sprzedawania alkoholu w knajpach. Michał śmieje się z tego, bo podglądał, jakie absurdy miały miejsce w Polsce, i ten zakaz porównuje do zamykania lasów w ich dawnej ojczyźnie. Oboje rozmawiają o tym, czy warto wrócić kiedyś do kraju, z którym się pożegnali. On na swoich zasadach, ona wydarta z dotychczasowego życia, przecież nigdy nie chciała się tu znaleźć. Michał wspominał o tym, że rozmawiał ostatnio przez telefon z matką, która bardzo chciała się z nim zobaczyć. Agata zazdrościła mu matki i wciąż dziwiła się, dlaczego tak łatwo odpuścił tę relację, poddał się wyobcowaniu tamtej kobiety.

Są obok siebie, jakby żyli we własnym rytmie i tylko na moment spotykali się we wspólnej przestrzeni. Michał czuje się coraz bardziej pewny siebie, terapia dała jakieś efekty, zaczął się skupiać na swoich potrzebach. Agata nie widzi w nim już swojego męża, stał się innym mężczyzną, trochę inaczej się zachowuje, wciąż trzyma dystans do niej, ale nadal tak samo rozpaczliwie ją kocha. Mimo tego, że rozumie beznadziejność swojego wielkiego uczucia.

Agata wraca do pracy, przemieszczania się po mieście, nawet wspólnie wybierają się z dwójką przyjaciół do restauracji, gdzie oczywiście mogą jeść do woli, ale do picia dostają tylko wodę. Czas mija niepostrzeżenie. Michał stara się pokazać, że wciąż bardzo mu na niej zależy, zaś ona widzi to oddalanie się. Tym razem nie będzie powrotów, jakie przeżywała kiedyś z satysfakcją. Nie będzie zapominania krzywd, bo ma wrażenie, że wszystkie zostały wypowiedziane

i nazwane, kiedy rozmawiał z tym mężczyzną i uczył się od niego brania odpowiedzialności za siebie.

Agata zapomniała z domu papierosów. Ale i tak już żadnego nie zapali. Kiedy zdaje sobie sprawę z tego, w czyje ramiona trafiła, doskonale wie, że tym razem nie uda się już od niego uwolnić.

CZĘŚĆ TRZECIA

ONI

Tromsø

Maksymilian tupie nogami i próbuje podskakiwać, aby pozbyć się śniegu, który oblepił go od stóp do głów. Zima przyszła w tym roku na północ wcześniej, niż ktokolwiek by się tego spodziewał, a może przychodzi z roku na rok coraz wcześniej, a on nie jest w stanie tego zauważyć, bo za dużo pracuje. Dziś śnieżna zawieja jest wyjątkowo mocna, wystarczyły dwie minuty od momentu wyjścia z samochodu, aby zaczął przypominać bałwana. Spadający z niego śnieg tworzy małe kałuże na podłodze. Później się tym zajmie, teraz chce przyrządzić sobie ciepły posiłek i się rozgrzać.

Dzwoni telefon, odrywając go od buszowania w lodówce. Trzy sygnały i Maksymilian jest już przy aparacie.

– Cześć, braciszku. – Głos Marii brzmi, jakby siedziała w jakimś bunkrze, a przecież dzwoni z Polski, zapewne siedząc w swoim ulubionym zielonym fotelu. – Przepraszam, że ci dziś zawracam głowę, ale chciałam cię usłyszeć. Jutro nie dam rady pogadać. Bardzo mi przykro.

Maria zawsze była dla niego wyjątkowa i najważniejsza. Tylko ona zdawała się go rozumieć, tłumaczyć wszystkie błędy, tylko ona dała mu prawdziwą i bezwarunkową miłość. Nie wyobrażał sobie dłużej oddalenia od Marii, ale wiedział, że nie można z tym nic zrobić. Każde jej słowo w słuchawce telefonicznej było jak kojący balsam na jego rozedrganą duszę. Tak inną od dusz pozostałych ludzi.

Maksymilian jest niezadowolony. Od lat urządzają sobie długie pogaduszki z siostrą zawsze wtedy, kiedy ma wolny dzień i nie przejmuje się kosztami połączenia tak jak ona. Jutro miał być czas tylko dla nich. Chciał jej tyle opowiedzieć. Był ciekaw, co u niej słyhać. Zawsze opowiadała o swoim życiu z lekkim udręczeniem, a on, brat z Norwegii, starał się przekazać jej jak najwięcej tutejszego optymizmu. Już samo to, że ją słyszał, powodowało, że nawet najtrudniejszy problem przestawał istnieć. Była tylko ona. Jego ukochana siostrzyczka. Dobro, którym emanowała. Bo tylko Maria była dla niego dobra. Tylko dla niej miał w sobie to, co nazywano bliskością i czułością w relacjach.

– Mari, proszę cię. – Tak zwraca się do niej tylko on. – Liczyłem na jutro. Tak dawno się nie słyszeliśmy.

– Wiem, wiem. – Maria chyba nie siedzi w swoim fotelu, przeciągnęła kabel do kuchni, prawdopodobnie coś gotuje podczas tej wymiany zdań. – Ale jedziemy z Agatką do ortodonta, chcę ją wspierać, strasznie się wzbrania, a to dla niej ważne.

Agatka. Tak, dla tej dziewczynki wszystko, co robi Maria, zawsze jest najistotniejsze. Maksymilian nie przepada za siostrzenicą. Widział się z nią właściwie tylko trzy razy, a ostatnim razem zwiślał jej z nosa gil, kiedy wybrali się na spacer z jej matką. To było dla niego obrzydliwe, a Marysia wytarła ten nos z wielką czułością. Ile ona miała wtedy lat? Siedem? Wydawała mu się niesamodzielną i uzależnioną od matki. Uświadomił sobie, że dawno nie był w Polsce – bynajmniej nie dlatego, że ciekaw był, czy Agatka wyrosła i czy się usamodzielniała. Najwidoczniej teraz były najważniejsze jej zęby. Maksymilian zaciska pięści i próbuje oddychać miarowo, Mari nie może wyczuć jego zdenerwowania. Znowu nie może sobie przypomnieć, jaki był, jak myślał o ludziach. Ile w nim tajemnic, które tylko dla Mari nimi nie są.

– Proszę cię, tylko jutro mam wolne, naprawdę chciałem pogadać. – Maksymilian robi, co może, by zmienić plany siostry. Wie jednak doskonale, że nie wskóra nic, ta mała jest dla niej najważniejsza.

– Pogadamy kiedy indziej. Dzwonię dziś szybciotko, bo chciałam cię tylko usłyszeć. Nie bądź zły. Wiesz, że cię kocham i bardzo tęsknię. – Maria

rzeczywiście wypowiada zdania coraz szybciej. Wie, że to połączenie jest bardzo drogie, że pozwalać sobie na takie rzeczy może tylko Maksymilian z jego zarobkami, ona musi się zaraz rozłączyć.

– Nie wiem, kiedy będę wolny. Wiesz, jak pracuję. Przecież Agata może pojechać z Piotrem. Mielibyśmy czas tylko dla siebie. – Jest przekonany, że wszelkie próby wpłynięcia na decyzję siostry są skazane na niepowodzenie. Ona po prostu postanowiła, dzwoni tylko z informacją.

– Maksik, naprawdę nie dam rady. Muszę z nią pojechać. Ale tęsknię. – Jak gdyby to, że się powtarza, miało mu przynieść ulgę. – Niedługo porozmawiamy.

Kilka niezadowolonych pomruków do słuchawki ma jej wystarczyć za odpowiedź obrażonego brata. Przesyła mu całusy i obiecuje, że wkrótce się usłyszą. Maksymilian przekazuje pozdrowienia całej rodzinie i odkłada słuchawkę.

W głowie czuje nieprzyjemny szum, nic nie poszło po jego myśli, natomiast teraz jest naprawdę głodny, odgrzeje sobie rybę albo pizzę, jeszcze nie może się zdecydować. Z dużym zaskoczeniem orientuje się, że zaczął jeść tak niezdrowo jak wielu Norwegów. Jego codziennością są parówki. Ciastka z nieprzystojną ilością cynamonu. Rzadko ma czas, by ugotować sobie coś naprawdę pożywnego. Dziś nic mu się nie chce, cały czas siedzą w nim historie usłyszane w pracy. A teraz jeszcze Mari. Musi się od tego odciąć. Decyduje się na pizzę, którą potem zjada, oglądając telewizję.

Maksymilian trafił do Norwegii jako nastolatek. Przyjęli go kuzyni po tym, jak sprawiał w Polsce liczne problemy wychowawcze i rodzice doszli do wniosku, że warto zmienić mu miejsce do życia. Młodsza siostra była wówczas w rozpacz. Łączyło ich bardzo wiele, na pewno tak silna więź, która nie zdarza się między bratem a siostrą. Mari wybaczyła mu nawet to, jak kiedyś popisując się przed kolegami, wtarł kotu żrący środek w odbyt i obserwował z ziomkami, jak biedne zwierzę trze zadem o asfalt, aż pojawiły się na nim fragmenty jego jelita. Po tym zdarzeniu Maksymilian stracił wszelkich dobrych kumpli. Nie rozumiał, dlaczego się od niego odsunęli. To był tylko kot, tylko zabawa.

Wyjazd z jednej strony był konieczny i napawał go optymizmem, z drugiej jednak tęsknota za Marią rujnowała go przez pierwsze dwa lata pobytu. Zamieszkał w bajkowym Bergen, w którym rzeczywiście się uspokoił, zajął wszystkimi pożytecznymi według rodziców rzeczami i marzył już tylko o tym, żeby ściągnąć do siebie Marysię, bo za Polską wcale nie tęsknił. Obiecał sobie, że będzie normalny. Otoczenie wciąż wyznaczało ramy normalności, w których on się nie mieścił. Niczego nie czuł poza miłością do siostry. Żadnego innego dobrego uczucia nie umiał się nauczyć. Ale nauczył się, jak te uczucia udawać. Był w tym doskonały. Dlatego tak go cenili w pracy.

Bergen było senne i śliczne, ale Maksymilianowi przeszkadzało ciągłe życie pod parasolem, w wiecznych strugach deszczu, jakby miał się nigdy nie kończyć. Kiedy stanął przed wyborem, czy wrócić na studia do Polski, czy studiować w Norwegii, intuicyjnie wybrał to drugie. Wbrew tęsknocie za siostrą i z narastającym przekonaniem, że wcześniej czy później uda mu się ją ściągnąć. Sam trafił właśnie tam, daleko za koło podbiegunowe, do Tromsø. Najpierw oswajał się z mrokiem i gęstym śniegiem, dochodząc do wniosku, że woli biały puch niż ulewy w Bergen. Usamodzielił się, podjął studia, zaczął żyć na własny rachunek. Chciał być normalny. Kiedy uzyskał norweskie obywatelstwo, stracił już nadzieję na to, że siostra do niego dołączy. Jego rozpacz nie miała końca. Maksymilian stawał przed lustrem i widział tylko wściekłego potwora. Szalonego z bólu, że nie będzie mu dane przytulić się do Mari. Wówczas zrozumiał, że każdy dotyk innego człowieka będzie go brzydzić. Wtedy bardzo szybko zapominał o tym, co to znaczy być przyzwoitym. Znowu ta normalność. Normalne nie było to, że jego siostra znajdowała się daleko. Maria wybrała przewidywalne i bezpieczne życie u boku męża, w którym była zakochana na zabój. Na świat szybko przysła Agata, którą Maksymilian trzymał do chrztu, a potem, kiedy naprawdę zrozumiał, że zostaje w Norwegii sam, przestał być człowiekiem.

Dwa lata po urodzeniu się Agaty zmarła ich mama, którą żegnał z udawaną rozpaczą, bo już zdążył się tego nauczyć. To matka zainicjowała pomysł, by wysłać go za granicę, jakby chciała się pozbyć syna, a zająć przede wszystkim córką. Miał

po niej płakać? Niedługo potem odszedł ojciec. Tym razem Maksymilian nie przyjechał na pogrzeb. Nosił na grzbiecie niewidoczne, lecz bolesne pręgi po uderzeniach i wciąż na nowo przypominał sobie podbite oko, uszkodzony łokieć. Pamiątki po tatusiu, którego serdecznie znienawidził. Zostali zatem tylko oni – Maksymilian i Maria. Ona zawsze po jego stronie. Nawet kiedy był najbrzydliwszy. Nawet gdy matka powiedziała kiedyś w gniewie, że żałuje, iż go urodziła. A teraz Maria miała jednak swoje życie rodzinne i jedyne, co im pozostawało, to rozmowy telefoniczne od czasu do czasu. Siostra nigdy nie dała się namówić na to, by go odwiedzić. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki piękny świat mógłby jej pokazać. Ale pewnie też podświadomie wiedziała, że zmieniałaby go swoją wizytą. Albo powróciłby Maksymilian, którego nikt nie chciał pamiętać. Teraz ważna była Agatka, najważniejsza na świecie. A ona też nie chciała odwiedzać swojego wujka.

Maksymilian zasypia prawie natychmiast po tym, jak w żołądku znikają mu ostatnie kęsy pizzy. Telewizor wyłącza się automatycznie. Dopiero około pierwszej w nocy Maks wybudza się, rozbiera, chce wziąć prysznic, jednak rezygnuje. Noc przesypia spokojnie, ale poranek przynosi mu jakiś niepokój. Właściwie nie ma planu na ten wolny dzień. Może pojedzie do Ersfjordbotn, złapie te nieliczne godziny słońca. To jego ulubione miejsce. Najpiękniejszy norweski fiord, a widział ich bardzo wiele. To będzie dobry pomysł, taka wycieczka oderwie go od codzienności. Dopija poranną kawę i niespiesznie zmierza do samochodu. Włącza ulubioną muzykę, rusza przed siebie. Zastanawia się nad tym, jak ten dzień rozpoczyna jego siostra.

Oszołomiony doznaniem dnia i doświadczony silnym chłodem, wraca do domu prawie zadowolony. Teraz byłby czas na to, aby porozmawiać z Marią. Ale rozumie, że zęby Agatki są najważniejsze. Cała pieprzona Agatka skupia uwagę Marysi i odbiera mu siostrę. Maksymilian czasem ma wrażenie, że ich telefoniczne rozmowy Maria odbywa z przyzwyczajenia i nie dają jej one takiej frajdy jak jemu. Ma czasem głupie myśli, że siostra już go nie kocha. A wtedy nie kochałby go nikt na tym świecie.

Wieczór mija mu sennie i bez sensu. Maksymilian przegląda dokumenty, z którymi musi się zapoznać do następnego dnia. Lubi swoją pracę, bo wykonując ją, przestaje być sobą. Jakby włączał się w nim tryb innego, empatycznego człowieka. Tak to ktoś kiedyś określił: ten chłopiec nie wie, co to empatia. Już wie, już się tego nauczył. Dzięki temu zarabia świetną kasę w sposób, który daje mu satysfakcję, bo w pracy wciąż udaje. A lepiej mu funkcjonować, kiedy jest kimś innym. W roli.

Dzwonek telefonu rozrywa ciszę nocną, wdziera się do świadomości Maksymiliana i wybudza go z jakiegoś przyjemnego snu erotycznego. Z penisem we wzwodzie podchodzi do aparatu, zaskoczony porą jego aktywności. Czyżby ktoś z pracy? Jakaś nagła interwencja? Nie, nie dzwoniliby akurat do niego o tej porze. Co się wydarzyło?

Jego nogi stają się jak z waty, kiedy dowiaduje się, że wydarzyła się śmierć. Dwie śmierci. To ojciec szwagra komunikuje mu wszystko łamiącym się głosem, Maksymilian chwilami nie rozumie, co on bełkocze, potem dociera do niego przerażająca prawda i znowu nie jest w stanie nic powiedzieć. Potworny wypadek. Ktoś wyjechał z podporządkowanej. Piotr zmarł na stole operacyjnym w szpitalu, Maria zginęła na miejscu, nie miała zapiętych pasów. Agata przeżyła, jest trochę poturbowana, ale zasadniczo nie ucierpiała. Dostała środki uspokajające i zatrzymali ją na obserwacji w szpitalu.

Od słowa „Agata” Maksymilian się wyłącza. Coś jeszcze słyszy, jakieś strzępy relacji, szczegóły tego nieszczęśliwego wydarzenia. W jego głowie wybrzmiewa wciąż na nowo tylko jedno zdanie: Maria zginęła. A potem kolejne, które sobie w myślach dopowiada. Marii nie ma. Maria do ciebie nie zadzwoni. Maria jest już tylko wspomnieniem.

Pali go czaszka, ma wrażenie, że głowa mu eksploduje. Wychodzi przed dom, rzuca się w śnieg, robi orła, wstaje, nie otrzepując się, a potem na tym zimnie, w samym tylko T-shircie i spodniach dresowych, zaczyna płakać. I płacze do momentu, w którym jego lodowate stopy nie zaczną boleć. Wstaje, wchodzi do domu, ścieka z niego woda, jest przemarznięty do szpiku kości. Następnego dnia

bierze urlop na życzenie i szuka najlepszych połączeń lotniczych do Warszawy. Możliwości jest niewiele, ale nazajutrz będzie przy ciebie siostry.

Pakuje się kompulsywnie, zabiera jakieś niepotrzebne rzeczy. Lecąc, przypomina sobie wszystkie dobre chwile z Mari, jakby to miało zmienić rzeczywistość. Kiedy na miejscu wita go wzrok smutnej Agaty, ma ochotę przyłożyć jej w twarz. Gdy ona chce się przytulić, Maksymilian odpycha ją, patrzy jej głęboko w oczy. Tkwi w nich groza, jednak dociera do niego, że to dziecko cierpi pewnie bardziej niż on. Wie z pracy, że tak jest. Że trzeba to zrozumieć i się nad tym pochylić. A nawet wycisnąć z oczu łzy, co Maksymilian umie robić na zawołanie. Potem więc wspólnie płaczą.

Tymczasem po chwili współczucia dla trzynastolatki w jego sercu już tego wieczoru z gniewu rodzi się nienawiść. Ma ochotę połamać te małe rączki, które wreszcie zbliżają się do niego, i uderzyć w brzuch to ciało, któremu pozwala się w końcu do siebie przytulić. Jakie to obrzydliwe. Ale ludzie to robią, tulą się do siebie. Rób tak jak wszyscy, nie odstawaj. Nie pokazuj wstrętu. Przytul się, jak należy.

Maksymilian jest rozpaczą i nienawiścią. To Agata odebrała mu jedyną najbliższą osobę. Dlatego za to odpokutuje. Maksymilian ma plan i zamierza wprowadzić go w życie. Nienawiść do Agaty, którą obwinia za śmierć siostry, dopiero delikatnie pęcznieje. Pulsuje pod skórą, zmienia go w kogoś, kto przez lata jako jedyny śmiał się z cierpienia kota. Wybuchnie już kilka tygodni później, pośrodku mroźnej norweskiej zimy, kiedy jako prawny opiekun zrobi to, na co wcześniej miał ochotę, i po raz pierwszy da Agacie w twarz.

Tromsø/Ersfjordbotn

Agata często śpi bardzo niespokojnie. Wciąż na nowo śnią się jej wydarzenia sprzed kilku miesięcy, samochód wyjeżdżający z bocznej drogi, przeraźliwy huk i dźwięk wyginającej się stali, który na zawsze pozostanie jej w pamięci. Potem to, co widzi, czyli bezwładne ciało matki tworzące koszmarną mieszaninę z rozbitą

przednią szybą, wyrzucone do przodu na maskę samochodu, oraz zakrwawioną głowę ojca, która odstaje od zagłówka, płynie z niej krew, dużo krwi. Te obrazy mieszają się z obrazami ucieczki przed tym, który obecnie stanowi jej koszmar na jawie.

Raz Agata śni o jakimś ciasnym, gumowym tunelu, którym się przemieszcza, słysząc gdzieś w głowie nawoływania. W tunelu jest duszno i Agata ma wrażenie, że on się zwięża. Idzie cały czas w mrok, a po pewnym czasie trudno jej już oddychać. Budzi się w momencie, kiedy jego palce chwytają ją za ramię. Poduszka jest na podłodze, kołdra wilgotna od jej potu. Agata próbuje uspokoić oddech, wstać, pójść do łazienki, przemywa wodą twarz.

To jedna z tych nocy, po której czuje się bardzo źle. Jest dzień wolny, zaraz wszędzie słońce, jest go teraz całkiem sporo, choć zima nie ma tutaj końca. Agata zamyka okno, które on najwidoczniej zostawił uchylone na noc, kuchnia jest pusta i lodowata, w powietrzu czai się jakaś groza, Agata chciałaby tego dnia jednak iść do szkoły. Decyduje się na przyrządzenie tostów, opieka je z serem, w międzyczasie gotuje wodę na herbatę, wcześniej wypija szklankę wody. Tutaj można pić wodę z kranu. Za pierwszym razem nie dowierzała, była przekonana, że to jego kolejna tortura, każe jej pić wodę bez przegotowania, żeby bolał ją brzuch. Nic nie bolało, kranówka jest pyszna.

Agata dostrzega, że wszystko jest tu inne niż w Polsce, lecz najbardziej doskwiera jej brak słońca. On mówi, że niedługo będzie go miała po dziurki w nosie. Na razie wschodzi późno, Agata w półmroku szykuje śniadanie i liczy na to, że zje szybko, nie spotka się z nim tutaj, kuchnia to miejsce, w którym rzuca w nią czymś albo głośno przeklina. Po polsku i po norwesku. Po co ją w ogóle zabrał do siebie? Jak to się stało, że tak gładko przyznano mu opiekę nad nią?

Tosty są gotowe. Kiedy nakłada je na talerz, odsuwa krzesło i ma nadzieję, że zje w spokoju, jednak on pojawia się obok, człapie, podchodzi do kuchennego blatu, szuka czegoś w szafkach, gotuje wodę i robi sobie kanapki. Agata nie wie, czy może spokojnie przełykać, co się wydarzy za chwilę, każdy poranek z nim to

zapowiedź czegoś najgorszego. Trzęsie się mimowolnie zawsze, gdy są wspólnie w jednym pomieszczeniu tego domu.

– Zrobimy sobie dzisiaj wycieczkę. – Ton jego głosu jest wyjątkowo łagodny, ale jak zwykle władczy. – Musisz ruszyć dupę i zobaczyć, jak tu pięknie. Niczego jeszcze nie widziałaś.

Agata nie ma nic do powiedzenia. Żuje tosty i stara się nie myśleć, jakim obrzydzeniem napawa ją jego obecność tuż za plecami. Boi się też dlatego, że go nie widzi. To niebezpieczne. Zawsze stara się w kuchni ustawiać w taki sposób, aby on był w polu jej widzenia, kiedy wejdzie. Jest bardzo czujna, gotowa w każdej chwili uciec. Z drugiej strony wie, że tu nie ma dokąd uciekać. Może jedynie wybiec z domu. Ale jeśli sąsiedzi coś zobaczą, będzie to mieć konsekwencje. Czeka na dalszy ciąg tego, co on chce powiedzieć.

– Pokażę ci miejsce, do którego lubię jeździć, kiedy coś mnie denerwuje. Albo ktoś. Najczęściej ty.

Ponownie w jej myślach powraca wątpliwość i ma ochotę mu wykrzyknąć: „To po co mnie do siebie zabrałeś?”. Wybiera milczenie, tylko ono jest bezpieczne. Już praktycznie nie ma nic na talerzu, już mogłaby stąd wyjść. Ale wie, że nie wyjdzie. Jest sparaliżowana strachem. Kiedy on zaczyna zwykłą, niezobowiązującą pogawędkę, a ona się odezwie, za każdym razem kończy się to dla niej źle.

On bierze talerz ze swoimi kanapkami, kubek z kawą i siada naprzeciwko niej. Jest rozczochrany, ma na sobie dresy, które chyba nie są pierwszej świeżości. Białe, trochę na niego za duże. Patrzy na nią wzrokiem, w którym chwilowo nic się nie czai. Agata przez chwilę ma nawet wrażenie, że się uśmiechnie. Ale on nie umie się uśmiechać, potrafi tylko sztucznie rozciągać mięśnie twarzy, kiedy chce pokazać światu, że jest zadowolony albo coś go cieszy. Ona wie, jaki jest naprawdę. Wie, że wciąż udaje. Ale dziś jest jakoś inaczej. Widać, że mu na czymś naprawdę zależy.

– Nie chcesz pojechać ze mną na wycieczkę? – Pytanie na chwilę zawisa w próżni.

– Tak... – szepcze Agata.

– Co „tak”?

– Chcę pojechać z tobą na wycieczkę.

On milczy i przeżuwa. Słysząc tykanie zegara, każda sekunda generuje w Agacie większe napięcie.

– Powiedz to po norwesku.

Agata usiłuje znaleźć tych kilka słów w obcym języku i złożyć w coś na kształt zdania. Układa je w głowie. Rezygnuje.

– Chyba nie potrafię.

– Aleś ty głupia, to proste zdanie. – On się śmieje i powtarza je po norwesku. Rzeczywiście, konstrukcja nie jest trudna, dałaby radę ją stworzyć, gdyby była spokojna i skupiona. Ale skupiona jest tylko na nim, na twarzy, która teraz nic nie wyraża. Nie wie, czy planowanie tego wyjazdu sprawia mu przyjemność czy po prostu znowu wymyślił coś, co ma być dla niej przykre.

– Włóż wygodne i ciepłe ubrania. Dobre buty. Uczesz się, bo wyglądasz jak czarownica. Jak zjem, ruszamy.

Agata chciałaby odpowiedzieć, że jego włosy również domagają się grzebienia, ale zostawia to dla siebie. Wstaje, karnie zmywa talerzyk po śniadaniu, płucze kubek, odstawia go na miejsce. Bardzo dokładnie wyciera ręce. Czyli nic złego się nie wydarzy. Nie w tej chwili. Strach powoli ją opuszcza. On tymczasem dopija kawę, przeciąga się i kończy jeść ostatnią kanapkę.

Po kilkunastu minutach są gotowi do drogi. Agata jest pełna lęku, nigdy z nim nie wyjeżdżała, w ogóle od wypadku boi się samochodów i on doskonale wie, że wsiadając, drży, chociaż nie chce niczego po sobie pokazać.

Próbuje usiąść z tyłu, lecz on każe jej siedzieć obok siebie. Agata natychmiast po zajęciu miejsca zapina pas bezpieczeństwa. W samochodzie roznosi się jego zapach. Zna go doskonale, to zapach śmiertelnego wroga. On rusza dość gwałtownie, spod opon wypadają płaty śniegu. Jedzie jednak powoli, jest dobrym kierowcą. Długo się zastanawia, zanim decyduje się wyminąć dwa auta. Agata

wciąż nie może się pozbyć strachu przed tym, że znowu jest w samochodzie. Postanawia zdobyć się na pytanie.

– Dokąd jedziemy?

– Powiedz po norwesku – nalega on.

Agata powtarza. To akurat jest proste. Nie jest głupia, stara się szybko uczyć tego języka, bo wie, że bez niego może tu zginąć, zdana tylko na niego. Rozgląda się wokół, naprawdę jest ciekawa celu podróży. Okolica oszałamia pięknem.

– Poza wyspę – odpowiada jej. – Musisz zobaczyć jeden z najpiękniejszych fiordów w północnej Norwegii. Spodoba ci się. Będiesz miała o czym opowiadać w szkole.

To bolesny przytyk do tego, co wydarzyło się niedawno. Agata nie kryła tego, że ma zaczerwienienie na ramieniu, które dość mocno bolało, powiedziała o tym nauczycielce. A dokładniej zakomunikowała, że on ją uderzył. Ręką. W ciągu najbliższych dwóch godzin był w szkole. Wściekły na nią, słodki dla nauczycielki. Nie rozmawiali długo. Wtedy widziała, jak udaje uśmiechanie się. Jakoś zatuszował to, co zrobił, w każdym razie nie było dalszego ciągu. W domu dostała przez kurtkę wiele razy.

– Jeszcze raz, zasrana gówniario, powiesz o tym, co się dzieje w domu, to więcej nie zobaczysz szkoły! – krzyczał w furii między kolejnymi razami. – Wiesz, co to jest nauczanie domowe? Mogę ci takie załatwić i w ogóle nie będziesz stąd wychodziła!

Ciosy spadały na nią jeszcze przez kilka minut. Kuliła się w sobie, aby ból był jak najmniejszy. Potem zdjęła kurtkę, wróciła do pokoju i długo płakała. Nie było żadnych śladów. Nie było żadnego wspomnienia. Zrozumiała, że jest skazana na życie z potworem.

A teraz on uśmiecha się złośliwie, wypowiadając to ostatnie zdanie.

Słońce jest już dość wysoko nad horyzontem. Agata zastanawia się, do jakiej wysokości uda się mu dzisiaj wspiąć. Jadą przez śnieg pośród wzgórz. Powoli

opuszcza ją lęk, on naprawdę prowadzi bezpiecznie, nie spowoduje żadnego wypadku.

Dopiero gdy wjeżdżają na most i opuszczają wyspę Tromsøya, Agata zdaje sobie sprawę z tego, że nigdy nie była tak daleko. Początkowo myślała nawet, że miasto leży na stałym lądzie, ale odkąd ujrzała w szkole jego położenie na mapie, miała dziwne wrażenie, że ta wyspa to więzienie, w którym on ją umieścił.

Skręcają w lewo i jadą dalej. Przed nimi ciężarówka, on długo zastanawia się, czy ją wyminąć, w końcu się decyduje. Znowu są sami na drodze. Widoki bardzo ładne, Agata próbuje się na nich skoncentrować. Zabudowania tutaj przypominają jej trochę polskie miasteczko, jednak domy są bardziej zadbane i większość w podobnym stylu. Dużo drewna i kolorów. Dominuje czerwony. Słońce chwilowo chowa się za chmurami, a on włącza muzykę, żeby przerwać męczącą ciszę.

Dojeżdżają na miejsce. Mocno wieje. Widok robi naprawdę wielkie wrażenie. Woda jakby zatrzymana w wielkim basenie i w oddali wąski przesmyk, przez który łączy się już z otwartym morzem. Agata myśli o sobie, że jest tą skłębioną wodą w fiordzie i nie może dostać się do wyjścia, uwolnić od niego. On zastyga i można odnieść wrażenie, że chce się wtopić w pejzaż. Jakby rzeczywiście tu pasował, jego lekko pochylona sylwetka, uśmiech na twarzy. Za nim góry, całkiem jeszcze zaśnieżone, ale odsłaniające się w dolnych partiach. Szum fal uderzających o brzeg jest bardzo głośny. Dlatego on celowo podchodzi bliżej, kuca przy niej, nachyla się do jej ucha i szepcze:

– Tu jest tak pięknie, prawda? Pięknie do utraty tchu.

Agata przytakuje. Jest zimno, a powietrze, które jej wtłoczył do ucha zaczyna nieprzyjemnie wibrować, jest wręcz gorące.

– Chciałbyś tu mieszkać? – To chyba pierwsze dziś słowa, które wychodzą z niej bez przymusu. Agata kieruje wzrok ku nieodległym domom, jest ich tu kilka, mieszkają w nim na pewno sami samotnicy.

– Kiedyś o tym myślałem. – Wstaje do pozycji wyprostowanej, patrzy w dal, morze wciąż głośno daje o sobie znać i musi mówić głośniej. – Rozglądałem się za

jakimś wolnym domem. Nie było szans. Przyjeżdżam tu sobie, żeby się zrelaksować.

– Podoba mi się. Dzięki, że mnie tu przywiozłeś. – Agata przez moment myśli o tym, aby się uśmiechnąć, jednak wie, że to będzie niestosowne. W tym surowym nordyckim pięknie nie ma miejsca na żadne uśmiechy. I ma rację. Bo kiedy on ponownie się do niej zwraca, jego twarz jest jak z kamienia i przypomina tę, która towarzyszy zawsze najbardziej bolesnym uderzeniom.

– Jeżeli jeszcze raz powiesz komukolwiek, że robię ci jakąś krzywdę, zrobię ją naprawdę. Wiesz, jak głęboki jest ten fiord? I że są tu przy pływy i odpływy?

Agata nie rozumie, do czego on zmierza, ale widzi, że to ten ktoś, kogo trzeba się bardzo bać. Zbyt szybko o nim dziś zapomniała, zaaferowana podróżą. W nim nie ma nic ludzkiego. Nie sposób sobie wyobrazić, że to rodzony brat jej wrażliwej i kochanej mamy.

– Zabiję cię – kontynuuje bez emocji. – Po prostu cię zabiję, potem tu przywiozę i wrzucę do tej wody. Wypłyniesz na otwarte morze i nikt cię nie znajdzie.

Agata drży. Zaczyna wiać mocny wiatr. Natychmiast robi się o kilka stopni chłodniej. Patrzy w dal i udaje, że nie docierają do niej jego słowa.

– Słyszysz, gówniaro?! – Jego krzyk pokonuje szum wiatru. Patrzy na nią z wściekłością. Jak bardzo kontrastuje ona z surowym, lecz jednak wszechobecnym spokojem tego miejsca.

– Tak – odpowiada Agata.

– Odpowiesz pełnym zdaniem? – Zbliża się do niej, jest dosłownie o krok, może ją popchnąć, a wtedy ona upadnie na kamienie, potłucze się.

– Mam nikomu nie mówić o tym, co mi robisz, bo inaczej mnie zabijesz i tu utopisz – wypowiada to jak wyuczoną formułę, mając nadzieję, że nie będzie jej kazał powtarzać tego po norwesku.

Ale najwidoczniej dobrze się zrozumieli. Ona jest pewna, że on nie żartuje. Że może to zrobić właściwie w każdym czasie, a ona zniknie i nikt się tym nie

zainteresuje. Do umysłu Agaty właśnie tu, nad brzegiem tego pięknego fiordu, dociera, że musi rozpocząć grę o przetrwanie. Jest w niej sama. Musi znieść wszystko. Nikt nie będzie się przejmował, jeśli nagle jej zabraknie. Ma tylko siebie. Musi o siebie walczyć. A on dyszy nienawiścią, bo wciąż na nowo wtłacza sobie do tego popieprzonego łba, że jego siostra zginęła właśnie przez nią, miała nie jechać do ortodonta, mieli rozmawiać przez telefon. Agata bierze na siebie tę odpowiedzialność. Może rzeczywiście zasługuje na wszystko, co ją teraz spotyka. Ale zamierza przetrwać. Nikt jej nie zabije ani nie przywiezie tu martwej.

Stoją jeszcze chwilę naprzeciw siebie jak zawodnicy boksu mierzący się wzrokiem. Agata oczywiście po kilku sekundach patrzy już tylko na wilgotne szare kamienie pod swoimi stopami. Wracają w całkowitym milczeniu. Zapewne każde z nich obmyśla swój plan. On zastanawia się nad tym, ile jeszcze krzywd jej wyrządzić. A ona myśli nad strategią zniesienia tego wszystkiego. Dziś wie, że zaczyna życie w piekle. Nie wiedziała, że może być w nim zimno i tak pięknie.

Alta

Agata ma policzki zaczerwienione od zimna i jest bardzo szczęśliwa. Dziś Michał jest jej wymarzoną mężczyzną i nie ma w nim nic irytującego. Po prostu doskonałość, a nad nimi wkrótce zacznie się świetne przedstawienie. Chciałaby tę chwilę zatrzymać na zawsze. W hotelu zapytała go, czy nie przeniósłby się do niej. Żałowała już w chwili, w której ta deklaracja padła. Wiedziała, że to za wcześnie. Że tak nie może być. A jednak słowa wydobyły z jej ust, a on, szczęśliwy, się zgodził. Teraz stoją tu razem, projektując swoją przyszłość. Czekają na podniebny spektakl.

Bjorn ma jakiś specjalny radar, dzięki któremu namierza intensywność aktywności czegoś, o czym Agata nie ma bladego pojęcia, ale on potrafi zaprowadzić widzów do miejsca, w którym zorza prezentuje się naprawdę doskonale. Czasem wyjeżdża naprawdę daleko, lecz dzisiaj zatrzymali się po kilkunastu kilometrach gdzieś w szczerym polu, pośród śniegu i pustki. Teraz całą

czwórką pokrzykują z zachwytem, kiedy do widocznego już ogona dołącza się kolejny kolorowy pasek. Jest w tym wszystkim niebywała magia i Agata widzi, że Michał obserwuje niebo z zachwytem. Bjorn mówi, że lokalsi celebują zorzę za każdym razem, kiedy ją widzą, to ich dobro narodowe, Agata czuje się dumna, że jej także. Michał całuje ją w policzek, podskakuje jak mały chłopiec, jest w euforii i wciąż na nowo powtarza, że to wszystko jest niebywale piękne.

Zorza chwilowo się chowa. Agata bierze dwa machy od Toniego, który mówi, że papieros najlepiej smakuje po posiłku, seksie i przy oglądaniu zorzy polarnej. Może ma rację. Ta noc jest pełna pozytywnej energii. Agata bardzo lubi chłopaków, docenia ich pasję – choć to chyba bardziej Bjorn zaraził nią swego męża, bo Toni jest też zdystansowany do widowiska. A jednak widać zachwyty na jego twarzy.

Zorza wraca. Ich wzrok, przyzwyczajony już do ciemności, dostrzega coraz więcej, choć na żywo widoki nie są takie spektakularne jak na wszystkich tych zdjęciach z filtrami. Bjorn mówi, że robi im właśnie teraz parę fotografii i że padną, jak je będą potem oglądać. Ustawiają się razem w kilku pozach. Michał mocno ją przytula i Agata czuje, że jest on miłością, która emanuje wokół. Przy jednym ujęciu kąpią się w śniegu po pas, bo nie zauważyli, że otulił jakieś obniżenie terenu i po prostu wpadli w dół. Śmieją się, otrzepując i wydostając z rowu, jest im bardzo gorąco mimo zimna, to na pewno z emocji.

Toni też robi sobie fotkę z Bjornem do ich imponującej kolekcji, którą oglądali u nich w domu. Michał pyta, czy jest możliwe, żeby stanęli do zdjęcia we czwórkę. Bjorn ustawia aparat na statywie i wskakują w śnieg, ale to ujęcie nie będzie najlepsze, zorza jest kapryśna, akurat w tym momencie nie pokazała wszystkiego, co potrafi. Nie przeszkadza im to jednak. Są zadowoleni.

Po godzinie, w pełni nasyceni sobą i widowiskiem, powoli zaczynają odczuwać chłód. Podniebny pokaz też już się kończy. Pora wracać. Przyjaciele Agaty do siebie, oni do hotelu. Jutro znowu lot. Króciutki, ale ona już czuje ukłucie w żołądku, gdy o nim myśli. Rano trzeba oddać samochód. Muszą wstać dość wcześnie, nie wyśpią się.

Michał mówi, że tym razem wbija adres hotelu w GPS, więc Bjorn z Tonim żegnają się z nimi serdecznie, ściskają się, obiecują jak najszybsze dostarczenie fotek. Agata wsiada do samochodu rozluźniona, włącza ogrzewanie, czuje się bardzo dobrze, a z jej brwi spływają drobinki wody. Natychmiast zapina pasy bezpieczeństwa. Michał też wytrzepuje śnieg z czapki, próbuje uwolnić od niego buty i pewnie siada za kierownicą.

Jadą szczęśliwi, z wciąż żywą zorzą przed oczami. Wokół jest mało zabudowań, ale im bliżej są Alty, tym więcej pojawia się uroczych norweskich domków. Noc pochłania wszystko, a drogę oświetlają reflektory, Michał włączył długie światła, nic nie jedzie z naprzeciwka. Samochód chłopaków jadący przed nimi znika gdzieś na horyzoncie. Potem droga się wiję, w aucie robi się przyjemnie ciepło, a Agata ma wrażenie, jakby była teraz bohaterką filmu „Mullholand Drive” tylko w wersji nordyckiej, z wszechobecnym śniegiem wokół.

Nie wie, czy Michał traci czujność z powodu tego, że się rozgrzał, ale głucho uderzenie w maskę samochodu świadczy o tym, że stracił ją na pewno. Hamuje i momentalnie się zatrzymują. Oboje drżą, a Michałowi trzęsą się ręce na kierownicy.

– Co to było? – pyta Agata. – Wjechałeś w łośia?

Michał jest jak sparaliżowany. Milczy. Oddycha głęboko. Twarz mu tężeje. Agata otwiera drzwi i kiedy chce wysiąść, on wraca do siebie, powstrzymuje ją dość gwałtownie, mało delikatnie. Po raz pierwszy, odkąd są razem, jego gest jest taki stanowczy.

– Zostań w aucie – mówi. – Pójdę zobaczyć, co się stało.

Reflektory oświetlają przestrzeń przed nimi. Zaczyna delikatnie prószyć śnieg. Jest niebywale cicho, a chłód wdziera się do auta przez otwarte drzwi. Michał wysiada i idzie za samochód. Włączył latarkę w telefonie, oświetla każdy centymetr mijanej powierzchni. Agata nie może usiedzieć na miejscu, również wysiada, idzie w jego stronę. Jakies sto metrów za samochodem leży ciało. Mężczyzna jest wysoki i szczupły, ma na sobie za lekką kurtkę jak na taką pogodę.

Nie rusza się. Ma otwarte złamanie nogi, kikut wygląda przerażająco, kość przebiła się przez materiał spodni. Ten człowiek jest nieprzytomny. Michał wpatruje się w niego jak zahipnotyzowany.

Agata chce podejść i dotknąć szyi mężczyzny, sprawdzić jego puls.

– Zostaw go! – Krzyk Michała nie przypomina niczego, co kiedykolwiek słyszała. Jest w nim gniew, desperacja, ale przede wszystkim strach.

– Musimy mu pomóc – odpowiada Agata, jednak nie rozumiejąc dlaczego, odsuwa się od mężczyzny. Nie wygląda, jakby jeszcze żył. Leży nieruchomo. Padający śnieg staje się coraz bardziej gęsty. Najbliższe zabudowania znajdują się kilkaset metrów dalej, nikt nie jest świadkiem tego dramatu.

– Nie ruszaj się stąd. Nie dotykaj go. – Michał kieruje się z powrotem do samochodu. Agata nie widzi tego wyraźnie, ale chyba ogląda jego przód. Bada, czy nie ma tam jakichś śladów po wypadku?

A jej stają przed oczami wydarzenia, których nigdy nie wymaże z pamięci. Siedziała na tylnym siedzeniu, przerażona i niema w swojej rozpacz. Była cichutka, patrząc na martwą matkę i – jak wtedy myślała – martwego ojca. Była cieniem samej siebie, rozmasowując delikatnie zdrtwiałe ramię. Tamten facet robił to samo co Michał. Najpierw podszedł do ich samochodu. Widział matkę na masce, ojca uwięzionego w pasach. Nie widział dziewczynki w szoku, która na tylnym siedzeniu jakby nie istniała. Było za ciemno, aby ją dostrzegł.

Ale ona widziała wszystko. Nie pomógł rodzicom. Nie wezwał pomocy. Tak jak Michał, poszedł oglądać swój samochód, na pewno miał on wgniecenia, to było bardzo silne uderzenie. Zresztą Agata widziała, że po skroni spływa mu krew, nie można było tego tak zatuszować. A jednak chciał to zrobić. Otworzył drzwi swojego auta, z trudem je zamknął, bo jednak były wygięte i po prostu odjechał w noc. Agata została sama z ciałami rodziców i szlochem wzbierającym w niej coraz mocniej.

A teraz patrzy na Michała i nie może uwierzyć w to, co widzi, ale przede wszystkim w to, co słyszy. Wszystko się powtarza. Kolejny skurwysyn, który nie

chce pomóc swojej ofierze. Wraca do niej i mówi:

– Przód nienaruszony. Nie ma żadnych śladów. Musimy stąd jak najszybciej spieszyć.

Agata z trudem łapie oddech. Ma wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Nie odbywa się po raz drugi. Zmarzła i rozciera dłonie. Chce popchnąć Michała, wrzucić go w zaspę, krzyczeć i wzywać pomocy, ale nadal stoi w milczeniu. Oskupiała tym, że przeżywa znowu ten sam dramat, jednak jest w lepszej sytuacji, ona przeżyje, ten człowiek na śniegu nie.

– Zwariowałaś? Dzwoń po karetkę, musimy mu pomóc.

– To ty zwariowałaś. – Nie poznaje Michała, to nie jej Michał, to jakiś bezwzględny potwór w jego przebraniu. – Jeśli to zgłosimy, na pewno zostaną ukarani. Jestem tuż przed przyznaniem mi obywatelstwa, nie rozumiesz? Nigdy go nie dostanę, jeśli będę mieć założoną policyjną kartotekę.

Agata próbuje się opanować. Michał w żaden sposób jej nie przekonuje. To co on mówi, wydaje się absurdalne, ale i okrutnie prawdziwe. Jednocześnie stara się analizować to, co usłyszała. Nie może się zgodzić z tymi argumentami, a przecież się zgadza. On ma rację. I jej nie ma, bo tuż obok nich umiera człowiek, tak samo jak umarli jej rodzice. Też w ciszy i osamotnieniu.

– Nie możemy go tak zostawić. Uderzyłeś w niego, nie widzisz? Jest połamany.

Michał podchodzi do niej, bierze ją w ramiona, śnieg jest już naprawdę gęsty, za chwilę zatrze nawet ślady opon i jeśli stąd odjadą, w białym puchu pozostanie tylko ten mężczyzna.

– Spójrz na mnie! – krzyczy, ścierając z jej twarzy płatki śniegu. Trzyma ją w mocnym uścisku. – Za chwilę będzie tu na pewno jechało jakieś auto. Ktoś go znajdzie. Zajmie się nim. Jeśli to teraz zgłosimy, będę mieć przesrane. Na zawsze pozostanę w tym kraju emigrantem bez pełnych praw.

Agata ma wilgotne oczy, ale jest już spokojna. Przynajmniej wmawia sobie, że próbuje złapać równowagę. Nadal ma wrażenie, że gra w jakimś filmie, to wszystko nie dzieje się naprawdę.

– Dajesz sobie prawo do tego, żeby decydować o życiu drugiego człowieka? – mówi. – Przecież nawet jeśli żyje, za chwilę tu zamarznie, nie widzisz, jak jest ubrany?

Twarz Michała zniekształca złość. Nigdy go takim nie widziała i nigdy później nie zobaczy. Jednak jest tu z nią. Przerazający. Ale stara się nad sobą panować. Wie, że musi ją jak najszybciej przekonać do tego, by stąd odjechali. Tymczasem ona jednocześnie patrzy na niego i widzi tamtego mężczyznę w mroku, którego pamięta już tyle lat. Ma wrażenie, że obaj są tym samym. Złem, z którym musi walczyć, które przez całe życie ją prześladowuje.

– Kochanie, ruszajmy. Zaraz ktoś tu przyjedzie. Musimy jechać. Będzie dobrze.

Sama nie wie, co przekonuje ją do tego, by iść z nim do samochodu. To, jak delikatnie, lecz stanowczo chwyta ją za łokieć i prowadzi, czy to, że traci całą pewność siebie, może myśleć tylko o mężczyźnie leżącym w śniegu. I wie, że zostawia go w potrzebie. Że jej mężczyzna jest człowiekiem takim samym jak tamten, który porzucił ją pośród łez i krwi.

Wsiada do auta, zapina pasy, patrzy przed siebie, widzi tylko śnieg. Jest przekonana, że jeśli przez najbliższe kilka minut nie przejedzie tą drogą inny samochód, ciało potrąconego zniknie w bieli. Michał rusza zdecydowanie. Obojgu jest w samochodzie za gorąco. Przystaje padać. Chmury chyba ustępują. Agata widzi wyłaniający się z mroku księżyc. Jest jedynym świadkiem ich zbrodni i teraz oświetla ofiarę. Michał wyłącza ogrzewanie. Jego dłonie na kierownicy poruszają się nerwowo, ale nie drżą. Agata się mu przygląda. Jedzie spokojnie, jest zdecydowany, podjął decyzję i się nie cofnie.

Pod hotelowym przysznicem, gdzie stoi pół godziny, podczas których Michał zasypia i jest to dla niej kompletnie przerażające, wciąż zadaje sobie pytanie o to, dlaczego nie zareagowała. Tylko co by było z ich związkiem, gdyby zgłosili to potrącenie? A jeżeli Michał go zabił? Jak miałyby teraz pozostać bez niego? I jak ma żyć z nim po tym wszystkim, co chciał ukryć przed światem?

Podczas lotu powrotnego Agata jest blada i nieobecna. Kiedy docierają na miejsce, znika na kwadrans w lotniskowej toalecie. Wymiotuje i czuje się słaba. Nie umie zacząć kolejnego dnia. Nie wie, z kim przyszło jej żyć. Ale wie, że Michał nie uniknie kary za to, co zrobił. Bo sama będzie ją wymierzać. Stopniowo.

Bodø

Maksymilian wreszcie łapie oddech. Tu jest dużo spokojniej, może zacząć od nowa: inni ludzie, inne miasto, nowe doświadczenia i rozmyślanie nad tym, jak pozbyć się tych, które tu ze sobą przywłókł. Miasto jest przytulne, jest w nim charakterystyczna cisza, czasem można stracić poczucie czasu. Na pewno będzie mu w nim dobrze.

Maksymilian Snissen jest już Maxem Novakiem, ma stałą pracę i w zasadzie całkiem nowe życie. Dopiero po roku obecności tutaj senne obrazy Agaty, które nie dawały mu spać, powoli się spakowały i odeszły w przeszłość. Max wie, że w zasadzie przez te wszystkie lata opieki nad nią nie uzyskał tego, czego oczekiwał, żadnej ulgi, a bolesna pamięć po siostrze wciąż go dręczy. Tęskni za Mari i czasem wspomina ją ze łzami w oczach. To zaskakujące, że pomaga tak wielu ludziom, a wobec tego, co znajduje się w jego głowie, wciąż jest bezradny, choć uważa, że dużo nad sobą pracował i stał się kimś innym – nie tylko dlatego, że ma nowe imię i nazwisko. Nie rządzi nim już ślepa furia blokująca mu kontakt z samym sobą. Stara się docenić siebie znajdującą się w jakimś swobodnym bezczasie. Nauczył się być człowiekiem. I wreszcie znalazł spokój, może oddychać swobodnie, nie musi się już więcej męczyć.

Odkąd Agata zaczęła stawiać czynny opór, nosić wszędzie ze sobą te noże i zachowywać się jak dzikie zwierzę, Max wiedział, że czas z tym wszystkim skończyć. Nie był pewien, na co ona sobie pozwoli, co zrobi. Czy będzie odpowiadał za wszystko, czego dokonał, czy też przyjdzie mu ponieść konsekwencje za jakiś wybrany fragment swoich działań, którymi Agata podzieli się ze światem. Wie, jak bardzo Norwegia nie znosi przemocy, jak walczy z nią ze

wszystkich sił, ale zdaje sobie sprawę z tego, że jakkolwiek nazwać jego zachowania, były one jedynie wymierzaniem słusznej kary. I Agata cały czas miała tego świadomość, dlatego funkcjonowali razem w wewnętrznym napięciu, ale cały świat nie miał pojęcia o tym, kto i za co wymierza w ich domu karę.

Max jest mocno zmęczony rozmyślaniami o latach spędzonych w Tromsø, o zobowiązaniu, którego się podjął i o tym, jak każdego roku coraz bardziej tego żałował. To dziecko mogło trafić do jakiejś rodziny zastępczej, a trafiło do niego, bo najbliższa osoba będzie wspierać i opiekować się nim, prawda? Był taki przekonujący, gdy załatwiali w Polsce sprawy służbowe. Czuły i wzorowy wujek. Dziewczynce będzie u niego bardzo dobrze, wyleczy się z traumy, zmiana środowiska jej pomoże. Pan Maksymilian jest najlepszym wyborem. Dziecko nie mogłoby trafić lepiej.

Agata na pewno odetchnęła z ulgą, gdy znalazła jego kartkę na stole. Nie mogła się z nim kontaktować, ale on za pośrednictwem kilku znajomych starał się jeszcze przez jakiś czas monitorować, co ona robi. Dziwi się, że postanowiła zostać w mieście, które tak często nazywała swoją klatką. Jednak została. Ponoć nawet z kimś się związała i zamieszkała. Max przestał się tym interesować w momencie, w którym uświadomił sobie, że nic mu już z jej strony nie grozi. Bo lęk o to towarzyszył mu bardzo długo. Wiedział, czym jest czyn karalny, i wiedział, jak bardzo ten kraj stygmatyzuje za przemoc. Jednak wszystko rozeszło się po kościach. Jakby nie zaistniało. A nie istniała przede wszystkim Mari.

Poświęcił kilkanaście lat na zemstę, która nie dała mu żadnej satysfakcji. Pamięta te wszystkie napięte dni i noce, kiedy sam czuł dyskomfort, oferując Agacie jedynie niepewność każdej kolejnej chwili. Wszystko było wtedy męczące, ale Max niczego nie żałuje. Ani jednego wymierzonego jej ciosu. To się jego siostrzenicy należało. Nigdy nawet przez chwilę w to nie zwątpił.

Nie sądził, że będzie taka twarda. Trzymała się naprawdę dzielnie. Miała to po matce. Marysia też zawsze podnosiła się po każdym niepowodzeniu lub krzywdzie, choć w przeciwieństwie do swojej córki potrafiła sporo narzekać. Max miał tego

czasem dosyć, ale i tak zawsze najważniejsze były dla niego rozmowy z siostrą, skoro nie mógł mieć jej przy sobie.

Poleciał na kilka dni do Polski, odwiedził jej grób. Miejsce, w którym nie powinna leżeć. Miejsce, które powinna zająć jej córka. Być może wtedy Mari przyjechałaby do niego, zamieszkaliby razem w Tromsø, jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Mógłby być tak zwanym dobrym człowiekiem. Gdy stał przed ich wspólnym grobem, przez chwilę miał ochotę uszkodzić go, kopnąć z całej siły, jakaś śmieszna bezradność połączona z agresją, uspokoił się jednak, nic nie zrobi, losu nie odwróci.

Przez wszystkie lata życia nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby się z kimś związać. Nie umiał tego. Wiązania się z ludźmi trudno się wyuczyć, to zbyt skomplikowane. Wcześniej były to same przelotne znajomości, intensywny i niezobowiązujący seks, czasem odrobinę przemocy w łóżku, którą jednak lubił, i stanowcze prośby o to, żeby zakładać majtki na zgrabny tyłeczek i spierdalać. Potem nie miał czasu na kobiety, musiał się skoncentrować na Agacie, rozłożyć w czasie swój plan i zorientować się, że to wszystko jest bez sensu, nie zadziałało. Przyjęła wszystkie ciosy i po każdym się odradzała. Może powinien ją po prostu zabić? Max był sfrustrowany, co odbijało się na jego życiu zawodowym. W końcu zdecydował się wyjechać, mógł się zajmować pracą z każdego miejsca w tym kraju. A praca zawsze była dla niego przestrzenią, w której uwalniał się od samego siebie, mógł być kimś innym, wyćwiczył udawanie do perfekcji. Wzbudzał zaufanie. Nie rozumiejąc jednocześnie, jak ludzie mogą być tak durni, żeby ufać komuś takiemu jak on.

Mięczaki. Marudy. Desperaci. Głupcy. Tak widział ludzi wokół. Mają wszystko, a nie potrafią sobie radzić z najprostszymi sprawami. Toną w pieniądzech, a są ubodzy w umiejętności przetrwania i bezradni, kiedy pojawi się jakaś sytuacja kryzysowa. Są tacy dobrzy – dla siebie i dla świata. Śpią na kasie, którą dają im platformy wiertnicze, wypięli się na Unię Europejską, udają wielce pokojowych i tolerancyjnych, a pod spodem są małostkowymi gnojkami, jakich wielu poznał jeszcze w Polsce. To, co mu się podobało, to fakt, że mógł zarabiać

tak dużo na ludzkiej głupocie. Max zrozumiał, że nie potrzebuje milionów koron na koncie. Musiał się zregenerować, unieść porażkę nieudanej zemsty, wynieść się ze swojego domu, który nic dla niego nie znaczył, odkąd ona tam zamieszkała, i przede wszystkim starać się zapomnieć.

Bodø wybrał całkiem przypadkiem, po prostu namierzył przytulny dom na sprzedaż na peryferiach miasta. Nadal jest to północ i nadal zimno, które lubi. Najważniejsze jest jednak to, że nikt go tu nie rozpoznaje. To niesamowite, jak łatwo w tym kraju można zmienić tożsamość, rozpocząć coś zupełnie od nowa. Max liczy lata i wie, że jego życie będzie całkowitą porażką, jeśli teraz nie znajdzie sobie sensownych priorytetów i nie zacznie funkcjonować inaczej. Bez wiecznie zaciśniętych pięści, skwaszonej twarzy, poczucia nieświeżego powietrza w mieszkaniu, które musiał wdychać razem z nią. Bez myślenia, co jeszcze może zrobić, aby uprzykrzyć jej kolejny dzień.

Próbuje sobie uzmysłwić, czy tamte uderzenia, rzucanie różnymi przedmiotami, straszenie tej dziewczuchy i powodowanie, że czasem robiła w majtki z przerażenia, dawały mu wówczas jakąkolwiek satysfakcję. Max rozumie, co robił i zdaje sobie sprawę z tego, że czeka go teraz spokojne życie bez ciągłego napięcia, ale wciąż na nowo widzi przed sobą twarz swojej siostry i ma świadomość, że jednak zrobił za mało. Że to wszystko nie dało mu spełnienia. Zemsta się nie dokonała. Coś zostało rozpoczęte i musiał to porzucić. To wzbudza w nim poczucie dyskomfortu i Max nie umie się cieszyć tym, że teraz może wszystko. Nie może jednak uciec od bólu i wspomnień. Wie, że jego siostra znienawidziłaby go za to, co robi jej córce, ale on miał prawo do swojej nienawiści, do odwetu. Miał prawo myśleć i czuć wszystko, co przez niego przeszło niczym wiązka prądu, który pobudza i jednocześnie niszczy, spala. I nadal umiał pogodzić w sobie te dwie skrajności: bezwarunkową miłość do siostry i bużującą wciąż w jego żyłach nienawiść do jej jedyne dziecko.

To w Bodø dopada go cała ta pandemia koronawirusa, wobec której jest na początku mocno sceptyczny. Nie chce nosić maseczek, w dupie ma dezynfekcję rąk, to wszystko zaczyna przypominać jakąś paranoję. Odkrywa jednak, że może

w tym czasie pracować online i to jest bardzo wygodne. Siedzi sobie czasem w samych bokserkach, choć oczywiście od pasa w górę jest odpowiednio ubrany. To bardzo wygodne wykorzystywać strach przed wirusem do tego, aby nie wychodzić z domu. Maxowi zaczyna się to podobać. Myśli o tym, jak wiele bezsensownych czynności wykonujemy każdego dnia, by wstać, ubrać się, dojechać do pracy, którą w znakomitej większości przypadków możemy wykonywać z domu przy użyciu komputera z dostępem do Internetu. Ale czasem musiał jednak wyjść z domu, nie tylko po zakupy. A tymczasem wirus szalał, Norwegia wpadła w panikę, świat stawał się coraz bardziej cichy, a ludzie bali się wychodzić z domu. Przynajmniej tutaj, gdzie tak często największą frajdą dnia było spotkanie się gdzieś ze znajomymi. To wtedy Max kupił sobie kijki i zaczął tak zwany nordic walking. Prawie wszędzie spacerował sam. Ludzie pozamykali się w domach. To było takie lekkie i odprężające. Nienawidził ludzi. A teraz miał dla siebie piękne i ciche przestrzenie. Jedynie skrzypiące buty, stukot kijków i odmierzane w dobrym rytmie kroki.

Max od dawna wie, że ta cholerna norweska szczęśliwość wraz z życiowym optymizmem bardzo często są fasadowe. Że w dużej mierze ludzkie umysły kierują się tam, gdzie te wszystkie poczytne norweskie kryminały – do przestrzeni, z której trudno się wydostać, bo trudno albo pokonać zło wokół siebie, albo też zwalczyć je w sobie. I wtedy na przykład popełniają samobójstwa. Znowu myśli o Agacie. O tym, że mogłaby raz a dobrze się zabić, być może wówczas poczułby tę ulgę i spełnienie, gdyby zniknęła z życia tak samo jak Mari. Jego podopieczna dwa razy podjęła próbę pozbawienia się życia. Za każdym razem za pomocą tabletek. Głupia, nie wiedziała, co i w jakich proporcjach łykać. Dwukrotnie dał radę ją odtrucić i postawić na nogi bez ingerencji szpitala. Zawsze uważał, aby nic nie wydostało się z domu. Idiotka, za pierwszym razem łykała jakieś przeterminowane tabletki przeciwbólowe, wywołało to jedynie silne wymioty, ale rzeczywiście była potem słaba przez kilka dni. Ponownie dobrała bardziej przemyślany zestaw. Max pamięta, jak się zdenerwował, bo tym razem jego siostrzenica wybrała dość dobrą porę, gdy był dłużej nieobecny, w zasadzie jeszcze godzina czy dwie i naprawdę

byłoby już po niej. Ale wtedy nie chciał, żeby umierała. Miała jeszcze otrzymać wiele ciosów.

Jednakże przez pozostały czas była niebywale twarda. Podziwiał to, choć wypierał ze świadomości swój podziw. Wiedział, że Agata cierpiała i musiała jakoś znaleźć sposób, by znosić jego opresję. Dziś zastanawia się, czy udało jej się wreszcie stworzyć inne, lepsze życie. Niektórzy przecież muszą iść swoją ścieżką ku destrukcji i naprawdę niczego nie można z tym zrobić. Ścieżka Maxa wiedzie w kierunku, którego dziś nie rozpoznaje.

Stara się swoją pracę zdalną wykonywać tak samo rzetelnie jak tę w świecie realnym. Bardzo go cenią za profesjonalizm. Otrzymał piękne referencje, aby dzięki nim szybko znaleźć zlecenia w nowym miejscu. Ale czasem pracuje z wyjątkowymi słabeuszami. Max jest wielkim zwolennikiem teorii selekcji naturalnej i czasami traci cierpliwość do tych, którzy dawno powinni zniknąć z tego świata, bo są za słabi. Tak jak ten, z którym przyszło mu pracować, bo ktoś go polecił i Max musiał pokazać, że jest specjalistą wartym polecenia.

Nie miał pojęcia, że to zlecenie przywoła wszystko, od czego chciał się odciąć. Że życie zatoczy piekielny okrąg. Nie wie, że za jakiś czas wróci tam, skąd uciekł. Znajdzie się w domu, który nigdy nie powinien zostać stworzony. Kiedy zdecyduje się na sesję w domu klienta, zobaczy na ścianie fotografię i to zdjęcie nim wstrząśnie. Bo ujrzy szczęście na twarzy tej, która na zawsze powinna zostać nieszczęśliwa. Ułoży misterny plan, gdyż dojdzie do wniosku, że tym razem nie odpuści, nie ucieknie. Dokona się to, co powinno się dokonać.

Tymczasem pije mocną kawę, smaczną, zwłaszcza o poranku, i dającą mu siłę, by mierzyć się z kolejnym frustratem, który uzna go za zbawcę i będzie pieprzył o swoich problemach, a Max będzie musiał uważnie słuchać, potem udzielać tych wszystkich rad, które przez lata stały się wyuczoną mantrą. Tych, do których kieruje te bzdury, najchętniej starłby z powierzchni ziemi. Słabeusze. Jednak z nich żyje, na nich zarabia, dzięki nim może wieść dostatnie życie. Dlatego włącza program komputerowy do spotkań online, uruchamia kamerę i widzi po drugiej stronie człowieka, który za chwilę będzie go błagał o pomoc. Albo zanudzał tymi

smutnymi opowieściami, które zawsze brzmią tak samo. Uśmiecha się jednak przekonująco, musi od początku się starać, by klient poczuł się bezpiecznie, jest doskonałym psychoterapeutą, uzdrowił już tak wielu, tylu ludziom wyprostował życiorysy. To uśmiech specjalisty od ratowania ludzkich dusz, który nie ma własnej duszy. Mięśnie twarzy układają się tak, jak latami się tego wyuczył, włącza mikrofon, odczytuje imię pod widokiem z kamery, z zaskoczeniem rejestruje, że to również Polak i patrząc z uwagą, mówi płynnym norweskim:

– Dzień dobry, panie Michale, w czym mogę panu pomóc?

Tromsø/ Ersfjordbotn

Kvaløya to duża wyspa nieopodal Tromsø, na której doświadczyć można tylko pustki, jeśli wie się, gdzie jej szukać. Zwłaszcza zimą wrażenie bycia poza światem się potęguje, a jest zima, znakomita pora na to wszystko, co sobie zaplanował. Max doskonale pamięta lokalizację tego opuszczonego domu, w którym chciałby ostatecznie rozprawić się z Agatą. Wbity w surową przestrzeń, nie zwraca już niczyjej uwagi, nie jest też łatwo do niego dojechać, jeśli nie zna się lokalnych dróg. Gdy stary i brudny materac, który pozostał tam razem z resztkami drewnianych mebli i metalową ramą łóżka, dokładnie owija folią, wie, że jej krew może wydostać się poza obręb tej przestrzeni. Nie będzie żadnych śladów. Pozostaną tylko oni, jej krzyk i wiatr wiejący wokół domu, uderzający z niepokojem w jego okna pozbawione szyb. Dlatego musi zabezpieczyć folią także podłogę wokół materaca. I ścianę. Bo przecież krew będzie tryskać. Intensywnie.

Ale wcześniej są wątpliwości. Naprawdę sporo. To może zaważyć na całym jego dotychczasowym życiu. Nie chce wracać do tego, co było, ale wzbudzone emocje nie dają za wygraną. Kiedy Max podejmuje już ostateczną decyzję, wie, że trzeba przez chwilę zakotwiczyć w Tromsø. Musi obserwować jej drogę do pracy, poznać rutynę dnia, być pewnym tego, jaką trasę pokonuje samochodem, a jaki odcinek przemierza pieszo. Najpierw musi się uważnie przyglądać, żeby potem uderzyć precyzyjnie i z zaskoczenia.

Max wynajmuje na tydzień pokój w Smarthotel przy Vestregata, wystarczająco daleko od miejsca, w którym Agata pracuje, ale również wystarczająco blisko, by podczas spaceru, mimochodem, obserwować istotne dla niego miejsca i analizować, planować. W hotelu płaci gotówką, co jest dość rzadkie w Norwegii, i zastanawia się nad tym, czy nie zrobił właśnie czegoś głupiego, w recepcji naprawdę zapadnie w pamięć klient, który płacił banknotami. Stara się skoncentrować na swoim planie i na początek leży na niezbyt wygodnym hotelowym łóżku, wpatruje się na przemian w ścianę z nazwą tego miejsca i w sufit, podejmuje próbę ostatniego oszacowania ryzyka, ale stale myśli także nad tym, czy się jednak nie wycofać, czy nie zostawić tego wszystkiego. Bo rzecz jest trudna – zsynchronizować akcję w mieście z przyływem w fiordzie. Maxowi wydaje się to niemożliwe. Tylko lodowata woda może zabrać ciało bez śladu. Nigdy nie będzie mieć pewności, że tak się stanie. Dlatego wszystko jest zbyt skomplikowane, w planach wyglądało to dużo prościej, niż będzie wyglądało w rzeczywistości. Max jednak wie, że zemsta musi się dokonać. Nie będzie umiał spokojnie żyć dalej, jeśli tego nie zrobi. Nie po tym, jak odkrył, że udało jej się stworzyć takie dobre życie. Pieprzona gówniara.

Agata lubi funkcjonować w przewidywalnym trybie. Każdy jej dzień wygląda podobnie i Max ma nadzieję, że nie wydarzy się nic, co rozbije jego plan. Pod osłoną nocy czuje się dużo pewniej, a noc jest tu w lutym jeszcze dłuższa, jednego dnia praktycznie wcale nie pojawia się słońce. Max obserwuje, gdzie Agata parkuje, oblicza odległość do budynku, w którym znika, i liczy dokładnie, ile kroków i ile czasu zajmuje przejście od miejsca, w którym ona zostawia samochód, do tej przecznicy, na której są już kamery monitoringu. Ocenia, że ma jakieś czterysta metrów przestrzeni do dyspozycji. Przechodzi ten odcinek kilka razy, liczy kroki, zmienia tempo, liczy jeszcze raz. Odnajduje miejsce, w którym może się ukryć. Nie będzie przez nią widziany przez około minutę. Jeśli Agata przyspieszy kroku, będzie to jeszcze krótszy czas.

Max widzi ją po latach i z przykrością dochodzi do wniosku, że wygląda bardzo dobrze. Jest już po czterdziestce. Dojrzała, jest smukła, wiele więcej nie może

powiedzieć z powodu zimowych ubrań, szalika i czapki. Nosi się szykownie, mają z mężem dużo pieniędzy, ten ich dom robi wrażenie, a teraz jeszcze ubiór – elegancki i na pewno z górnej półki. Wciąż nie może uwierzyć, że ona tutaj została. Wzięła ślub i śmiała żyć sobie w ogólnym zadowoleniu, może jeszcze się zestarzeć z tym mężczyzną, którego tak rani? Max widzi, że dużo się od niego nauczyła. Że przyjmowane ciosy muszą zostać kiedyś oddane. Tym mu imponuje. Metodycznie działająca suka, która tłucze męża, tak jak kiedyś on tłukł ją. Spełniona pani projektantka, pozornie spełniona żona. Gdyby najbliższy posterunek policji poznał fakty przytaczane choćby na jednym ze spotkań, jakie przeprowadził z jej mężem... A teraz spotkają się ponownie. Już za chwilę. Nie może się doczekać tego momentu.

Wreszcie wszystko ustala, to mało prawdopodobne, ale wychodzi mu, że możliwe. Odpowiedni dzień tygodnia, przypływ i jego gotowość do tego, by się nią wreszcie zająć. Przypomnieć jej to, o czym już pewnie zapomniała. Przygotowuje sznur, materiały do kneblowania, gdyby za głośno się darła, również kastet. Ukrył go głęboko w szufladzie przed laty, bo zdał sobie sprawę z tego, że nie może ani razu przyłożyć nastolatce z pięści uzbrojonej w metal. Ale teraz Agata nie jest już nastolatką. Z sytuacji, jaka niebawem się wydarzy, ani on, ani ona nie mogą się już wycofać. Max wstrzymuje oddech wieczorem, w przeddzień uprowadzenia Agaty, i myśli o tym, co się za kilka godzin zmieni. Kim on będzie po tym wszystkim. Że być może będzie musiał wyjechać z Norwegii.

W nocy trudno mu zasnąć. W pokoju jest chłodno, pracuje tylko jeden mały, elektryczny grzejnik. Denerwuje go to, podobnie jak słabe śniadania w tym hotelu, serwują codziennie to samo. Jutro rano i tak nie będzie w stanie niczego przełknąć. Kładzie się w mroku i w nim się budzi. Usiłuje skoncentrować się na zadaniu, wypija napój energetyczny, to mu musi wystarczyć. Akcja przebiega po jego myśli. Agata przyjeżdża na miejsce parkingowe, dziś zatrzymuje samochód nieco dalej, poprawia kurtkę i czapkę, rusza przed siebie. Jeszcze chwila i znajdzie się na tym krótkim odcinku, który dla Maxa znaczy teraz wszystko.

– Musimy pogadać – szepcze jej do ucha, łapiąc na ramię, trzyma mocno, nie pozwala na wyrwanie się. – To zajmie tylko chwilę.

Agata go rozpoznaje. Jest bardzo zaskoczona. Rozszerzają się jej oczy, instynktownie próbuje się uwolnić, ale Max trzyma mocno i przystawia jej nóż do gardła. Ona dyszy i patrzy na niego z nienawiścią. Wszystko wróciło. Oboje drżą z emocji.

– Pamiętasz go? – Wskazuje głową na swoją broń. – Nosiałś przy sobie dwa lata. Spróbuj wrzasnąć, a ostrze przebije ci żyły.

Max wie, że nie ma czasu na pogaduszki. Ona – co go zaskakuje – milczy, lecz nie spuszcza z niego wzroku. Naprawdę mu wierzy. Przecież gdyby otrząsnęła się z szoku, uświadomiłaby sobie, że to jest bluff. Że nie zarznąłby jej w centrum miasta i nie uciekł. Ale postępuje tak, jak on sobie tego życzy. Być może dlatego, że po prostu wciąż jest w szoku. Mają do przejścia kilkaset metrów, w bocznej uliczce stoi samochód Maxa.

– Wsiadaj. – Odsuwa od niej ostrze, drugą ręką otwiera drzwi.

– Moja matka wydlubałaby ci oczy. – Agata mówi to spokojnie, ale on wie, ile emocji jest w tym zdaniu.

– Wsiadaj, kurwa. – Popycha ją, umieszcza na fotelu w wygodnym dla niego położeniu, następnie wbija jej w ramię igłę, nim ona zorientuje się, co się dzieje, i zdąży zaprotestować. Środek zwiotczający mięśnie zadziałał natychmiast. Szarpią się tylko przez chwilę.

– Ty skurwysynu – zdoła jeszcze wysyczeć Agata, zanim zacznie tracić kontrolę nad ciałem. Mijają kolejne pełne napięcia sekundy, w końcu ona leży bez ruchu, zamyka oczy, wpada w półsen z powodu tego, co jeszcze umieścił w strzykawce, wszystko dzieje się dokładnie według jego scenariusza. Przewidział to, że z jakichś niezrozumiałych, ale dla niego przewidywalnych powodów, ona wsiądzie do jego auta. Szybko znajduje jej telefon komórkowy, wyjmuje kartę SIM, łamie ją, dodatkowo traktuje zapalniczką i zatrzaskuje schowek w samochodzie. Ma ochotę wyrzucić ją przez okno, ale byłaby to chyba największa głupota z jego

strony. Nie ma pojęcia, czy Agata ma przy sobie jeszcze jakieś urządzenie, które może ją lokalizować. Nie ma czasu na rozmyślania. Musi zaryzykować. Jeśli plan się sypnie, pójdą na dno razem. On złoży zeznania przeciwko niej za przerażonego Mikiego. Samochód cicho odpala. Teraz pozostało mu tylko zawieźć ją na miejsce. Tam gdzie spotka się z nim, jego wieloletnią furiją i siłą pięści.

Dzień wstaje nieśmiało, lekko się rozjaśnia, Max musi uważnie prowadzić, bo ulice są pokryte lodem, a przed chwilą zaczął prószyć śnieg. Podczas jazdy włącza radio i słyszy, że Rosja zaatakowała Ukrainę. O niczym innym nie mówią. Max wie, że od teraz świat będzie inny, a on po całej tej akcji musi jednak opuścić Norwegię. Nie może uwierzyć w to, co słyszy. A jednak to się dzieje. W środku Europy wybucha wojna. Wiezie nieprzytomną Agatę w stronę odsłaniającego się świtu, wiedząc, że wojna między nimi skończy się raz na zawsze.

Na miejscu działa jak robot. Każdą czynność zaplanował w szczegółach. Zdejmuje Agacie wierzchnie ubranie, wiąże jej ręce z tyłu, zajmuje się związywaniem nóg, aby łatwiej było zadawać ciosy i uderzać jak najboleśniej w brzuch, w żołądek, w śledzionę. Tak, by złamać żebra. Potem czeka w ciszy, aż kobieta odzyska przytomność. Nie marzy już o niczym innym, tylko o tym, by jego zemsta się dokonała. Jest bardzo zimno, ale nie przeszkadza mu to.

– Kurwa, gnoju, wypuść mnie! – Jej krzyk rozbija ciszę i wytrąca go ze stuporu.

Max nie zauważa chwili, w której Agata dochodzi do siebie i wije się na śliskim, pokrytym folią materacu, całą sobą usiłuje się uwolnić, manewruje związanymi rękoma i nogami.

– Przestań drzeć mordę, nikt cię tutaj nie usłyszy – mówi do niej spokojnie, podchodzi do leżącego ciała, czai się jak hiena zamierzająca za chwilę rzucić się na jakieś pustynne ścierwo.

– Ty mnie słyszysz. Rozwiąż mnie, ty mały, bojaźliwy chuju! – Agata sprawia wrażenie, jakby wcale się nie bała, nie przeczuwała, co ją za chwilę czeka, nie była gotowa na ból.

– Gdybym przypadkiem się nie dowiedział, że męczysz tego przyzwoitego faceta, Michała, pewnie nigdy byśmy się nie spotkali – cedzi słowa jedno po drugim, nie spieszy mu się, a jednocześnie wie, że upływ czasu wciąż działa na jego niekorzyść.

– On cię dorwie, skurwielu. – Agata traci rezon, widzi co on zakłada na prawą pięść. Metal jest wyjątkowo ciężki, ale Max wie, że pięść będzie dzięki temu lepiej uderzać w cel. – I będzie mnie szukał, nie ujdzie ci to na sucho.

– Ujdzie. Tak samo jak uchodziło tobie. – Nie ma ochoty z nią rozmawiać, ale jedną kwestię chce wyjaśnić, zanim zabierze się do bicia. – Łaś swojego Mikiego, ośmieszalaś tą wersją imienia, ale nie doniósł na ciebie, wszystko znosił. A teraz poniesiesz za to karę. Wszystkie nasze grzechy zostaną między nami. I wreszcie skończę to, co zacząłem przed laty.

– Nienawidzę cię. – To ostatnie słowa, jakie słyszy z jej ust, zanim padnie pierwsze uderzenie. Krew z tych ust spada na materac.

A potem bije ją długo, intensywnie, ona krwawi, krzyczy, przestaje wydawać dźwięki po tym, jak ją przydusza, pewnie uszkodził jej krtań, wciąż jednak jest żywa i żywa ma pozostać. Max po kilku minutach przerwy regeneruje siły i tłucze ją z całych sił, za wszystkie minione lata i za to, że tak go zniszczyła, zrujnowała mu życie, kazała tylko ślepo nienawidzić. Krzyk niesie się w pustkę, potem jest już tylko rżenie, Agata ma gardło we krwi, jest jedną wielką raną, przegrała to starcie.

Wie, że nie może jej zabić, ona nie ma prawa umrzeć w tym miejscu. Czas mija nieubłaganie, zostało mu niewiele dnia. Agata jest z maltretowana, oddycha słabo, Max wyczuwa puls. Krwią i resztą zajmie się później, teraz musi zawieźć ją w miejsce, w którym spełni obietnicę sprzed lat. Boi się, że nie zdąży z zakończeniem spektaklu, Agata ma zapewne przynajmniej jeden krwotok wewnętrzny, on może szybciej załatwić sprawę i popsuje plany Maxa. Musi się spieszyć.

Jest w masce i rękawiczkach, ubranie potem spali, ma drugie na zmianę. Z niezwykłą delikatnością układa skatowane i nieprzytomne ciało na tylnym siedzeniu, którego każdy centymetr zabezpieczony jest folią. Zdejmuje więzy z rąk i nóg, na wypadek gdyby jednak ktoś odnalazł ciało. Jeśli to wszystko się uda, a musi się udać, Max wreszcie odzyska spokój. Wyjedzie stąd. Ale jeszcze nie teraz. Pozostał ostatni punkt jego planu. Ruszają w stronę Ersfjordbotn. Śnieg przestał padać, myśli Maxa są czyste, dłonie pewnie trzymają kierownicę.

EPILOG

Miał na imię Sjón. Wiódł szczęśliwe życie i nigdy nie przypuszczał, że zakończy je zaraz po zderzeniu z metalową maską samochodu. Nie tu, nie w Alcie, gdzie czas płynął inaczej, gdzie żyło się bardzo powoli. A na drogach zawsze był mały ruch. Tym bardziej nocą.

Nie planował dłuższej przechadzki. W Alcie nie chodzi się pieszo na dłuższe dystanse, nie w styczniu, nie w tej mrocznej i ciemnej pułapce zimy, gdzie bezpieczny może być tylko ten pieszy, który ma dobre raki na butach. Sjón nie miał raków. A raczej nie chciało mu się ich zakładać, choć Britte je przyniosła, położyła na drewnianej szafce w przedpokoju, nakazała założyć i na końcu stwierdziła, że naprawdę może tę sprawę zostawić do rana. Ale Sjón nie chciał czekać. To w jego odczuciu było naprawdę blisko. Zaczęło padać. Widział, że tam, dokąd zmierza, okna są oświetlone, oni nie poszli jeszcze spać, a on załatwi sprawę najszybciej, jak się tylko da. Przekraczając drogę, zmierzał w kierunku sąsiada, do którego szedł odebrać wiertarkę. Tamten miał ją odnieść, pewnie zapomniał, Sjón zaś miał jutro rano w planie majsterkowanie w domu, ta wiertarka musiała do niego wrócić. Mógł zadzwonić, poprosić sąsiada, aby to on się pofatygował. Jednakże wybrał spacer.

Słyszał, że tej nocy zorza polarna będzie ponoć najpiękniejsza od miesięcy. Pomyślał, że przy okazji rozejrzy się po niebie, może za chwilę przestanie padać, chmury się rozejdą. Lubił oglądać zorze polarne już od małego. Od momentu, w którym ojciec pokazał mu po raz pierwszy, jak mroźne niebo mieni się kolorami, a Sjón zrozumiał, że urodził się i będzie żył w najpiękniejszym kraju na świecie. Wtedy w Vadsø nie był jeszcze świadom tego, że rozpocznie swoje nowe życie w innej części Finnmarku. Że do nowego miasta zawita już na zawsze wraz

z miłością do żony, która pewnego dnia wpadła na niego w sklepie rybnym, który prowadził, a potem zaprosiła do siebie. Do Alty. Do swojej miłości, której owocem była dzisiaj siedmioletnia dziewczynka. Też sprzeciwiająca się temu, żeby ojciec szedł po wiertarkę w nocy.

Dlatego Sjón nie był ani ciepło ubrany, ani nie miał zabezpieczeń na butach, choć domy były jednak trochę od siebie oddalone. Kurtka, którą na siebie nałożył tej nocy, nie pozwoliła mu potem wygrać w walce z zimnem. Ten samochód pojawił się nagle. Takie zdarzenia zawsze są nagłe, lecz Sjón nawet nie zdążył sformułować w myślach podobnej refleksji, kiedy opanował go niemożliwy do opisu ból i upadł po zderzeniu, nieświadomy tego, że już się nie podniesie z tej lodowatej, surowej jezdnii. Zemdleł. Nie zmarł w wyniku obrażeń, lecz z powodu wychłodzenia organizmu. Po tym, jak został potrącony i porzucony, próbował nawet wstać, gdy wróciła do niego na chwilę świadomość i zrozumiał swoje katastrofalne położenie. Otwarte złamanie nogi mu to uniemożliwiało. Krew wsiąkała w śnieg, kikut przebił spodnie i sterczał przeraźliwie, a Sjón nie mógł złapać oddechu, kiedy to zobaczył. Pomacał kieszeń kurtki. Nie wziął telefonu komórkowego, którym mógłby wezwać pomoc, bo przecież wychodził tylko na chwilę. Chciał krzyknąć, ale leżał, zrezygnował i w milczeniu przyjmował swój los, wypatrując zorzy polarnej, mając nadzieję, że jej widok będzie tym, co ujrzy na tym świecie jako ostatnie.

Sjón wiedział, że ma dla kogo żyć, że powinien o swoje życie za wszelką cenę walczyć. Że jest potomkiem wikingów i to do czegoś zobowiązuje. Jednakże otulający go mróz, który wcale nie wydawał się wrogiem, robił swą zabójczą robotę, Sjón rezygnował z siebie, jego oddech spowalniał. Nie mógł pojąć, jak będzie wyglądać życie żony i córki po jego odejściu, ale teraz czuł już tylko, że ból ustępuje, chłód pożera jego pokiereszowane ciało. Nie miał pojęcia, że te dwie nieszczęsne istoty przez lata będzie finansowo wspierać jakaś kobieta z Tromsø. Że przy każdym przelewie od niej jego najważniejsze w życiu osoby będą ronić łzy.

Zanim stracił przytomność, zobaczył jednak na rozpogodzonym specjalnie dla niego niebie ten piękny zielony pas, który zbliżał się do niego, jakby chciał zabrać

go z tej śniegowej pustki. Bo natura zwykle spełnia życzenia kochających ją ludzi Północy. A Sjón był człowiekiem stąd, nigdy nie ruszył się poza Finnmark, nigdy nie oczekiwał życia gdzie indziej, nie chciał go gdzie indziej poznawać. I już dobrze wiedział, że straci to, co najcenniejsze w Alcie, w której najcenniejsze przecież zyskał – miłość żony i pięknej córki.

Kiedy światła nadjeżdżającego samochodu oświetliły bladą twarz i karykaturalnie skrzywioną nogę, nie było już niczego. Zorzy. Sjóna. Odpowiedzialnych za jego śmierć.

OD AUTORA

W styczniu 2022 roku, zanim Rosja napadła na Ukrainę, wybrałem się w zimową podróż na północ Norwegii. Odwiedziłem wówczas Trømso, gdzie lądowałem w sztormie, i Altę, której piękno mnie zauroczyło. Ta wizyta zmieniła wszystko w moim życiu. Nie mieszkam już w Polsce, lecz na Islandii. Spotkanie z niezwykłą zorzą polarną, tonami śniegu i norweskim surowym klimatem przewietrzyło mi głowę. W wieku czterdziestu czterech lat uświadomiłem sobie, że wiodę nudne i mało satysfakcjonujące życie. Że należy ruszyć do ukochanego miejsca, by zrealizować marzenia. „Ciosy” powstały jeszcze w Polsce, ale były mocno inspirowane ową podróżą, a te słowa piszę już na islandzkiej prowincji, gdzie – mam nadzieję – będę tworzył kolejne książki.

Fascynacja pejzażem to za mało. Na kształt „Ciosów” wpłynęły przede wszystkim rozmowy z Rafałem Gawłem, który mieszka w Norwegii i podzielił się ze mną informacjami o codziennym życiu w tym kraju i o mentalności Norwegów. Rafale, bardzo Ci dziękuję za poświęcony czas. Część tekstu wzbogaciłem informacjami od Ciebie, a w części użyłem fantazji – wszystkie nieścisłości biorę na siebie. Nie jestem wszechwiedzący w sprawach Norwegii i Norwegów, ale dołożyłem starań, by ta książka nie była sprzeczna z rzeczywistością.

Chcę podziękować moim pierwszym czytelnikom – Agnieszce Jeż, Annie Cieplak i Przemkowi Poznańskiemu – za wszystkie dobre słowa, wsparcie i cenne sugestie. Jesteście wielcy.

Dziękuję moim dwóm ulubionym lekarzom: ortopedzie Bartoszowi Dominikowi (zajrzyjcie na jego profil na Instagramie) oraz kardiologowi Mirkowi Skwarkowi. Kwestia gwoźdza w żołądku bohatera była bardzo problematyczna,

ale dzięki obu panom udało mi się ten makabryczny ruch Agaty uczynić wiarygodnym.

Z całego serca dziękuję Pani Kierownicze, mojej wspaniałej redaktorce Wioletcie Leśków-Cyrulik, która pomogła mi ujrzeć tę książkę z innej, lepszej perspektywy i uratowała ją w kilku miejscach. Biorę na siebie zmyślenie, że na Uniwersytecie Jagiellońskim można studiować filologię norweską, które omal nie przyprawiło jej o zawał. Historia Michała jest fikcyjna i droga jego studiów również.

Dziękuję Wydawnictwu Zaczytani za to, że dostrzegło potencjał tej powieści i miało odwagę ją wydać. Książek na temat przemocy domowej ukazuje się bardzo wiele, ale dotychczas nie znalazłem wśród nich satysfakcjonującej historii o tym, że osobą przemocową w związku jest kobieta. A to, o czym czytacie w „Ciosach”, dzieje się w wielu domach, jednak mężczyźni z różnych powodów wstydzą się przyznać, że są ofiarami przemocy ze strony partnerki. Czytelnicy po lekturze wiedzą jednak, że główny bohater nie jest to końca ofiarą. Zależało mi na tym, aby zatrzeć wszelkie czytelne granice dobra i zła. Pokazać destrukcyjną moc tego drugiego w wielu kontekstach. Jak czytający zauważą, nikt nie jest w tej historii bez winy. Nikt nie jest wolny od przemocy, którą niesie dalej i przekazuje innym.

Napisałem już trzy powieści i w każdej z nich bohaterkami były kobiety. Postanowiłem po raz pierwszy skupić się na pisaniu o mężczyźnie. O męskich problemach, które pozornie nie istnieją, gdyż mężczyźni często o nich nie opowiadają. Przemoc nie ma płci, a ja od zawsze się nią brzydę i wciąż obsesyjnie o niej piszę.

Nie mogłem nikomu w „Ciosach” dać drugiej szansy, drugiego życia, okoliczności łagodzących. To chyba najbardziej mroczna z moich powieści, ale – jak w każdej – można w niej znaleźć sugestię, by rozglądać się uważnie wokół siebie i reagować na przejawy przemocy. Thomas zrobił za mało, prawda? Ale każdy z bohaterów poddał się czemuś, z czym powinno się walczyć.

Jarosław Czechowicz

Ísafjörður, 9 marca 2023

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

ON

CZĘŚĆ DRUGA

ONA

CZĘŚĆ TRZECIA

ONI

EPILOG

OD AUTORA

Karta redakcyjna

Ciosy

ISBN: 978-83-8313-558-8

© Jarosław Czechowicz i Wydawnictwo Zaczytani 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Wioletta Cyrulik

Korekta: Anna Grabarczyk

Okładka: Michał Duława,

Zdjęcia na okładce: Zachary Kyra-Derksen on Unsplash

Joel Jasmin Forestbird on Unsplash

Oksana Mizina | Sutterstock.com



Wydawnictwo Zaczytani należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek